

Marcin Koszałka  
podkreca piłkę → 58

Tomáš Sedláček ujawnia  
mystyfikacje ekonomistów → 24

Wróżka prawdę ci powie  
(za dwa miliardy) → 42

# PRZE KRÓJ

nr 1 (3520), 7 stycznia 2013, cena: 3,99 zł (w tym 8% VAT)  
[www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl)

## Nie mówcie mi, co mam robić

Wywiad z Moniką Brodką → 6

INDEKS  
371424

9 770033 248304



ISSN 0033-2488

01 >



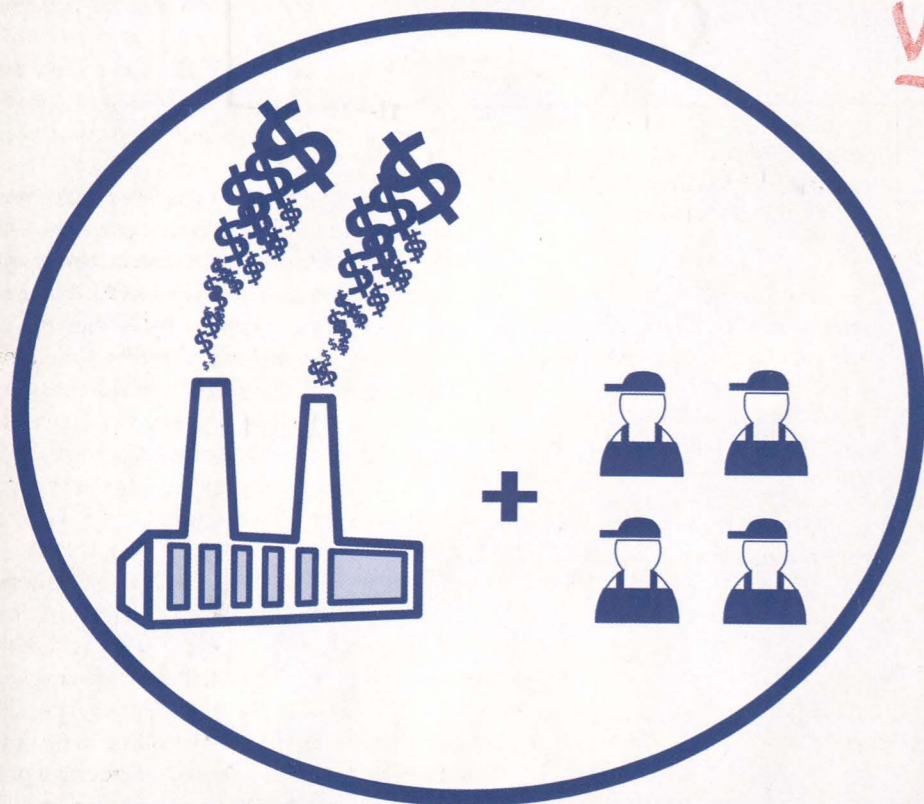
# Mały biznes w małych miejscowościach

## Konkurs na najlepszy Biznes Plan

Mieszkaś w miejscowości do 50 tys. mieszkańców, jesteś przedsiębiorczy i masz 20-35 lat?

Potrzebujesz funduszy na rozwinięcie swoich pomysłów, chcesz być własnym szefem.

Stwórz własny biznes i wygraj **50 000zł** na start działalności



**START:**  
**5.01.2013**



[www.rp.pl/malybiznes](http://www.rp.pl/malybiznes)

**Bank Pocztowy**

**RZECZPOSPOLITA**

ATKEARNEY

IBS

Lewiatan

NZA

Studenckie Forum  
Business Centre Club

PARKIET

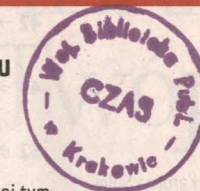
PRZE  
KROJ

7 stycznia 2013

# NA POCZĄTEK

## PRZE KROJ

W tym tygodniu  
nie piszemy...



024688



**MARCIN PROKOP**

Pierwszy raz zobaczyłem ją na scenie dekadę temu, jako juror programu „Idol”. Miała 16 lat, niewyparzony język oraz talent i charyzmę, którymi mogłaby obdzie-

lić dwukrotnie bardziej doświadczone wokalistki. Program wygrała. I co z tego? – pomyślałem wtedy gorzko – skoro w najlepszym wypadku i tak skończy jako niedroga oferta handlowa w laptopach paru niekompetentnych cwaniaków, nazywających siebie menedżerami, promotorami czy producentami. Jak większość mniej lub bardziej uzdolnionych ludzi, naiwnie pukających w nasz kraj do drzwi wielkiej kariery.

Wiele się nie pomyliłem. Ale kiedy wydawało się, że Monika Brodka już na stałe zasili ligę wykonawców z gatunku niekoniecznych, stał się cud. Podśpiewująca panienska z okładek plotkarskich pism zamieniła się w dojrzałą, świadomą siebie artystkę, w której na równi zakochały się komercyjne radia, jak i wymagająca „alternatywna” publiczność. Nam opowiada, jak doszło do tej transformacji (s. 6).

Literacki baron Münchhausen szczylił się tym, że potrafił sam wyciągnąć się z bagna za włosy. Brodka twierdzi podobnie. Tylko że jej to się udało naprawdę.

RACZKOWSKI



...o „Gangnam Style”. Ani tym sylwestrowym, w wykonaniu Maryli Rodowicz, ani tym politycznym, w interpretacji polskiego ambasadora w Pekinie. Już lepszy byłby krakowiaczek.

...o tym, że Beata Kempa wraca do PiS. Jak nie wróci, też o niej nie napiszemy.

...o zespole Weekend. Bo o nim w kolejnym numerze.

...o tym, że SLD rozpoczęty dopiero 2013 r. chce ogłosić Rokiem Edwarda Gierka. Nasze typy: Feliks Dzierżyński, Róża Luksemburg, Pawka Morozow.

...o Ludwiku Sobolewskim, zawieszonym prezesie Giełdy Papierów Wartościowych. CBA sprawdza, czy – by wspierać swoją dziewczynę aktorkę – nie został samozwańczym producentem filmowym. Miał być Oscar, będą Maliny.

...o cięciach w alternatywnych stacjach radiowych. O cięciach we wszystkich mediach. Postulujemy, żeby w tym sezonie pochować nożyczki.



**ZUZANNA ZIOMECKA**

Nie ufam liczbom. Może to humanistyczna fobia, ale gdy podziela ją „jeden z najciekawszych mózgow ekonomicznych naszych czasów”, to coś musi być na rze-

czy. To dobry moment na wywiad z byłym doradcą Havla Tomaszem Sedlačkem (s. 24), który opowiada nam o fałszywej rzeczywistości, jaką przedstawiają jego koledzy po fachu, gdy modelują przyszłość i oceniają wartość państw przez pryzmat płaskich wartości liczbowych.

Warto jego przewrotny pogląd na temat ograniczeń liczb przyłożyć do nakazu puszczenia określonej ilości polskiej muzyki na antenach radiowych. Najpierw ustalono, że polska muzyka zajmie jedną trzecią czasu antenowego. Teraz okazuje się, że 60 proc. nakazanej muzyki musi zostać puszczone w godzinach największej słuchalności. Co to za dziwny pomysł? Gdyby ustalono, że w kinach mają nam serwować wieczorami konkretną porcję polskich filmów, najpewniej wpędziłoby to nas w objęcia pirackich serwisów. Choć dokumenty Marcina Koszałki (s. 58) się obronią, częściej trafiłyby się efekciarskie obrazy typu „Bejbi Blues”. A gdyby do tego w księgarniach rozpoczęto wielkie liczenie polskich książek, a w lumpeksach narzucono procent polskich butów, mała żelazna kurtyna oddzieliłaby nas na nowo od świata. Nawet w języku liczbowym ten nakaz wyje absurdem. Stanowimy pół złamanego procenta populacji tej planety! W dodatku, jak podkreśla Brodka w rozmowie z Hanią Rydlewską (s. 6), żyjemy w czasach wielkiego muzycznego rozmnożenia i gatunkowej różnorodności.

Dlatego ten nakaz, choć pozornie wspierający polską muzykę, paradoksalnie znokautuje same rozgłośnie radiowe. Kto będzie wyczekiwał do nocy, by usłyszeć muzykę ze świata, która gra całą dobę w necie? Szkoda, bo radio i tak jest na ostatnich nogach. Zabierając temu dziadkowi wolność, nie uratujemy rodzimej branży muzycznej. Przygotowujemy za to grunt pod kreatywną księgowość i intrygantny handel procentami. Bo matma bez filozofii służy cwaniakom o wiele wierniej niż humanistom.

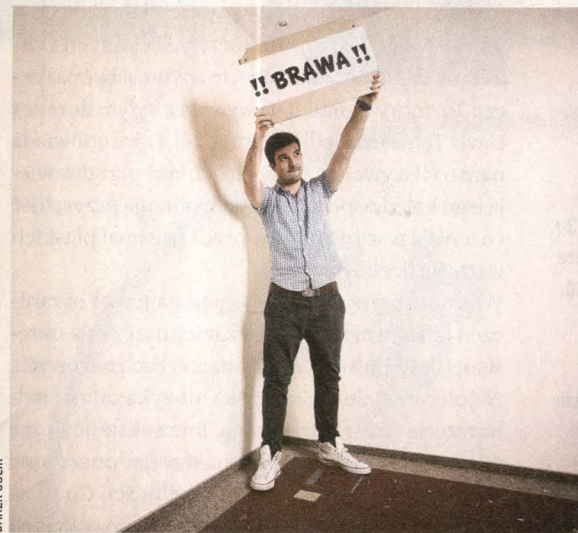


**AKTUALNOŚCI**

- 6 → **TEMAT TYGODNIA** Brodka jest szczęściarą  
Z piosenkarką rozmawia Hanna Rydlewska
- 12 → **NOWE MEDIA** Facebook: kryzys zaufania  
Pisze Marianna Saska
- 16 → **WSPOMNIENIE** Ona Teresę Torzańską wspomina Karolina Sulej
- 22 → **EWOLUCJE** Telefon przeciw inwazji Wojciech Mikołuszko

**GRUBE SPRAWY**

- 24 → **EKONOMIA** Uwolnijmy się od dyktatu liczb Tomáš Sedláček  
w rozmowie z Grzegorzem Siemionczykiem obala mit  
o wszechwiedzy ekonomistów



- 30 → **FACHOWCY** Światła, kamera, aplauz! Polskich animatorów  
publiczności przedstawia Patryk Chilewicz
- 34 → **MEDIA** Telewizja totalna Andrzej Godlewski o Majewskim,  
Lisie i Wojewódkim w jednej osobie
- 36 → **GENDER** Żołnierz bez względu na płeć Edyta Żemła

RACZKOWSKI



- 42 → **EZOTERYKA** Czas wróżbitów Biznes nie z tego świata  
opisuje Grażyna Raszkowska
- 48 → **ŚWIAT Z Internetem** do amazońskiej dżungli Aleksandra  
Stanisławska
- 52 → **SPORT** Szachy i show Norweski arcymistrz pod lupą  
Jerzego Ziemackiego
- 56 → **PRZODOWNICY** Strasznie tłułem Z Wojciechem Mannem  
rozmawiają Bartosiak & Klinke

**KULTURA**

- 58 → **FILM** Wszyscy jesteśmy Perquisami Marcina Koszałki,  
autora dokumentu o polskiej reprezentacji na Euro 2012,  
przepytuje Hanna Rydlewska
- 64 → **ARCHITEKTURA** Wykolejeni Mike Urbaniak przypomina  
twórców warszawskich dworców
- 68 → **FANTY I FETYSZE** Wybiera Tomek Rogalik  
Monika Brzywczy



- 72 → **KINO** Reinkarnacja w limuzynie O nowym filmie Leosa  
Caraxa pisze Dorota Chrobak
- 74 → **MUZYKA** Pop z przyszłości Angelika Kucińska
- 75 → **POPATRZ** Złotoreki Kuba Dąbrowski
- 76 → **RETRO/FUTURO** Litery w starej i nowej szacie  
Marta Mach i Agata Napiórska

**ROZMAITOŚCI**

- 78 → **KUCHNIA** Powrót polskiej ambrozji Miodosytnia Cezara  
Polaka
- 80 → **WINO** Francja, karton i róż Wojciech Bońkowski  
raz jeszcze o tym, co się będzie piło w tym roku

**FELIETONY**

- 21 → **MARIUSZ ZIOMECKI:** Lotry z galerii i krakacze
- 41 → **ASIA BRONISŁAWSKA GOŚCINNIE:** Role,  
które odgrywamy, sami powinniśmy reżyserować
- 70 → **MACIEJ NOWAK:** Pan od obiadów



**ADRES REDAKCJI**  
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa,  
22 463 03 00, www.przekroj.pl,  
e-mail: doredakcja@przekroj.pl

**Redaktorzy naczelni:**  
Zuzanna Ziomecka  
Marcin Prokop

**Zastępcy redaktorów naczelnych:**  
Hanna Rydlewska  
Monika Brzywczy  
(redaktor działu Kultura)

**Redaktor działu Grube Sprawy:**  
Anna Gwozdowska

**Redaktorzy:**  
Grażyna Raszkowska  
Grzegorz Sobaszek  
**Sekretarz redakcji:**  
Katarzyna Czarnecka

**Współpracownicy:**  
Kamil Antosiewicz, Wojciech  
Bońkowski, Kuba Dąbrowski,  
Mateusz Farenholz, Paweł T.  
Felis, Karolina Kotowska, Angelika  
Kucińska, Marta Mach, Monika  
Maciejewska, Wojciech Mikołuszko,  
Katarzyna Nowakowska, Agata  
Napiórska, Agata Nowicka, Cezary  
Polak, Marek Raczkowski, Marianna  
Saska, Karolina Sulej, Stach  
Szabłowski, Mike Urbaniak

**Projekt graficzny:** Magdalena Piwower  
**Pracownia graficzna:**  
Andrzej Figatowski

**Fotoedycja:** foto@przekroj.pl,  
Karolina Sekula, Katarzyna Serek

**Obróbka zdjęć:** Bogumiła  
Kreczmańska, Bartosz Wójcik,  
Tomasz Kieras, Krzysztof Rzeszotek

**Korekta:** Ling Brett  
**Strona internetowa:** KRCMedia.pl

**Wydawca:** Presspublica sp. z o.o.  
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa

**Promocja i marketing:** Cezary  
Piernikowski – p.o. Dyrektora  
Marketingu i Rozwoju, Paulina Berska  
(p.berska@rp.pl)

**Biuro reklamy:**  
Presspublica sp. z o.o.  
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa;  
faks: 22 621 46 58, 22 625 61 57

**Dyrektor działu agencyjnego:**  
Filip Weichert – 22 463 01 88  
(reklamainfo@presspublica.pl)



**PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKRÓJ”**

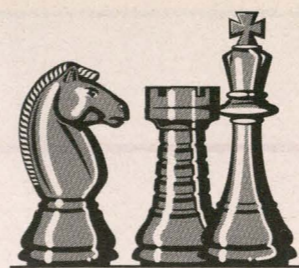
**Prenumerata redakcyjna:**  
Cena prenumeraty 2013 r.:  
Roczna: 175 zł, kwartalna: 46,80 zł  
Zamówienie na prenumeratę należy  
składać e-mailem:  
prenumerata@przekroj.pl  
Dodatkowe informacje  
tel. 800 120 195; 22 463 00 87

**Prenumerata kolporterska**  
Oddziały Ruch S.A., tel. 801 800 803  
lub 22 717 59 59 – telefoniczne Biuro  
Obsługi Klienta czynne w godz. 7-18,  
www.prenumerata.ruch.com.pl,  
urzędy pocztowe

**Prenumerata na e-Wydania:**  
www.przekroj.pl, www.sklep.rp.pl,  
www.egazety.pl, www.e-kiosk.pl  
**Dostęp na stronę www i wersję na iPada**  
Prenumerata na iPad przez App Store:  
tydzień – 0,79 €, miesiąc – 1,59 €,  
rok – 19,99 €

**Prenumerata na Android**  
przez Google Play: tydzień – 3,49 zł,  
miesiąc – 6,89 zł, rok – 78,99 zł  
Dostęp do serwisu oraz e-wydania  
przez przekroj.pl: tydzień – 2,89 zł,  
miesiąc – 8,89 zł, rok – 89,00 zł  
Informacje: serwisy@rp.pl,  
tel. 22 46 30 066

**Zdjęcie na okładce:**  
Yulka Wiłam



# PRENUMERATA 2013

## Teraz Twój ruch!

Zamów roczną  
prenumeratę  
elektroniczną  
z tabletem  
Lark Freeme 10.4  
tańszym o 23%!

OFERTA TYLKO DLA PRENUMERATORÓW!

~~896 zł~~ netto  
**690 zł** netto  
+ CENA PAKIETU



Ekran 9,7 cala, matryca IPS, Full HD, Procesor 1,2GHz,  
modem 3G, WiFi, 8GB, 1GB DDR3, akcelerator 3D,  
G-Sensor, HDMI, microSD, kamera, Android 4.0,  
bateria 5-6 godzin pracy

TRANSPORT GRATIS

Zadzwoń pod **800 120 195**  
lub wejdź na **www.rp.pl/prenumerata**

Pobudzamy myślenie **RZECZPOSPOLITA**





ROZMAWIA HANNA RYDLEWSKA, ZDJĘCIA YULKA WILAM

## Brodka jest szczęściarą

Udowodniła, że nie trzeba grać obciachowych piosenek, żeby osiągnąć komercyjny sukces, ani siedzieć w awangardowej niszy, by zyskać uznanie krytyków oraz wymagającej publiczności. Przyznaje, że każdy artysta jest produktem, ona też, ale równolegle stara się uwolnić od terroru muzycznych formatów. Na dobry początek tego roku **Monika Brodka** opowiada nam o tym, za co kocha Michaela Jacksona, czemu nie przepada za Grimes i dlaczego ciągnie ją do punk rocka.

**Zabawmy się sloganem „Bądź sobą”, mocno wyeksploatowanym przez świat reklamy, ale też intrygującym, bo trudnym do zdefiniowania. Co to znaczy „być sobą” w twoim przypadku?**

Polegam na swoim instynkcie. Kiedy wchodziłam do show-biznesu, nie miałam niczego więcej. Ani kontaktów, ani wiedzy, jak radzić sobie z ludźmi. Rozmaite trudne doświadczenia z początków mojej kariery tylko utwierdziły mnie w przekonaniu, że muszę wierzyć samej sobie. Jeżeli czuję, że ktoś lub coś mi nie pasuje, nie próbuję tego tłumić. Los mi sprzyja, skoro jestem dzisiaj tu, gdzie jestem, bez wielkiego wysiłku. Staram się, żeby moje życie prywatne oraz zawodowe sprawiało mi przyjemność. Wyznaczam sobie nowe cele, kolejne zadania i dążę do satysfakcji. Powiedzmy, że to zdrowy egoizm.

**Mówisz, że sukces osiągnęłaś bez wielkiego wysiłku. A ja myślę, że to cholernie ciężka praca zawiodła cię na szczyt.**

Samo wejście do show-biznesu było proste. Nie oszukujmy się – w Polsce

bardzo łatwo jest stać się osobą rozpoznawalną, zaistnieć w kolorowych pismach. Wystarczy po prostu trzy razy pojawić się w telewizji, najlepiej w programie śniadaniowym. Jeżeli tylko twoje nazwisko z czymś kojarzy się ludziom, to już jesteś w tym kraju celebrytą. Poniekąd przeżyłam taką drogę sama, bo najpierw byłam osobą rozpoznawalną, „znaną twarzą”, a dopiero potem z moim nazwiskiem zaczęto łączyć moją twórczość, jakieś pomysły i talent. To była ostra walka o to, żebym była oceniana ze względu na muzykę, a nie plotki i intymne wynurzenia. Wymagało to ode mnie ogromnej asertywności.

**Czyli z jednej strony zdajesz się na instynkt, a z drugiej prowadzisz jednak świadomą politykę, jeśli chodzi o swój wizerunek?**

Polityka zaczęła się tak naprawdę w momencie, w którym osiągnęłam świadomość tego, co chcę robić. Moje życie zawsze było związane z muzyką, ale nie sądziłam, że będę znaną piosenkarką, to nie był mój cel. Kiedy znalazłam sposób na to, żeby się z tego cieszyć, pojawi-

ła się konsekwencja co do tego, jak chcę być postrzegana.

**Planując swoją karierę, myślałaś o antyprzykładach, czyli o ludziach, którzy posiadali wielki talent, ale zmarnowali go w głupi sposób?**

Byłam naznaczona antyprzykładami, głównie w związku z kiepskimi historiami życiowymi zwycięzców „Idola”. Gdy wygrałam ten program, czułam strach, a nie szczęście, bałam się, że źle skończę. Tak naprawdę niczym się nie różniłam od moich poprzedników w momencie zwycięstwa. Oni – tak jak ja – byli młodzi, nie wiedzieli, jak zawiadywać osiągniętym nagle sukcesem, i nie mieli pomysłu na siebie.

**Ale nie miałaś parcia na szkło, nie chciałaś grać na festiwalach tańca i kielbasy, jak niektórzy laureaci „Idola”. Nie robiłaś takich rzeczy chyba nigdy?**

Robiłam, każdy to robił. Grałam na rozmaitych świętach miast, festynach do kotleta. Tak wyglądają nasze polskie realia. Jeśli chodzi o koncerty plenero-

### MONIKA BRODKA

W lutym skończy 26 lat. Pochodzi z góralskiej rodziny o muzycznych tradycjach. Popularność zdobyła w 2004 r., po wygranej w programie „Idol”. Jest autorką czterech płyt studyjnych: „Album” (2004), „Moje piosenki” (2006), „Granda” (2010) oraz „LAX” (2012).





we, na początku kariery byłam artystką, którą łatwiej było zobaczyć na jakiejś otwartej imprezie niż na biletowanym koncercie. Dlatego – zapytana ostatnio o to, co uważam za swój największy sukces zawodowy – przywołałam obrazek spod pewnego klubu we Wrocławiu, w którym zagraliśmy z zespołem koncert tuż po wydaniu „Grandy”. Pamiętam, że podjechaliśmy wtedy pod klub, zobaczyliśmy kilometrową kolejkę do wejścia i odpadliśmy. Nikt nie wróżył mi sukcesu, nie wierzył, że tak szybko mogę zdobyć zaufanie ambitniejszej publiczności, podbić odbiorców, którzy wykryją każdą nieszczerłość czy artystyczną kalkulację. Uważam to za swój ogromny sukces. Oczywiście nadal gram plenerowe koncerty, ale bardzo selekcyjnie otrzymywane propozycje – nie gram w centrach handlowych, w miejscach, które kojarzą mi się z obciachem. A równolegle jeżdżę w trasy biletowane, które świetnie się sprzedają. Cieszę się, że ludzie chcą chodzić cały czas na nasze koncerty.

**Twój przykład pokazuje, że komercyjny sukces nie musi być wcale okupiony bolesnym artystycznym kompromisem. Udowadniasz, że alternatywa „albo dobra nisza, albo kiczowata masówka” jest fałszywa, że ambitne piosenki mogą bić rekordy popularności.**

Cieszę się, że można pożenić pop z ambicjami muzycznymi, mam nadzieję, że takich przykładów będzie u nas więcej i więcej. Kiedy nagrywałam „Grandę”, czułam, że polska muzyka jest niestety rozpięta pomiędzy skrajnościami, bo albo jest alternatywa, która jest bardzo niszowa, siedzi w piwnicy i nie może z niej wyjść, albo polski mainstream, w którym nie można odróżnić od siebie wykonawców, gdyż są kompletnie bezpłciowi. Siłą faktu należałam do tej masy, co mi doskwierało, bo czułam, że jestem indywidualistką. Nie chciałam stać w jednym rzędzie z 15 innymi dziewczynami, które śpiewają podobne piosenki, a których nazwiska wszyscy przekręcają. Po prostu miałam więcej do powiedzenia i mam wrażenie, że od płyty „Granda” to się

zmieniło, że teraz już mojego nazwiska nikt nie myli.

**Bywasz cyniczna w pracy? Kalkulujesz: „Dobrze, zrobię to, bo to się ludziom spodoba”?**

Nie, absolutnie tak nie działam. Dbam tylko o to, żeby nie popaść w rutynę. Jeżeli czuję, że coś mnie zaczyna nudzić, to robię tak, żeby odświeżyć sytuację, żeby praca znowu sprawiała mi przyjemność. A cynizmu we mnie nie ma. Zresztą w przypadku nagrywania „Grandy” miałam łatwiej, bo płyta nie była obciążona żadnymi oczekiwaniami – ani moich fanów, ani wytwórni.

**W przypadku EP-ki „LAX” oczekiwania już były, i to wyśrubowane.**

Oczywiście mogłam pójść na łatwiznę i nagrać kolejną „Grandę”. Ale kogo by to cieszyło? Na przykład nowa płyta The XX jest powieleniem poprzedniej, która się świetnie sprzedawała. Nuda! Fakt, że ludzie oczekują ode mnie kopii samej siebie, sprawia, że mam

ochotę zagrać im na nosie i zrobić coś odwrotnego. Nigdy nie lubiłam, jak ktoś mi mówił, co mam robić. Czasem dopada mnie nieprzyjemne uczucie, że ludzie chcą mi wejść na głowę i już mi następną płytę sami komponują.

**W muzyce, tak jak w modzie, obowiązują trendy?**

Myślę, że na pewno widać sezonowość zjawisk w muzyce. Muszę przyznać, że jakiś czas temu byłam przerażona wizją, że moja twórczość, razem ze mną, stała się elementem mody, kolejnym modnym hipsterskim projektem. Bałam się, że po kilku miesiącach ludzie się mną zmęczą i totalnie mnie odrzucą. A nie chciałam być artystką modną, „z pewnych kręgów”, tworzącą dla wybranych. Czy fajerwerkiem jednego sezonu.

**Jesteś modną artystką. Wiesz o tym?**

Być może. Będę robić tak, żeby tych hipsterów ciągle wyprzedzać i zaskakiwać (śmiech).



**Dzień po tym, jak zmarł Michael Jackson, zrobiłam sobie tatuaż z napisem „Thriller”, dokładnie taką czcionką jak na albumie. Naprawdę uważam, że od dnia jego śmierci już nic w muzyce nie będzie takie samo. Skończyła się pewna epoka.**

**Nie kierujesz się trendami muzycznymi, ale z pewnością je dostrzegasz. To czego teraz w muzyce robić nie wypada?**

Ogólna zasada, zawsze i wszędzie, brzmi: „Nie wypada robić złej muzyki”. Gdybym miała się jednak pobawić i wejść w szczegóły, to powiedziałabym, że z pewnością nie są już modne piosenki à la The Beatles, czyli klasyczne melodyjne kawałki. Byłam niedawno w Nowym Jorku i tam bardzo modna jest artystka, która nazywa się Grimes.

**Opiniotwórczy portal Pitchfork jej utwór „Oblivion” obwołał nawet piosenką 2012 r.**

No właśnie, ona jest teraz noszona na rękach przez krytyków, a ja kompletnie tego nie rozumiem. Dla mnie Grimes jest odcięta od takiej muzyki, jaką lubię. Jest przekombinowana, jakby ktoś ją wymyślił na podstawie ankiety „Co teraz w muzyce ma wzięcie?”. Wczoraj oglądałam dokument o Nirvanie oraz o powstaniu płyty „Nevermind”. Wynikało z niego jasno, że pomimo całej punkowej, brudnej stylistyki Nirvana czerpała z tradycji klasycznej piosenki. Nie bez powodu ulubionym zespołem Kurta Cobaina było właśnie The Beatles. Dla niego najważniejsza była melodia. Jestem wychowana w podobnej tradycji, na tym samym patencie robienia piosenek.

**Przeszkadza ci, że ta tradycja się dzisiaj chwieje?**

Ciężko byłoby z tym walczyć. Tym bardziej że nie ma szans na to, żeby w naszych czasach pojawili się idole na miarę Kurta Cobaina. Dzisiaj muzyką rządzi różnorodność, a nie kilku „wielkich”, których kocha cały świat. Coraz rzadziej w muzyce chodzi też o pasję wspólnego grania.

**Za muzyką coraz rzadziej stoi jakaś ideologia. Dawni idole lansowali swoje poglądy, nieraz radykalne, budowali całe systemy wartości, mieli „wyznawców”. Współcześnie muzyka jest tylko muzyką.**

Mam wrażenie, że już nie do końca potrzebujemy, żeby ktoś nam mówił, jak mamy żyć. Aczkolwiek skąd się wziął fenomen filmu „Jesteś Bogiem”? Właśnie z tęsknoty za artystami, którzy żyli tak, jak tworzyli. Może to nasze pokolenie też potrzebuje jakiejś legendy, własnych idoli, czegoś na miarę „Solidarności” i Lecha Wałęsy? Szukamy ikon lat 90., żeby w przyszłości móc opowiadać o nich dzieciom. Potrzebujemy idoli naszych czasów, nieraz za wszelką cenę.

**Tymczasem kto święci triumfy? Zespół Weekend, którego teledysk do utworu „Ona tańczy dla mnie” wyświetlono już na YouTube ponad 30 mln razy. Kilka lat temu ogłoszono w Polsce śmierć disco polo. Czyba niesłusznie.**

Cóż, może ludzie – podobnie jak ja – tęsknią za melodiami. Bo disco polo to w gruncie rzeczy proste piosenki z melodiami. Jakbyś odarła to z kiczu i wiochy, to wyszedłby taneczny rdzeń, który podoba się wszystkim. Gdyby Ben Howard to nagrał, to pewnie byłby to hit!

**Mówiliśmy, że za muzyką nie stoi już dzisiaj żadna ideologia. A może zastąpiła ją czysta estetyka? Muzyka łączy się dzisiaj z modą jak nigdy dotąd. Twoja muzyka, w pewnym sensie, również jest projektem estetycznym: zawsze dbasz o wysublimowaną oprawę wizualną swoich wydawnictw, teledysków, sesji zdjęciowych. Wygląd zaczyna wypierać treść?**

Nie wydaje mi się, żeby to było coś nowego. Treść potrzebuje oprawy, nie ma w tym niczego złego. A teledyski to małe dzieła sztuki. W pewnym momencie marzyłam nawet, żeby studiować reżyserię. Klip do „Dancing Shoes” to performance. Z góry założyliśmy, że zbierzemy grupkę ludzi, którzy nie potrafią tańczyć, i powiemy im, żeby dali z siebie wszystko, tańczyli do upadłego, co kończyło się wymiotami i omdleniami. Z kolei teledysk do „Varsovie” po-



wstał z prostego konceptu. Reżyser Antek Nykowski po długich dyskusjach zaproponował, że będzie opowiadał o ludziach, którzy jedzą śniadanie. Brzmi banalnie i początkowo byłam nieufna, jednak efekt pozytywnie mnie zaskoczył. Klip bazuje na kontrastach. Podoba mi się, że Warszawa – zgodnie z rzeczywistością – została przedstawiona jako wielowymiarowe miasto, pełne zarówno piękna, jak i brzydoty. Ludzki kalejdoskop. Gdybym miała powiedzieć, o czym jest „LAX”, to wydaje mi się, że ten projekt opowiada o człowieku. O jego słabościach, o podskórnych lękach. O warszawiakach z różnych środowisk, którzy żyją obok siebie, kochają się i nienawidzą jednocześnie.

**O lękach innych ludzi, ale też twoich?**

Piosenka o Warszawie była dla mnie ważna z osobistych względów. Długo nie mogłam pokochać tego miasta, czułam się tutaj wrzucona na siłę. Bo to przecież nie było tak, że ja sobie Warszawę do mieszkania wybrałam, przeprowadziłam się tutaj raczej z przypadku i ze względów czysto zawodowych. Pamiętam, że bardzo często gubiłam się w Warszawie, ciężko mi było zbudować prawdziwe relacje z ludźmi, znaleźć przyjaciół. Ta piosenka jest też o tym, że to miasto się zmienia, że na ulicach jest więcej cudzoziemców, którzy chcą się tu z własnej, nieprzymuszonej woli przeprowadzić. Fascynuje mnie to, biorąc pod uwagę poziom naszej tolerancji. A jednak ludzie z zagranicy zaczynają dostrzegać w Warszawie coś specjalnego, urokliwego, melancholijnego i lirycznego.

**Nad „LAX” unosi się duch Michaela Jacksona. Skąd się tam wziął?**

Składam mu hołd w piosence „Dancing Shoes”, proszę go o to, żeby nauczył mnie tańczyć. Taki miałam pomysł na tekst. Potem pojawiła się stylizacja nawiązująca do Michaela oraz poza na zdjęciu, które powędrowało na okładkę EP-ki. Co ciekawe, zdjęcie powstało trochę mimochodem. Yulka Wilam zrobiła mi je podczas space-

ru po parku przed Syrenim Śpiewem w Warszawie, gdzie akurat robiliśmy razem sesję. Cieszę się, że mogłam mrugnąć w ten sposób do artysty, którego śmierć strasznie przeżyłam. Dzień po tym, jak umarł, zrobiłam sobie tatuaż z napisem „Thriller”, dokładnie taką czcionką jak na albumie Jacksona. Naprawdę czułam, że od dnia jego śmierci już nic w muzyce nie będzie takie samo. Król umarł, skończyła się era niesamowitych zjawisk, teledysków, które trwają po 15 minut, i kosmicznych budżetów. „Thriller” to do dziś najlepiej sprzedający się album wszech czasów.

**Są tacy, którzy twierdzą, że Lady GaGa jest współczesnym Michaeliem.**

Nie, błagam cię. Jak ktoś tak mówi, to po prostu mam ochotę wziąć sztylet i go wykastrować. Nienawidzę Lady GaGi, to jest dla mnie kompletna ściema i przeciwieństwo Michaela Jacksona. Jego dziwactwa brały się z osobowości, talentu czy charyzmy, jej są efektem chłodnej kalkulacji. U niego najbardziej wykręcone rzeczy mieściły się w granicach dobrego smaku, u niej są muzycznym fast foodem ubranym w surowe mięso.

**A Lana Del Rey, na której czerwcowy koncert w Polsce bilety już zostały wyprzedane?**

Kolejny dziwny dla mnie fenomen. Teraz właściwie wszystko jest już możliwe. Możesz pójść do agencji reklamowej i powiedzieć: „Mam dwie bańki i chciałbym wypromować jakąś artystkę, która ma wyglądać tak i tak, śpiewać dla takich ludzi”. I zgłasza się jakaś dziewczyna, która za wszelką cenę jest w stanie się tego podjąć, nawet za cenę zmiany swojej twarzy i nazwiska.

**Dlaczego ludzie to kupują? Co to mówi o naszych czasach, o tym, jak ludzie odbierają muzykę?**

Niestety, dorobiona przez marketingowców historia jej pomogła i podkreśliła zainteresowanie jej osobą, bo muzycznie niewiele za tym stoi. Myślę, że wiele osób już przekonało się, że to jest dziewczyna pozbawiona charyzmy. Ale

**Staram się nie zaglądać do przeszłości. Czy to nie dziwne, że artystka z czterema płytami na koncie na koncertach gra materiał, który ma niewiele ponad godzinę?**

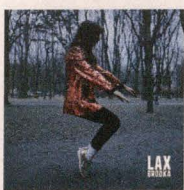
część dała się nabrać, kupiła bajeczkę, bo woli skupiać się na łzawych historiach niż na muzyce.

**W minionym roku doszło do głośnego protestu środowiska teatralnego w Polsce, głównie warszawskiego. Protestujący ukuli hasło: „Teatr nie jest produktem, widz nie jest klientem”. A gdyby przyłożyć ten szablon do muzyki? Jest ona produktem czy nie? Ty sama czujesz się jak produkt?**

Wiadomo, że w pewnym sensie jestem produktem, na którym ktoś zarabia pieniądze. Istnieje prosta zależność: jeśli jako artystka chcę dotrzeć do dużej grupy osób, to potrzebuję też ludzi, którzy mi w tym pomogą, żeby szersza publiczność się o mnie dowiedziała, kupiła moją płytę. Rzecz jasna, że nie jest za darmo, więc płacę za to jakąś cenę. Usiłuję jednak żyć zgodnie z pewnymi ideałami, wierzę, że artyści tworzą po to, żeby wywoływać w ludziach emocje, zmuszać ich do przemyśleń. Daleka jest mi sztuka Andy’ego Warhola w takim rozumieniu, że to jest po prostu sztuka nastawiona na sprzedaż, skrajnie urynkowiona.

**Patti Smith w autobiografii „Poniedziałkowe dzieci” napisała: „Baliśmy się, że muzyce, która daje nam siłę, grozi śmierć z duchowego głodu. Baliśmy się, że zatraci poczucie celu, że trafi w tłuste łapska, że ugrzęźnie w bagnie widowiskowości, mamony i banalnych technicznych sztuczek”. Masz czasem takie obawy? Widziałaś „tłuste łapska”, które w twoją stronę sięgały?**

Nie wiem, czy powinnam się jakkolwiek porównywać do Patti Smith, bo ja jednak jestem twórcą, który działa w popie, czyli w muzyce głównego nurtu. Nie robię artystycznych eksperymentów, skierowanych do małej grupy osób, ale sta-



Ostatnią EP-kę Brodki „LAX” promował singiel „Varsovie”



ram się działać w zgodzie ze sobą i dobrać rozsądnych współpracowników. Oni mnie znają, starają się za mną podążać i na siłę do niczego mnie nie przekonują, nie sprzedają mnie jak wielkie wytwórnie. Dla nich artysta jest produktem z katalogu. Pamiętam to, bo byłam w takiej wytwórni. Teraz jest inaczej – pracuję z ludźmi, którym ufam, którzy widzą we mnie człowieka.

**Pamiętaj jednak, że łatwiej jest ci teraz dyktować warunki, bo osiągnęłaś sukces. Debiutanci nie mają wielkiego wyboru – muszą go dzielić się na terror wielkich wytwórni. Bo albo się poddadzą, albo ktoś pokaże im drzwi.**

Masz rację. Dlatego nie myślę z politowaniem o tych, którzy biorą udział w tej całej marketingowej machinie. Wiem, że to zazwyczaj są ciężkie życiowe wybory. Sama staram się nie patrzeć w przeszłość. Czy to nie dziwne, że na koncertach gram materiał, który ma niewiele ponad godzinę, chociaż na koncercie mam już cztery płyty? Nie gram już swoich starych utworów, mam

wrażenie, że to nie jestem ja, że te kawałki niewiele o mnie mówią.

**Wstydzisz się swoich starych piosenek?**

Nie, raczej dbam o spójność moich koncertów. Gram dwa stare utwory, bo one po przearanżowaniu w warstwie tekstowej są w stanie jeszcze jakoś skleić się z całą resztą. To, co robiłam kiedyś, zgrzytałoby z „Grandą” czy numerami z „LAX”. Porównanie dwóch pierwszych płyt z dwiema kolejnymi pokazuje, jak wielki zwrot artystyczny wykonałam. Oczywiście był on bardzo ryzykowny, niektórzy wietrzyli ściemę, kolejny chwyt wytwórni. Jednak udowodniłam, że zmiana jest autentyczna. Pomogło mi też to, że byłam już wcześniej rozpoznawalna, więc wszyscy byli ciekawi, jaka będzie ta „nowa Brodka”. Ludzie pytają mnie czasem o to, co bym poradziła młodym muzykom albo jaka jest moja recepta na sukces. Nigdy nie wiem, co odpowiedzieć. Po prostu uważam, że jestem szczególnym przypadkiem.

**Jesteś szczęściarą?**

Myślę, że tak. Nie, no tak, absolutnie. Obiektywnie rzecz biorąc, nie ma w moim życiu teraz nic, co by mnie w jakiś sposób ograniczało – i finansowo, i twórczo. Mam wrażenie, że na więcej rzeczy mogę sobie pozwolić. Niby zesłałam do „undergroundu”, a jest u mnie coraz ciekawiej, coraz fajniej, otwierają się dla mnie nowe możliwości i cały czas szukam nowych środków wyrazu.

**A czym się teraz podniecasz?**

Tym, że zakładam nowy zespół. Tym, że mogę sobie na to pozwolić oraz mogę realizować projekty niezwiązane ściśle z własną twórczością.

**Co to za zespół?**

Punkowy (śmiech). Prawda jest taka, że zawsze o tym marzyłam. W bardzo młodym wieku zostałam wrzucona do show-biznesu i od razu na przód sceny. Nigdy nie miałam szansy przeżyć garażowego grania, występów w małych klubach, gdzie nikt cię nie zna, nikt ci nie

płaci i nie ma sprzętu, na którym możesz dać profesjonalny koncert. Dzisiaj malujemy salę prób. Po wywiadzie łapię z chłopakami za farby. Wczoraj odkurzaliśmy salę i zdzieraliśmy tynk oraz gruntowaliśmy podłogę, a dzisiaj będziemy ją malować.

**Kim są pozostali członkowie zespołu?**

Właściwie nie wiem, czy ja w ogóle powinnam o tym mówić, bo nie odbyła się jeszcze żadna próba, więc może być tak, że po dwóch tygodniach wyrzucą mnie z tego zespołu. Tym bardziej że mam w nim nie tylko śpiewać, ale też grać na gitarze. Przechodzę dopiero początkową drogę, jeśli chodzi o gitarę, i wszystkiego się uczę, więc jeśli chłopaki stwierdzą, że się nie nadaję, to po prostu mnie wymienią na kogoś innego.

**To ciekawe, że działasz na przekór wszystkim. Osiągnęłaś komercyjny sukces, ale ciągnie cię do garażu.**

Zdecydowanie. Jestem nienasycona, ciągle chcę więcej i inaczej. Wyrosłam z robienia rzeczy pod czyjeś dyktando. Moje życie jest teraz po prostu...

**...świetne?**

Dużo ciekawsze teraz niż kiedyś. Czuję, że mogę zdobywać świat.

**To jest twój czas?**

Czas Brodki! (Śmiech) Myślę, że póki jestem zdrowa, mam biegunkę pomysłów, chcę robić jak najwięcej rzeczy, wyjeżdżać za granicę, grać koncerty, brać udział w różnych projektach, a do tego jeszcze spotykać się z moim zespołem oraz mieć czas na próby, to jest dobrze. Prawdopodobnie nadszły najlepsze lata mojego życia. Kiedy ma się dwadzieścia kilka lat, trzeba robić wszystko, żeby mieć później co wspominać. Wyciskać z życia, ile wlezie. Nigdy nie słynęłam z alkoholowych libacji czy narkotykowych odjazdów, więc chociaż punk rock mi zostaje. Obiecałam sobie, że na razie nie przysiędę, nie odpuszczę. I namawiam wszystkich, żeby w tym świeżo rozpoczętym roku poszukali w sobie podobnej energii.



MARIANNA SASKA, ILUSTRACJA KATIA SEREK

# Facebook: kryzys zaufania

Weszliśmy w Facebooka jak w masło. Masowo zasiedliliśmy tę przestrzeń społeczną i dopiero po fakcie zaczęło do nas docierać, że to jednak teren prywatny, gdzie nie my ustalamy zasady. Ogromnie nas zaskoczyło, że rzeczy, które wnieśliśmy ze sobą do FB, stały się **współwłasnością firmy**, która może ich używać dla własnej korzyści. I zaczęliśmy protestować.

Najgłośniejszą rolę w tym ostatnio odegrali austriaccy studenci, którzy w grudniu założyli grupę Europe vs. Facebook i planują pozwać giganta do Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości. I wytoczyli ciężkie działa, bo ich zdaniem polityka prywatności serwisu narusza europejskie prawo dotyczące przechowywania danych osobowych i zarządzania nimi.

Max Schrems, student prawa uniwersytetu w Wiedniu, inicjator całej akcji, przekonywał m.in. na łamach „New York Timesa”, że polityka prywatności Facebooka, którą obowiązkowo przy założeniu konta musi zaakceptować każdy użytkownik, jest celowo tak nieprecyzyjnie sformułowana, by chronić serwis przed oskarżeniami o naruszenia prywatności. Proces sądowy może kosztować nawet 300 tys. euro i dlatego austriaccy studenci na stronie Crowd4privacy.org zbierają fundusze potrzebne do przeprowadzenia akcji.

To niejedyny kłopoty Facebooka w Europie. W sierpniu zeszłego roku Viviane Reding, unijna komisarz ds. sprawiedliwości, zwracała uwagę, że firmy działające na terenie Unii muszą stosować się do jej polityki. Z kolei niemiecki land Schleswig-Holstein zakazał miejscowym urządowi stosowania na ich stronach facebooko-

wych guzików („lubię to”, „udostępnij”), bo to pozwala na gromadzenie danych użytkowników bez ich wiedzy i zgody.

Skąd ta narastająca fala emocji? Użytkownicy tworzący media społecznościowe czują się jego właścicielami. Facebook jest wart tyle, ile jego klienci. A okazuje się, że ci wcale nie są zachwyceni poziomem jego usług. Facebook zdobył tylko 61 pkt (na 100) w amerykańskim badaniu satysfakcji

klientów (American Customer Satisfaction Index). Głównymi powodami niezadowolenia facebookowiczów są: kwestie prywatności, ciągle zmieniający się produkt i duża liczba reklam.

Facebook jest w posiadaniu listy kontaktów, wiadomości, zdjęć, historii rozmów ponad miliarda ludzi. W grudniu 2012 r. został znacznie uproszczony sposób, w jaki możemy kontrolować swoje ustawienia prywatności. W prawym górnym rogu ekranu znajduje się ikona kłódki, za którą kryje się dostęp do najważniejszych ustawień. Kto może zobaczyć dodane przeze mnie treści? Kto może się ze mną kontaktować? Jak mogę uniemożliwić komuś przeszkadzanie mi? Wszystko wytłumaczone jest prostym językiem. – Wierzymy w to, że im lepiej rozumiesz, kto może zobaczyć to, co publikujesz, tym lepsze będzie twoje doświadczenie na Facebooku – napisał product manager Samuel Lessin.

Trzeba pamiętać, że nasze prawdziwe dane są niezwykle cenne nie tylko pod kątem marketingowym, ale przede wszystkim ze względu na bezpieczeństwo. Jeśli nie są odpowiednio chronione, mogą zostać użyte do kradzieży tożsamości, włamania się na inne konta (np. bankowości internetowej) lub do stalkingu. Wiąże

## Prywatność na FB – fakty

- Twoje zdjęcie profilowe i informacje, które oznaczysz jako publiczne, są widoczne dla każdego, nawet niezalogowanego użytkownika.
- Możesz sprawdzić, jak twoją Oś Czasu widzą inne osoby, na przykład znajomi czy osoby obce (użyj ikony kłódki, żeby to zweryfikować).
- Każdy może cię oznaczyć na zdjęciach i w postach. Jeśli nie podoba ci się to, że ktoś cię oznaczył, możesz usunąć znacznik.
- Nie tracisz praw autorskich po umieszczeniu zdjęcia na Facebooku czy Instagramie.
- Zdjęcia, które usuniesz z Facebooka, znikają z jego serwerów w ciągu 30 dni. Zmiany te zostały wprowadzone w sierpniu 2012 r.
- Obecnie Facebook w celach reklamowych wykorzystuje tylko twoje zdjęcie profilowe, a nie fotografie z albumów.
- Facebook nie sprzedaje twoich danych osobom trzecim. Według informacji w serwisie miałyby się to z jego misją i celem biznesowym.
- Tylko znajomi użytkownika widzą w reklamach informację o jego działaniach.





się to z ogromną odpowiedzialnością, która ciąży na Facebooku (i innych mediach społecznościowych). Internauci, zdając sobie z tego sprawę, coraz gorliwiej obserwują to, co dzieje się z ich danymi, a każda zmiana polityki prywatności podlega skrupulatnej ocenie ekspertów, blogerów i samych użytkowników.

### Instagram, czyli tam i z powrotem

Jak przekonał się ostatnio serwis Instagram, kilka niefortunnie sformułowanych zdań w regulaminie może wywołać skandal i potencjalny exodus użytkowników. Facebook zakupił Instagrama, serwis służący do edycji i publikacji zdjęć, w 2012 r. za 715 mln dol. Największym atutem serwisu nie są wcale specjalne filtry fotograficzne, które nadają zdjęciom charakter vintage, lecz jego użytkownicy i sieć społecznościowa, którą tworzą.

Po zmianie regulaminu w grudniu wielu z nich zagroziło odejściem z serwisu. Chodziło o sformułowania, jakimi się posłużono. Wiele osób zrozumiało, że Instagram ma zamiar sprzedawać zdjęcia publikowane przez użytkowników. Założyciel serwisu Kevin Systrom szybko zareagował i napisał na blogu, że Instagram nie ma takiego zamiaru, a kontrowersyjne zdania zostały usunięte z regulaminu.

Tego typu fale niezadowolenia nie są niczym nowym. „W zeszłym roku opuściliśmy Facebooka. Sześć miesięcy temu Twittera. Dzisiaj opuszczamy Instagrama. Ale zaraz, czy przez »opuściliśmy« masz na myśli to, że przestaliśmy korzystać z tych serwisów? Nie, tak nie zrobiliśmy” – napisała na Twitterze poirytowany MG Siegler ze znanego technologicznego serwisu Tech-

Crunch. To prawda, że choć tysiące osób deklaruje usunięcie swoich kont, większość z nich tego nie robi, a liczba użytkowników ciągle wzrasta. „Chodzi o to, dlaczego wyszliśmy z założenia, że Instagram ma zamiar zrobić coś złego. Dlatego, że teraz należy do Facebooka? Dlaczego sądymy, że Facebook ma zamiar zrobić coś złego? Te serwisy mają model biznesowy, który polega na wyświetlaniu reklam, dzięki czemu ty możesz korzystać z ich usług za darmo. Wiele serwisów działa w ten sposób, na przykład Google” – pisze Siegler.

### Reklamowe mity

Na co tak naprawdę zgadzamy się, umieszczając swoje zdjęcia na Facebooku? Udzielamy serwisowi licencji na ich wykorzystywanie. Dotyczy to zresztą nie tylko zdjęć, ale wszystkich treści publikowanych na jego łamach. Nie ma to jednak nic wspólnego z tym, co niektórzy ro-

zumieją jako utratę praw autorskich. Wszystko, co umieszczasz na Facebooku, należy do ciebie. Po usunięciu zdjęć lub całego konta licencja, której udzieliłeś, wygasa i Facebook traci prawo do wykorzystywania twoich fotografii.

W rzeczywistości FB prezentuje w reklamach tylko twoje zdjęcie profilowe. – Ludzie lubią wiedzieć, co lubią ich znajomi. Dlatego łączymy reklamy z informacjami o znajomych, bo to ułatwia znalezienie interesujących produktów i usług w oparciu o znaczniaki „lubię to” i informacje udostępnione przez znajomych – czytamy w serwisie. Innymi słowy FB wykorzystuje wiedzę o tym, co robisz, aby wesprzeć przekaz reklamodawców. Możesz wyłączyć możliwość łączenia twoich zachowań na Facebooku z reklamami w dziale Ustawienia Konta.

83 proc. przychodów serwisu pochodzi z reklam wyświetlanych na stronie i prezentowanych na różne sposoby. Serwis daje reklamodawcom coraz więcej przestrzeni i możliwości docierania do użytkowników. Jednym z nowszych pomysłów na reklamę są tzw. zdarzenia sponsorowane, rodzaj reklamy społecznościowej. Informują

one między innymi o tym, że twoi znajomi polubili daną firmę, osobę czy organizację lub zameldowali się na lotnisku. W 2011 r. został wniesiony pozew do kalifornijskiego sądu o to, że wykorzystywanie takich informacji jest bezprawne. Facebook będzie najprawdopodobniej musiał przeznaczyć 20 mln dol. na wypłaty odszkodowań, co dla pojedynczego użytkownika oznacza możliwość otrzymania do 10 dol. Pieniądze, które nie zostaną wykorzystane, będą przeznaczone na cele dobroczynne.

### Randi strzela focha

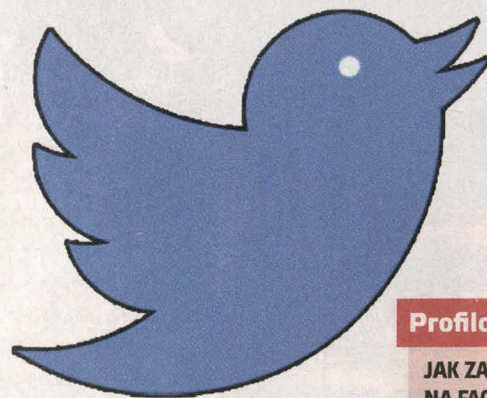
Siostra Marka Zuckerberga, Randi, zrobiła w grudniu scenę na Twitterze z powodu wycieku prywatnego zdjęcia. Na fotografii rodzina Zuckerbergów (w tym Mark) używa nowej facebookowej aplikacji i ma przy-

tym kupę frajdy. Typowa rodzinna fotka, wszyscy się śmieją, robią miny, w tle brat miliarder. Znana w świecie mediów cyfrowych Callie Schweitzer zobaczyła to zdjęcie na Facebooku i opublikowała je na Twitterze. Randi Zuckerberg napisała oburzona: „Nie wiem, skąd masz to zdjęcie. Opublikowałam je tylko dla znajomych na FB. To, że udostępniłaś je na Twitterze, jest bardzo niefajne”.

Sama Randi Zuckerberg padła ofiarą skomplikowanych facebookowych ustawień prywatności. Według dziennikarki „Forbesa” Kashmir Hill to jest właśnie jeden z największych problemów serwisu. – Mimo uproszczeń i „skrótów” ustawienia prywatności nie zawsze są łatwe w nawigacji. Pofne informacje mogą niespodziewanie wyciec. Nawet jeśli tobie uda się opnować ustawienia Facebooka, wybory

twoich znajomych dotyczące tego, kto może oglądać ich treści, mogą podważyć twoje własne ustawienia.

Schweitzer przeprosiła Zuckerberga i usunęła zdjęcie, które zdążyło już jednak rozejść się po sieci. Wydawałoby się, że już po wszystkim, ale Zuckerberg musiała mieć ostatnie słowo i napisała: „Cyfrowa etykieta: zawsze poproś o pozwolenie, zanim opublikujesz zdjęcie swojego znajomego. Tu nie chodzi o ustawienia prywatności. Chodzi o zwyczajną ludzką przyzwoitość”. Grubo. Liczenie na ludzką przyzwoitość w Internecie jest naiwne i kto jak kto, ale Zuckerberg powinna o tym wiedzieć. Jeden z komentatorów wydarzenia napisał: „Zasada numer jeden – jeśli coś umieszczasz w Internecie, lic się z tym, że zostanie to upublicznione”. To najważniejsza nauka. ☹

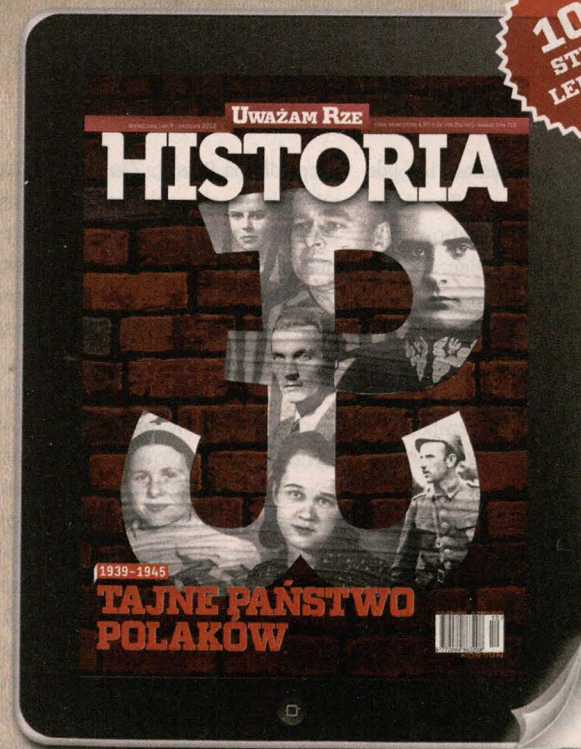


### Profilowy Alcatraz

#### JAK ZATRZASNAĆ SWOJE DANE NA FACEBOOKU?

1. Odwiedź Dziennik Aktywności, który umożliwia kontrolowanie treści i wydarzeń związanych z twoim profilem. Tylko ty widzisz swój dziennik. Te ustawienia mają wpływ na personalizację reklam.
2. Wejdź na stronę Facebook.com/settings, wybierz z menu po lewej interesujące cię zagadnienia i dopasuj do swoich potrzeb ustawienia dla reklam, aplikacji i subskrypcji. W miejscu: „Łącz moje działania społecznościowe z reklamami dla następujących osób” zaznacz: nikt.
3. Wyłącz opcję subskrypcji, która pozwala na śledzenie cię przez osoby, które nie są twoimi znajomymi – na stronie facebook.com/settings wejdź w zakładkę Subskrybenci i wyłącz „zezwalaj na subskrybowanie”.
4. Nie instaluj podejrzanych aplikacji, np. takich, które mają pokazać, kto odwiedzał twój profil, i usuń wszystkie, których nie używasz (np. quizy, gry).
5. Za każdym razem wylogowuj się. Facebook jest w stanie śledzić twoje ruchy w sieci, jeśli pozostajesz zalogowany.
6. Nie umieszczaj swojej daty urodzenia i danych adresowych w profilu. Numer komórkowy oznacz jako widoczny tylko dla ciebie.
7. Nie klikaj w linki, które dotyczą „atrakcyjnych” tematów, np. najgorętsze laski na FB, bo mogą wyludzić dane.

REKLAMA



## W sprzedaży, a w nim m.in.:

- Halik Kochanski  
Polacy mogą być dumni z AK
- Michael Foedrowitz  
Abwehra kontra gestapo
- Andrew Nagorski  
Amerykanie w Hitlerlandzie
- Andrew Roberts  
To Francuzi zdradzili Polskę



Tego nie można jednoznacznie ocenić, to skomplikowane – Torańska pokazywała, że takie słowa mogą zostać użyte zarówno w obronie prawdy, która najczęściej wymyka się uproszczeniom, jak i w imię kłamstwa. Na wszelki wypadek zadawała proste pytania. Chciała dać szansę prawdzie lub obnażyć fałsz. Zależało jej nie tylko na tym, aby ustalić fakt historyczny, ale również przeświecić proces mentalny, który towarzyszy jego wykluceniu.

Historie „Onych”, „Nas”, tych, którzy „Byli”, i tych, którzy „Są”, to osobne rozdziały wielkiej dziennikarskiej epopei o współczesnym społeczeństwie, o XX w., o totalitaryzmie i demokracji oraz o byciu człowiekiem wobec tych mechanizmów. Jej pracę można z powodzeniem porównywać do Balzakovskiej „Komedii ludzkiej”. Przez całe życie Torańska pisała jedno opus magnum, którego celem było dotarcie – przez politykę, która nas otacza, przez język, którym siebie rozgrywamy – do tajemnic naszego człowieczeństwa. Pytała: „Dlaczego właściwie to wszystko sobie robimy?”

### Słowa mają rytm

Urodziła się w 1944 r. w Wołkowysku. Ukończyła prawo na Uniwersytecie Warszawskim, ale zanim to nastąpiło, chciała zostać pianistką. Z muzycznej kariery zrezygnowała, kiedy zrozumiała, że nie jest utalentowana na tyle, aby stać się pianistką wybitną. Zwróciła się w stronę słowa, jednak – jak twierdziła – bez zrozumienia i wyczulenia na muzykę nie byłaby dobrą dziennikarką. Swoje wywiady budowała tak, jak komponuje się utwory muzyczne. W rozmowach szukała rytmu, tempa, długo budowała kompozycje i zastanawiała się nad dramaturgią. Dlatego jej wywiady nie są spisaniem rozmowy – to formalne arcydzieła, literackie etudy.

W latach 70. współpracowała z tygodnikiem „Kultura”. „Sporo było gwiazd w tamtej redakcji, pisarzy i dziennikarzy” – napisał w dniu śmierci Torańskiej na Facebooku jej redakcyjny kolega z „Kultury” Mariusz Ziomecki. „Tomasz Łubieński, Krzysztof Mętrak, Baśka Łopieńska, oczywiście Rysio Kapuściński, oczywiście K.T. Toeplitz, wybitny krytyk An-

drzej Osęka... Długo by wymieniać. Teresa długo nie błyszczała w tym gronie, nawet wśród reporterów, trzymała się z boku, rzadko zabierała głos na kolegiach. Wybuchła dopiero pod koniec dekady”. Wybuchła książką „Oni” – wyniosła ją ona na dziennikarski Parnas, którego Torańska już nigdy nie opuściła.

### Dlaczego, proszę pana?

Na „Onych” składają się wywiady z byłymi komunistycznymi decydentami, dotyczące ich roli w budowaniu PRL. Książkę przetłumaczono na kilkanaście języków i weszła do kanonu lektur na wydziałach nauk społecznych i politycznych

wość – ciekawość raczej psychologa niż encyklopedysty. Dla historyka nie będzie ważne, że generał Jaruzelski miał kucyka o imieniu Kucka i że zmuszał się do jedzenia barszczu czerwonego. Dla historii mentalnej, którą spisywała Torańska, miało to ogromne znaczenie. „Oni” oraz „Byli” to książki, które otworzyły czytelnikom oczy na motywacje ludzi dawnego systemu, rozpoczęły proces pojednania.

### Oni byli, my jesteśmy

Kontynuacją „Onych” był wydany w 1994 r. zbiór wywiadów pt. „My”, w których Torańska przygląda się „Swoim”: demokratycznej opozycji, która buduje

KAROLINA SULEJ

# Ona

Odeszła **Teresa Torańska**, wybitna polska dziennikarka, specjalistka od prostych, a przez to trudnych pytań. Przez całe życie pisała jedno opus magnum, w którym starała się zgłębić tajemnice człowieczeństwa.

uniwersytetów. „Potraktowałam ich jak normalnych ludzi – mówiła Torańska w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”. – To była moja siła. Oni wygłaszali manifesty, a ja cierpliwie słuchałam, aby potem zadać najbardziej oczywiste pytanie: »Dlaczego, proszę pana?«. Tylko tak można było przebijać się przez ideologiczny pancierz. Cierpliwie wbić te szpileczki”. Bała się czasem, że przesadza w spoufalaniu się. Kiedy powiedziała Moczarowi, że z niego kawał chłopca, po rozmowie, już na klatce schodowej, wyrzucała sobie: „Tfu, co ty wyrabiasz? Prawisz Moczarowi komplementy? Nie! Upadłam zbyt nisko, to mnie w końcu zniszczy. Dość tego!”. Wierzyła jednak, że aby zrozumieć, dlaczego ktoś staje się dyktatorem, trzeba najpierw wiedzieć, co czyni go człowiekiem. W jej pytaniach nie było pobbłażania ani wybaczenia – była cieka-

nepodległą Polskę. Złożyły się nań wywiady m.in. z Leszkiem Balcerowiczem i Jarosławem Kaczyńskim. Trylogię dopełnia książka „Byli”, gdzie Torańska rozmawia z kolejnym pokoleniem komunistycznych dygnitarzy, m.in. z generałem Wojciechem Jaruzelskim.

W „Jesteśmy” z 2000 r. Torańska przygląda się „marcowym rozstaniom”, w „Są” pyta m.in. Jana Nowaka-Jeziorańskiego i Ewę Łętowską, jak poradzi sobie z traumatycznym doświadczeniem. Te pytania zadaje także w zbiorze z 2010 r., „Śmierć spóźnia się o minutę”, w którym tropi, ile tajemnic jeszcze kryje się w naszym pamiętaniu o Zagładzie.

Torańska wypytywała o każdy szczegół niczym detektyw, bo wiedziała, że od szczegółu zaczyna się rozumienie. Nie bała się pokazać własnego zdania, ale nie robiła tego w sposób ofensywny.



ANNA BRZEZIŃSKA

Kiedy Jerzy Urban zdenerwował się, po tym, jak Torańska zarzuciła mu skandalizowanie i wulgaryzowanie polskiej prasy (krzychał nawet, że nie ma problemu z tym, że dopierdolił papieżowi, i może też dopierdolić prezydentowi), potraktowała go niczym rozkapryszone dziecko i zapytała tylko: „Dobrze się pan czuje, panie Urban?”.

On był z „Onych”. To jednak z obozu „Swoich” w ciągu ostatnich miesięcy spadały na nią ciosy. Adam Bielan zarzucał jej dziennikarskie manipulacje przy autoryzacji, co podsumowała soczystym: „Prasa stanęła na rozdrożu. Proponuję poważną dyskusję o tym, dokąd zmierzają dziennikarstwo i czym powinno być w obliczu narastającej ingerencji polityków w wolność słowa pod byle jakim pretekstem”. Jarosławowi Kaczyńskiemu zaś po dekadzie przypominało się, że nie

wydaje mu się, aby puściła w książce „My” autoryzowany wywiad. Po raz kolejny nie straciła zimnej krwi. Napisała list opublikowany na portalu NaTemat.pl, w którym przypominała swojemu rozmówcy o tym, że ich konwersację ma nagrany i spisany w dwóch wersjach. Ten list to arcydzieło dziennikarskiego przytyku – napisane w bardzo uprzejmym tonie, jednak zabójczo złośliwe. Szczególnie w swoim postscriptum, gdzie Torańska zachęca Jarosława Kaczyńskiego, żeby zamiast „reinterpretować przeszłość” wedle Orwellowskich zasad, lepiej zapoznał się z wersją książki „My” na e-booka, która robi furorę w sieci.

### Napiszesz lepsze

Do swoich rozmów Torańska zawsze przygotowywała się niesamowicie dokładnie. „W momencie, gdy jej rozmów-

Torańska uwielbiała rozmawiać, ale przede wszystkim potrafiła słuchać. Kiedy trzeba, grała naiwną. A była czytana i szalenie inteligentna.

ca powiedział coś, z czym Teresa nie czuła się dobrze, potrafiła wrócić po dwóch dniach i dopiero po uzupełnieniu swojej wiedzy dalej maglować temat. Nie przestawała i nie wycofywała się, po prostu zniknęła na chwilę w bibliotece” – tak opowiadał o pracy swojej mentorki Mariusz Szczygieł. Torańska wykształciła całe pokolenie dziennikarzy, dla których była punktem odniesienia, mistrzynią, a którzy teraz sami stali się autorytetami. Paweł Smoleński wspomina, że kiedy przynosił jej do czytania teksty, najpierw chwaliła, że świetne, po czym związała kartkę w kulkę i wyrzucając do śmieci, stwierdzała krótko: „Napiszesz lepsze”.

Jej pytania spuszczały powietrze z każdego nadętego języka. Pokazała, że historia nie jest pisana przez „konieczność dziejową”, ale przez poszczególnych ludzi, którzy wierzą w nią albo z kaprysu, albo ze szczytnych pobudek, ze słabości, z okrucieństwa, z głupoty, ze strachu. Niezależnie od tego, czy są „nami”, czy „tamnymi”, czy są „tu”, czy „tam”.

### Sprawdzam!

Dziennikarz według Teresy Torańskiej ma być tym, który woła: „Sprawdzam!”. Niczym poeta Nowej Fali pyta o znaczenie słów. Sam polega na tych najprostszych, „naiwnych”. Stanisław Barańczak mówił o poezji: „Powinna być nieufnością. Krytycyzmem. Demaskatorstwem. Powinna być tym wszystkim, aż do chwili, gdy z tej Ziemi zniknie ostatnie kłamstwo, ostatnia demagogia i ostatni akt przemocy”. Te słowa mogłyby również pełnić rolę manifestu dziennikarstwa, jakie postulowała Torańska. Wierzyła, że najgorsza dla człowieka jest fanatyczna wiara w ideę – bo zacieśnia pole widzenia i może stać się uzasadnieniem dla najcięższych zbrodni. Że z człowiekiem można zrobić wszystko, grając na najniższych instynktach, odpowiednio wyzwalając w nim strach, próżność, nienawiść. Ale na szczęście dowiedziała się także tego, że w każdym człowieku tkwi potrzeba dążenia do normalności. Wywiad to, dzięki Torańskiej, sytuacja, w której przestajemy być zwierzętami politycznymi, a stajemy się rozmawiającymi ludźmi. Jej humanizm i klasy będzie nam brakować. 📖





MATERIAŁY PRASOWE

## FRANCJA

## Artyści walczą z Coca-Colą

Royal de Luxe oskarża Coke o plagiat. Francuska grupa artystyczna, znana z organizacji happeningów z udziałem gigantycznych marionetek, jest oburzona bożonarodzeniową reklamą Coca-Coli. Występuje w niej olbrzymia marionetka św. Mikołaja, który wędruje po mieście dzięki współpracy ludzi – zdaniem przedstawicieli Coke to idealna alegoria świątecznej atmosfery. Artyści z Royal de Luxe nie mają jednak wątpliwości, że producent Coca-Coli posłużył się ich pomysłami – w 2006 r. przeprowadzili przez Londyn 13-metrowego słonia, dwa lata później w Liverpoolu olbrzymiego pajaka, a w minionym roku 10-metrowa dziewczynka poszukiwała na ulicach tego miasta 17-metrowego wuja-nurka. RdL zapowiedział pozew o plagiat. Kto wie, czy ego członków francuskiej grupy nie odpowiada wielkością marionetkom gigantom. Nawet francuskie media pokipiują z oryginalności ich pomysłów, przytaczając inne podobne happeningi ze świata. Nikt tylko nie podaje w wątpliwość atrakcyjności dorobku Royal de Luxe. O ile jednak Coke nie musi reklamować Coca-Coli, by podnosić jej sprzedaż (to zwykle reklamy wizerunkowe), o tyle Royal de Luxe nawet przegrany proces z Coke może przynieść nieoczekiwaną sławę. → Szymon Mucha



JOHN MOORE/GETTY IMAGES/FPM

## WŁOCHY

## Pierwsza pomoc dla zwierząt

Od kilku dni na terenie Włoch obowiązuje przepis nakazujący kierowcom udzielenie pomocy rannemu zwierzęciu, które zobaczą na drodze. Zignorowanie tego obowiązku ma być ścigane równie surowo, jak nieudzielenie pomocy ludziom rannym w wypadku. Chociaż chodzi o zmotywowanie kierowców, by nie porzucali na jezdni potrąconych zwierząt, to obowiązkiem pomocy obarczeni są wszyscy – również ci, którzy po prostu zauważyli

zwierzę. Aby uniknąć dochodzenia i sprawy karnej (w teorii za zlekceważenie przepisu mogą grozić nawet dwa lata więzienia), lepiej zwierzęciu pomóc. Dla tych, którzy okażą odrobinę empatii, włoskie Ministerstwo Transportu przygotowało prezent. Kierowca wiozący uszkodzone zwierzę do weterynarza będzie miał nadzwyczajne uprawnienia jak przy przewożeniu do szpitala rannego człowieka: nie będzie musiał przestrzegać ograniczeń prędkości, będzie też mógł przejechać skrzyżowanie na czerwonym świetle bez narażania się na mandat policyjny. Włosi dyskutują teraz o uruchomieniu specjalnego drogowego pogotowia ratunkowego dla zwierząt. → szm



STEVE TAYLOR/GETTY IMAGES/FPM

## POLSKA

## Polska w eterze

Szefowie większości stacji radiowych i ich dyrektorzy muzyczni mają przed sobą trudne zadanie logistyczne – co trzecia grana przez nasze rozgłośnie piosenka musi być polska, a sześćdziesiąt procent tych utworów ma być obowiązkowo wyemitowana między godz. 5 a 24. To efekt uchwalonej półtora roku temu ustawy, która zakłada systematyczne zwiększanie liczby polskich produkcji w programach stacji radiowych. Problem w tym, że polskiej muzyki, którą stacje radiowe chętnie by puszczały, jest mało – dotąd limity wyrabiano, emitując wiekowe hity i wątpliwej jakości debiuty w czasie nocnych audycji lub jako podkład serwisów informacyjnych. Dzięki tym zabiegom w godzinach największej słuchalności stacje mogły serwować rzeczywiście popularną muzykę, zwykle zagraniczną. Świat polskiej muzyki kontrargumentuje, że im bardziej rodzima muzyka będzie wypychana z anteny, tym dłużej nie usłyszymy dobrej twórczości w polskim wykonaniu. Nie jesteśmy pewni, czy ustawa pomoże naszym artystom w złapaniu weny, ale trzymamy za to kciuki. → szm

## NIEMCY

## Kłótnia o płeć Boga

Jak się okazuje, nie tylko wśród naszych polityków każdy pretekst do wszczęcia afery jest dobry. Wystarczy spojrzeć za naszą zachodnią granicę – w niemieckim rządzie ostatnio zawrzało z powodu płci Boga. Minister rodziny, Kristina Schroeder, w wywiadzie dla tygodnika „Die Zeit” wyznała, że jej zdaniem męski rodzajnik „der” w tym przypadku spokojnie może być zastąpiony neutralnym „das”. Co ciekawe, najagresywniej nie zareagowali reprezentanci konkurencyjnych partii, tylko działacze z Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej, do której właśnie należy Schroeder. Słowa minister rodziny zostały uznane za „przeintelektualizowany nonsens” i „komentarz nie na miejscu”. Pomyśleć, że cała „gafa” powstała w odpowiedzi na pytanie, jak minister wytłumaczyła swojej córce „męski charakter” Boga... To kolejny przykład tego, że w polityce trzeba mieć się zawsze na baczności. → Mateusz Farenholt



CORBIS

## POLSKA

## Bogdan Zdrojewski walczy z ekranami

Ministerstwo Kultury nie przyjęło odwołania Polskich Linii Kolejowych i odmówiło zgody na budowę ekranów dźwiękochłonnych wzdłuż torowiska prowadzącego od Grodziska Mazowieckiego, przez Warszawę wzdłuż tzw. trasy średnicowej. Linia biegnąca przez środek miasta miałaby zostać ogrodzona 4,5-metrowymi ekranami. Najpierw we wrześniu wydania takiej zgody odmówił mazowiecki konserwator zabytków. Teraz jego decyzję podtrzymał minister. Kolejarze będą zmuszeni walczyć z nimi w sądzie. Dokument od konserwatora, rozpatrzony pozytywnie, jest potrzebny do uzyskania pozwolenia na modernizację torowiska. Bez niego ani rusz. Konieczność budowy ekranów narzucają zaś rygorystyczne polskie normy hałasu wprowadzone w ostatnich tygodniach trwania rządu Jarosława Kaczyńskiego – tylko za pomocą ekranów da się osiągnąć normy dotyczące poziomu nasycenia dźwięku w przestrzeni publicznej. Konserwator i minister uznali jednak, że ekrany doprowadzą do skrajnej degradacji krajobrazu w miastach przecinanych przez ciągnące się kilometrami ekrany. Nie wiadomo, co zrobią PLK – ministrowie transportu i środowiska doprowadzili bowiem do częściowego uchylecia zapisów dotyczących norm hałasu. Kolej mogłaby się zacząć starać od nowa o pozwolenie na budowę. → szm

MAGDA STAROWIEYSKA



LUKASZ SZELAG/REPORTER/FAST NEWS



## POLSKA

## Łódź: okno na Chiny

Do Łodzi co tydzień będzie przyjeżdżał pociąg towarowy bezpośredni z Chin. Łódź będzie jedynym miastem w Polsce, w którym pociąg się zatrzyma. Stacja nie została oczywiście wybrana przypadkowo – miasto leży na przecięciu autostrad oraz w pobliżu trasy S8, która będzie przecinać Polskę na połowę, w rejonie znajdują się też dziesiątki centrów logistycznych. Rozmowy na temat regularnego połączenia towarowego z Chinami ruszyły pod koniec ubiegłego roku, po wizycie prezydenta Bronisława Komorowskiego w Państwie Środka. To zaskakujące połączenie kolejowe może przynieść Polsce wiele korzyści. Skróci dwu-, trzykrotnie czas transportu towarów (wysyłka morską zajmuje ok. 45 dni), a także może obniżyć koszty. Wszystko to szansa dla polskich producentów żywności na podbój gigantycznego rynku. W pierwszych sześciu miesiącach 2012 r. wysłali oni do Chin mięso o wartości 400 tys. dol. Duńczycy sprzedali tam takich produktów za 155 mln dol. Ciekawe, czy mamy szansę ich dogonić. → szm



## POLSKA

## Zielona energia

Niemcy produkują dziś 20 proc. zużywanego przez siebie prądu, bazując na źródłach odnawialnych. Realizowany od wielu lat kosztowny program modernizacji infrastruktury energetycznej przynosi pozytywne efekty: spada emisja dwutlenku węgla do atmosfery, źródła prądu są zróżnicowane, co ma wpływ na bezpieczeństwo energetyczne kraju, coraz bliżej do ostatecznego unieruchomienia nielubianych w Niemczech elektrowni atomowych. Produkcja energii to jednak nie wszystko – trzeba ją też rozprzestrzenić. Tymczasem budowa sieci energetycznych nie nadąża za mocą produkcyjną wiatraków i innych alternatywnych elektrowni. W efekcie siłownie wiatrowe stojące w Morzu Bałtyckim produkują prąd, którego nie może przenieść niemiecka sieć. Energia szuka drogi ujścia i płynie za granicę: do Polski i Czech. Zatyka przy tym nasze druty i transformatory, które są w o wiele gorszym stanie niż niemieckie. Sytuacja jest poważna – Polacy i Czesi zagrozili odcięciem się od niemieckiej sieci. Niechciany import prądu może bowiem doprowadzić pewnego dnia do krytycznego przeciążenia i tzw. blackoutu, czyli awaryjnego wyłączenia się sieci nawet w całych województwach. Operator wiatraków zobowiązał się doinwestować polskie i czeskie inwestycje, by doprowadzić do budowy specjalnych przełączników hamujących przepływy prądu do bezpiecznych limitów. → szm



XINHUA NEWS AGENCY/EAST NEWS

## CHINY

## Walka z korupcją

Choć dla nas może to być niezłą egzotyką, do tej pory w Chinach picie alkoholu w czasie pracy było całkowicie w porządku (nawet, a może zwłaszcza, w przypadku pracowników państwowych). Teraz jednak, za sprawą szefa komunistycznej partii Xi Jinpinga i jego antykorupcyjnej polityki, atmosfera w pracy będzie dużo mniej wyluzowana. Nowe rozporządzenie zakazuje spożywania alkoholu na służbowych rautach, zabrania też wysokim urzędnikom korzystania z usług luksusowych hoteli czy wyprawiania ekskluzywnych przyjęć na koszt państwa. Na efekty takiego posunięcia nie trzeba było długo czekać – chiński sektor alkoholowy, z potentatem Kweichow Moutai Co Ltd na czele, zaliczył spadki na giełdzie. Cóż, służba nie drużba. → mf

## IZRAEL

## Niespodzianka przy wykopach

Budujący autostradę Izraelczycy natknęli się na ciekawe odkrycie. W rejonie Tel Motza, na zachód od Jerozolimy, znaleźli zaskakujące pozostałości po świątyni sprzed 3 tys. lat. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że do tej pory odkryto niewiele śladów związanych z rytualnymi kultami z tamtego okresu i miejsca. Wśród perełek wykopanych przez archeologów był „skład rytualnych naczyń” i figurki mężczyzn – jedna z przedstawionych postaci ma brodę, choć naukowcy jeszcze nie wiedzą, jakie jest jej znaczenie. Plan świątyni jednoznacznie nawiązuje do bliskowschodnich tradycji z tamtego okresu. Żeby móc wyciągnąć jakiegokolwiek wnioski z tego odkrycia, naukowcy potrzebują czasu, jednak już teraz wiadomo jedno: warto budować autostrady. → mf



ARTUR BARBAROWSKI/EAST NEWS

Mariusz Ziomecki

## Łotry z galerii i krakacze

My, kupcy w centrach handlowych, jesteśmy ulubionymi chłopcami do bicia dla moralistów wszelkiej maści. Ci państwo mogą wisieć sobie nawzajem u gardeł we wszystkich kwestiach światopoglądowych, od aborcji po podatki – poza jedną: galerie są symbolem wszelkiego zła. Tu panuje pełna zgoda. Jakby tego było mało, padamy też ofiarą krakania ekonomistów.

Ekonomiści uwielbiają straszyć nas, konsumentów. Ostatnio wzmówili publice, że w 2013 r. Polskę czeka okropny kryzys. Nieważne, że produkt krajowy brutto (w skrócie PKB, niepozabawiony wad, ale najpowszechniej używany miernik rozwoju) Polski pozostaje uparcie na plusie, we wszystkich kwartałach. Również dzięki naszym, kupców, staraniom. Ludzie od tak dawna słyszą Złą Nowinę, że w końcu się spłoszyli. Wcisnęli portfele głęboko do kieszeni. Obroty handlu spadają – a my, kupcy, czynsze za sklepy musimy bulić co miesiąc. Do tego jeszcze postanowiła nam dokopać hierarchia kościelna. Biskupi zaapelowali przed gwiazdkowym szczytem zakupów, żeby w szabas nie chodzić do centrów handlowych. Wierni powinni oddawać się w weekendy refleksji religijnej i rezerwownie stanąć po stronie historycznego, bezbarwnego Świętego Mikołaja, olewając naszych, tak działających na wyobraźnię dzieci grubasków w czerwonych strojach, którzy rozwożą paczki zaprzęgami reniferów. Nie panikujemy – polscy katolicy mają długą i piękną tradycję bimbania sobie z napuszonych apeli swoich pasterzy. Ale muszę przyznać, trochę nas, kupców, skręca. Bo czym są w końcu te nasze centra handlowe? Siedliskami szatana? Wrzodami na zdrowym ciele społeczeństwa? A może wreszcie ktoś się puknie w głowę?

Nowoczesne galerie handlowe to po prostu silne przedsiębiorstwa, miejsca pracy dla tysięcy ludzi. To kuźnie polskiej klasy średniej i źródło wielomiliardowych wpływów podatkowych (VAT) dla państwa. Być może też – pomyślcie tylko! – są one dziś czynnikiem kulturotwórczym. To potężny lewar rozwoju, który ciągnie Polskę w górę, integruje nas z materialną cywilizacją Zachodu nie mniej skutecznie niż przed wiekami – też przyniesiony z tam-



FRANCISZEK MAZUR

Do galerii handlowych ludzie chodzą dla przyjemności. To ma być grzech? Nie zauważyłem, żeby nasi katolicy pasterze odcinali się masowo od dóbr doczesnych.

tego kierunku – chrzest. W centrach odbywa się handel, nie wzloty ducha. Ludzie tam chodzą dla przyjemności. To ma być grzech? Do tej pory nie rzuciło mi się w oczy, żeby nasi katolicy pasterze masowo odcinali się od dóbr doczesnych. Ostatni raz, kiedy miałem przyjemność oficjalnie spotkać kardynała i kilku biskupów, miało to miejsce w bogato urządzonej pałacu. Niedługo nadejdą walentynki, moralisci i kler znów odpalą salwy potępienia. Kolejna duża okazja do przywalenia centrum handlowym nastąpi wiosną, gdy w witrynach postawimy nasze wielkanocne kurczaki i zające. Intrygujące, że mało komu przychodzi do głowy, by karcić tak inne branże. A przecież fabryki samochodów przyczyniają się do rzezi na drogach. Klasztory pędzą alkoholowe nalewki. A pocziwi hodowcy krów są odpowiedzialni za emisję gazów cieplarnianych, które szkodzą planecie nie mniej niż cały przemysł i transport (nie wierzyć, to sprawdźcie hasło „metan”)...

Nieważne. My, kupcy, damy radę żyć z niesprawiedliwością. Gorzej z tymi czarnymi prognozami ekonomicznymi, które zmieniają się w samospełniające się przepowiednie. Konsumpcja krajowa to jeden z trzech motorów napędowych polskiego wzrostu gospodarczego (pozostałymi są eksport i inwestycje). W ostatnich latach konsumenci i eksport ratowali „zieloną wyspę”, generując lwią część naszego wzrostu PKB. Jednak w 2012 r. konsumpcja wyraźnie zaczęła siadać.

Tylko się pochlastać. Na szczęście profesorowie od koniunktury są równie omylni jak głośni i często zmieniają prognozy. Jeszcze do niedawna widzieli kryzys po horyzont, do 2015 r. Grecji już miało nie być – tymczasem podniósł się rating tego kraju, a integracja Unii Europejskiej przyspiesza (gdy ten fakt dotrze do świadomości naszej opinii i zachowawczej części opinii publicznej, będzie się działo!). Ostatnio mądrale zaczęli przebąkiwać o poprawie koniunktury w drugiej połowie 2013 r. Niektórzy nawet widzą odbicie w Polsce już w drugim kwartale. Pewnie prześlizgniemy się i tym razem. Tylko przestańcie krakać. Zapraszam na zakupy! ☺

Autor jest redaktorem, dziennikarzem, publicystą, biznesmenem. U nas pisze o ekonomii.



STANISŁAW KOMALCZUK/EAST NEWS



WOJCIECH MIKOŁUSZKO

# Telefon przeciw inwazji

Wojna rozpoczęta. Po jednej stronie stanęła armia ludzi z telefonami komórkowymi, po drugiej – inwazja **zielonych**.

**B**roń, jaką dysponują obrońcy, to aplikacja w telefonie. Wymierzona jest przeciw stworzeniom na pozór niewinnym: roślinom. Nie byle jakim jednak, lecz tym, które przybyły z obcych krain i szkodzą nam bezlitośnie. Niszczą nasze rodzime gatunki, zmniejszają różnorodność w przyrodzie, wywołują alergię, oparzenia skóry, zatrucia, a nawet zapalenia mięśnia sercowego.

W Polsce stwierdzono już ponad tysiąc gatunków obcych roślin. – W Anglii jest jeszcze gorzej – twierdzi dr Halina Galera z Uniwersytetu Warszawskiego. Może dlatego to właśnie tam opracowano aplikację PlantTracker. Podczas dorocznego spotkania Brytyjskiego Towarzystwa Ekologicznego opowiadał o niej Dave Kilbey. – PlantTracker jest łatwy w użyciu – mówił. Aplikacja najpierw pomaga rozpoznać gatunek rośliny inwazyjnej. Następnie do zdjęcia, jakie robi się telefonem, dołącza współrzędne GPS i całość przesyła do bazy danych. Brytyjcy ekolodzy otrzymali w ten sposób już 2,5 tys. wiadomości. Część z nich pozwoliła na likwidację ognisk rozprzestrzeniania się groźnych roślin. To zmniejszyło koszty i zwiększyło skuteczność walki z inwazją.

– Wykorzystanie narzędzia, do którego młodzi ludzie się tak przyzwyczaili, jest wspaniałym pomysłem. Telefon przecież zawsze mamy w ręku – chwali dr Galera. Botanik dodaje jednak, że aplikacji nie da się wprost przenieść na teren Polski. – Mamy inny zestaw roślin – tłumaczy. Na szczęście zespół, w skład którego wchodziła dr Galera, opracował multimedialny klucz do oznaczania roślin „Flora ojczysta”. Na jego podstawie być może dałoby się stworzyć aplikację, która rozpoznawałaby gatunki inwazyjne.

Armia młodych ekologów, uzbrojonych w telefony komórkowe, czeka na rozkazy. 📱



ANDRZEJ SIDOR/FORUM



ROZMAWIA GRZEGORZ SIEMIONCZYK

# Uwolnijmy się od dyktatu liczb

„Niewidzialna ręka rynku” jest równie bezsensownym terminem, co „wojownicze żółwie ninja” – przekonuje w wywiadzie z „Przekrojem” **Tomáš Sedláček** i obala mit o wszechwiedzy ekonomistów.

O ile zmieni się produkt krajowy brutto strefy euro w przyszłym roku?  
Nie mam pojęcia! Skąd do...

Proszę się nie tłumaczyć, żartowałem.  
(Śmiech) Złapał mnie pan. Punkt dla pana.

Chciałbym jednak pana ostrzec, że podważając zdolności prognostyczne ekonomistów, robi pan wszystko, żeby stracić pracę.  
Na razie wciąż ją mam.

Ale podważa pan jej sens...  
W pewnym sensie tak.

Co pana mierzi we współczesnej ekonomii?  
Uważam, że podstawowe metody badawcze stosowane w ekonomii, tzn. matematyczne modele, oparte m.in. na wątpliwych hipotezach efektywnego rynku i racjonalnego homo oeconomicus, oraz sformułowane na ich podstawie prognozy są w pewnym zakresie pożyteczne, ale też trochę mylące. Problem w tym, że nie wiemy, gdzie leży granica. A to dość ważne, żeby ją znaleźć. Dążenie do precyzji w prognozach nie jest bowiem tylko niewinną zabawą, może być niebezpieczne. Stwarza bowiem iluzję pewności, bezpieczeństwa.

Zgadza się pan z Paulem Krugmanem, który kilka lat temu powiedział, że większa część badań makroekonomicznych z minionych

30 lat była w najlepszym przypadku bezużyteczna, a w najgorszym wprost szkodliwa?  
Mam podobne zdanie. Różnica jest może taka, że moje przekonania nie mają korzeni w ostatnim kryzysie finansowym, jak może się wydawać czytelnikom mojej „Ekonomii dobra i zła”. Pracowałem nad nią przez około 10 lat.

Dlaczego traktuje pan ekonomię głównego nurtu jako samo zło?

Z ekonomią jest tak, jak z każdą inną wiarą. Niektórzy jej ważni przedstawiciele mogą być krytyczni, ale cały organizm działa tak jak wcześniej, wykazuje inercję. Od setek lat wiemy, że świat jest heliocentryczny, ale nadal myślimy tak, jakby był geocentryczny. Mówimy na przykład, że słońce wschodzi lub zachodzi. A przecież to Ziemia wschodzi i zachodzi!

**Ekonomiści boją się po prostu powiedzieć, że czegoś nie wiedzą. Dlatego z pełną powagą potrafią tłumaczyć, że kryzys skończy się wtedy, kiedy się skończy.**

Ekonomia jest wiarą, a nie twardą nauką?

Wystarczy zauważyć, w jakim trójścianym pojęciowym ekonomia się porusza. Na jego biegunach mamy trzy mity: niewidzialną rękę rynku – coś bardziej

mistycznego można wymyślić?! – zwierzęce instynkty oraz homo oeconomicus. To wszystko, jeśli spojrzeć krytycznie, brzmi gorzej niż „abrakadabra” czy dziecięce „gu-gu ga-ga”. „Niewidzialna ręka rynku” jest równie bezsensownym terminem, co „wojownicze żółwie ninja”. Trzy losowo wybrane słowa miałyby pewnie więcej sensu. Ale tego terminu używa się tak często, że zaczęto go traktować, jakby był terminem naukowym. Dzięki trzem pojęciom, które wymieniłem, ekonomista potrafi wyjaśnić wszystko. A przecież te pojęcia są puste.

Wystarczy popatrzeć na listę ekonomicznych bestsellerów z ostatnich lat, żeby dojść do wniosku, że podejście do ekonomii, które pan krytykuje, staje się powoli niszowe. Nie wyważa pan otwartych drzwi?

To prawda, że najpopularniejsze dziś książki ekonomiczne traktują o tym, że ludzie nie są racjonalni, że gospodarkę sterują nieprzewidywalne zwierzęce instynkty, że rynki zawodzą, że wielu kluczowych zjawisk prognozować się nie da itd. Jeszcze dekadę temu to byłyby książki alternatywne. Dziś te idee z marginesów trafiają pod strzechy. Ale zmiany w ekonomii wcale nie są szybkie. Na przykład ekonomia behawioralna jest popularnym nurtem już od dawna. Dzięki niej dobrze wiemy, że model homo oeconomicus jest fałszywy. Ale nadal jest wpajany studentom ekonomii.

A ci, którzy ten model odrzucają i twierdzą, iż ludźmi i w efekcie gospodarkami sterują raczej zwierzęce instynkty, zarazem najbardziej wierzą w moc ekonomii. Termin „zwierzęce instynkty” ukuł Keynes, którego współcześni zwolennicy uważają, że gospodarką da się zarządzać.

Tak, to paradoks, ale ekonomia jest ich pełna. Byłem niedawno w Düsseldorfie, gdzie rozmawiałem z zarządzającymi funduszami inwestycyjnymi. Mówiłem o tym, że ludzie nie są racjonalni, że wcale nie dążą do maksymalizacji użyteczności. Wszyscy kiwali głowami, że owszem, gospodarką i rynkami rządzą zwierzęce instynkty. Spytałem ich, jak wobec tego mogą taką ekonomiczną rzeczywistość modelować, jak mogą ją przewidywać?

Inny paradoks: analityk rynkowy powie na przykład, że cena złota wzrośnie. To oznacza, że w momencie tej wypowiedzi jest za niska, czyli że prawdziwa

wartość złota jest inna niż ta, którą ustalili rynek. Analityk sugeruje więc z jednej strony, że ma wgląd w prawdziwą wartość złota, przypuszczalnie dzięki modelowi, a z drugiej – że rynek się myli. Ale w takim układzie rynek zawsze się myli, bo przecież złoto jest, zdaniem analityków, ciągle przewartościowane lub niedowartościowane. Czyli analitycy jednocześnie podważają racjonalność rynków i w nią wierzą, bo inaczej nie sililiby się przecież na prognozy.

A może ekonomiści wiedzą, tak jak pan, że prognozy nie mają sensu, ale są po prostu dostawcami usługi, na którą jest nieustanny popyt?

To prawdopodobne. Nie wierzę, że można na poważnie formułować prognozy dotyczące stopy wzrostu PKB z dokładnością do dwóch miejsc po przecinku, skoro nawet historyczne dane na ten temat są nieprecyzyj-

**TOMÁŠ SEDLÁČEK**

Czeski ekonomista, główny strateg makroekonomiczny banku CSOB, członek Czeskiej Krajowej Rady Ekonomicznej i były doradca prezydenta Václava Havla. Przez magazyn „Yale Economic Review” nazwany jednym z pięciu najciekawszych mózgow ekonomicznych. Autor bestsellera „Ekonomia dobra i zła”.

ne, są ustawicznie rewidowane. Zresztą ekonomiści powszechnie przyznają, że nie potrafią prognozować, ale są w tym niekonsekwentni. Gdy pyta się ich o przyszłoroczne tempo wzrostu PKB, na ogół odpowiadają coś w stylu: „Proszę nie żartować. Skąd niby mam to wiedzieć? Nie da się przewidywać przyszłości. Ale biorąc pod uwagę rozwój sytuacji na rynkach finansowych, presję inflacyjną i elastyczność cenową popytu, sądzę, że będzie to 1,6 proc.”. Nawet raporty analityczne kończą się ostrzeżeniem, choć zakamuflowanym w prawniczym żargonie, aby nie traktować zawartych w nich prognoz poważnie. Ekonomiści boją się po prostu powiedzieć, że czegoś nie wiedzą. Dlatego z pełną powagą potrafią tłumaczyć, że kryzys skończy się wtedy, gdy się skończy. Bo do tego sprowadza się wyliczanie, że kryzys w strefie euro skończy się, gdy poprawi się koniunk-





tura w Niemczech, ta zaś zależy od tego, co dzieje się w Chinach i USA itd.

**Prognozy to wdzięczny obiekt krytyki, bo najczęściej są chybione. Ale pan oskarża ekonomistów o fiksjację na punkcie liczb, nawet gdy nie wybiegają one w przyszłość. A przecież ta sytuacja ma wiele pozytywów.**

**Na przykład dzięki liczbom społeczeństwo może rozliczać władze z tego, czy wypełniają swoje funkcje. Co się stanie, jeśli ekonomiści stwierdzą – a takie głosy już są – że inflacji i deficytu nie da się sensownie mierzyć, że to są teoretyczne konstrukty, niewiele mówiące o rzeczywistości?**

Myszę, że przecenia pan znaczenie danych ekonomicznych dla zwykłych ludzi. Liczby niczego nie rozjaśniają. Same, bez kontekstu, nie mają bowiem znaczenia. Jeśli ekonomista panu powie, że roczna inflacja wyniosła 0,9 proc., to zapewne spyta pan następnie, czy to dobrze, czy źle, i jakąś odpowiedź uzyska. Zna pan książkę „Autostopem przez galaktykę”? Traktuje ona o tym, że ludzie mają już dość filozofii, etyki, wartościowania, subiektywnych sądów itd. Chcieliby uzyskać wreszcie klarowną, obiektywną odpowiedź na temat sensu życia i świata. Budują więc komputer, który ma dojść do naukowej odpowiedzi na pytania ostateczne. Maszyna potrzebuje na to setek lat, ale w końcu jej udziela. Definitywna, niepodważalna odpowiedź brzmi: 42. Jednoznaczna, ale przecież nie klarowna! Ale z jakichś powodów ludzie domagają się tego typu odpowiedzi.

**Dlaczego, skoro liczby niczego definitywnie nie rozjaśniają?**

To, co wyrażone liczbą, ujęte w symbole matematyczne, wydaje się pewniejsze, bardziej prawdziwe niż to, co ujęte w słowa. Mamy głęboko wpojone przekonanie, że świat jest matematyczny, że da się go matematycznie opisać. Myśląc o prawdzie, myślimy o jakimś niebiańskim równaniu opisującym zachowanie ciał niebieskich, rynków i wszystkiego innego. Nawet człowieka można matematycznie opisać, podając wzrost, wagę, numerycznie określając kolor włosów, barwę głosu itd., ale to przecież

nie oddaje jego istoty. W tym wypadku to oczywiste, ale w innych sferach już nie. Wracając na grunt ekonomii, nawet za prostym wskaźnikiem inflacyjnym kryje się cały kontekst: że jest on obliczany dla pewnego regionu, w taki a nie inny sposób, w oparciu o pewne założenia. To, że otrzymujemy liczbę, sprawia, że cały ten kontekst gdzieś się gubi, tracimy go z oczu.

**Sądzi pan, że za ten kult liczb częściowo odpowiedzialne są media?**

To niestety prawda. Gdy jako doradca ekonomiczny rządu podaję jakąś liczbę, to, co nią ilustruje, uzyskuje w mediach



MONIKA GRAFF/GETTY IMAGES/FPN

wyższą rangę niż to, co mówię, abstrahując od liczb. W ub.r. uczestniczyłem w opracowywaniu planu działań rządu na wypadek czarnego scenariusza w gospodarce. Umówiliśmy się z kolegami, że nie będziemy podawali dziennikarzom żadnych liczb, i zainteresowanie mediów było znikome. Ktoś jednak chlapanął, że braliśmy pod uwagę spadek PKB nawet o 10 proc. I zaraz na pierwszych stronach gazet pojawiły się nagłówki: „Krajowa Rada Doradców Ekonomicznych liczy się z tąpnięciem PKB o 10 proc.” itd. Większość dziennikarzy woli jednak

takie informacje, bo wiedzą, że one się dobrze sprzedają.

**Ten przykład sugeruje, że liczby w ekonomii potrzebne są do porównań. Gdy mówił pan o czarnym scenariuszu, media nie przykładały do tego wagi. Bo kto wie, co w tym kontekście znaczy „czarny”? A gdy powie pan, że PKB spadnie około 10 proc., to możemy sobie przypomnieć, jak się nam powodziło, gdy PKB spadło o 5 proc., i wyciągnąć z tego jakieś wnioski.**

Nie zgadzam się z tym. Po pierwsze zmiany PKB mają niewielki związek z tym, co ludzie chcą wiedzieć o rzeczywistości gospodarczej. Jeśli pożyczę 10 tys.

euro, tylko głupiec powie, że jestem bogatszy o 10 tys. euro. Ale gdy to samo robi rząd, który w danym roku pożycza równowartość 3 proc. PKB, a jednocześnie PKB powiększa się o 3 proc., cieszymy się, że jesteśmy o 3 proc. bogatsi. A przecież to nieprawda. A skoro nie, to nie można też bezpośrednio porównywać stóp wzrostu gospodarczego. Wzrost PKB o 3 proc. w jednym roku nie musi dla mnie oznaczać tego samego, co wzrost PKB o 3 proc. w innym roku. Podobnie nie ma sensu porównywanie PKB per capita, bo ten wskaźnik też nie uwzględnia

Sedlāček: Faryzeusze sądzili, że droga do Boga to ściśle przestrzeganie praw. Chrystus mówił, że faryzeusze fetyszyzują prawo, co zamyka im oczy na prawdę. Dziś część ekonomistów mówi, że kryzys wybuchł, bo nie słuchaliśmy rynków, a stronę Chrystusa bierze ruch Okupuj Wall Street.

wielu czynników, m.in. zadłużenia społeczeństwa. Potrafi pan powiedzieć, jak się zmienił pan prywatny PKB w ubiegłym roku?

**Oczywiście, jak przystało na Polaka ze skłonnością do narzekania, jestem pewien, że spadł. O ile?**

**Chwilczkę, muszę sięgnąć do mojego modelu, uwzględniającego...**

(śmiech) No właśnie, nie wie pan. A dlaczego? Bo nie obchodzi to pana. Gdyby to pana obchodziło, łatwo byłoby to sprawdzić. Wystarczyłoby skontaktować się z księgowym i zapytać, jak się zmieniły pańskie dochody w ciągu roku. Może usłyszałby pan: „Przykro mi, ale pogorszyło się panu o 4,7 proc. To niestety wynik gorszy od średniej krajowej”. Ale przecież nikt nie próbuje tego sprawdzić, bo jest to kompletnie nieistotne. Nawet na poziomie osobistym, co teoretycznie jest zdecydowanie ważniejsze niż zmiana PKB na poziomie kraju. Nie wiedzieć czemu, ta ostatnia liczba urasta do niewiarygodnej rangi tylko dlatego, że jest obliczana i dostępna. Tak jest też z wieloma innymi statystykami.

**Może osobistego PKB nikt nie oblicza, bo każdy mniej więcej czuje, jak mu się powodzi. A tego, jak się ma gospodarka, poczuć nie można. Potrzebne są syntetyczne wskaźniki? Sądzi pan, że potrafi ocenić, jak mu się powodzi? Czy na przykład jest pan obecnie szczęśliwszy niż rok temu? Myszę, że nawet tego nie wiemy i nie przywiązujemy do tego wagi.**

**Powiedział pan, że ekonomiści dobrze wiedzą, że nie są w stanie niczego właściwie prognozować. Może trzymają się jednak języka matematyki, bo wiedzą, że inaczej o ekonomii, o gospodarce mówić się nie da?**

Nie sądzę. Gdyby z rozmów ekonomistów wyciąć wszystkie liczby, została by nam debata teologiczna o roli łaski. Chodzi o to, czy Bóg patrzy na nas przez pryzmat praw, których przestrzeganie gwarantuje nam zbawienie, czy może raczej zbawienie jest łaską, na którą zasłużyć nie można? Faryzeusze sądzili,

że droga do Boga to ściśle przestrzeganie praw. W tej optyce nieszczęścia nie były dowodem na to, że prawa są do bani, tylko na to, że nie dość rygorystycznie ich przestrzegano. Chrystus z kolei uważał, że faryzeusze fetyszyzują prawo, etykę, co zamyka im oczy na prawdę.

Teraz przerabiamy to ponownie. Część ekonomistów mówi, że kryzys wybuchł, bo nie słuchaliśmy rynków, nie przestrzegaliśmy ich praw, więc musimy jeszcze bardziej w rynki uwierzyć. Inni mówią, że przeciwnie, kryzys pokazał, że zanadto zdaliśmy się na rynki, że musimy więcej w gospodarce ingerować. Tak czy inaczej chodzi o to, że rozwiązaniem problemów ekonomicznych jest jeszcze więcej ekonomii.

Stronę Chrystusa bierze ruch Okupuj Wall Street, który jest przeciwny całemu korpusowi ekonomii. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że ekonomiści rozmawiają o konkretnych prawach, które daje się ująć w matematyczne formuły, a faktycznie prowadzą bardzo niedbałą, chaotyczną debatę etyczną. Nie jest więc prawdą, że jest tylko jeden możliwy język ekonomii. A ten obecnie dominujący też nie byłby zły, gdybyśmy nie przeceniali jego możliwości, nie przypisywali liczbom boskiej mocy.

**W „Ekonomii dobra i zła” wskazuje pan, że ekonomiczne modele mogą też kreować rzeczywistość i nie muszą się one kłócić z etyczną naturą ekonomii. Można je wykorzystywać do realizacji słusznych celów?**

Teoretycznie tak, ale niestety tak się z nich nie korzysta. Mamy na przykład model doskonałej konkurencji. Ale to nie jest żaden ideał, wzór rzeczywistości, w jakiej ludzie chcieliby żyć. Bo w tej rzeczywistości nie byłoby innowacji, nie byłoby też zysków, a świat byłby dość niezmienny.

**Czyli właściwie nie ma pan nic przeciwko współczesnej ekonomii oprócz tego, że jej praktycy nie dość jasno zdają sobie sprawę z tego, że jest to wiara, ze wszystkimi jej ograniczeniami?**

Tak, bo wiara może być niebezpieczna. Jeśli ludzie zapominają, że to, w co wierzą, jest tylko wiarą, grozi im fanatyzm.

**Na pierwszy rzut oka ekonomiści rozmawiają o konkretnych prawach, które dają się ująć w matematyczne formuły, a faktycznie prowadzą chaotyczną debatę etyczną, przypisując liczbom boską moc.**

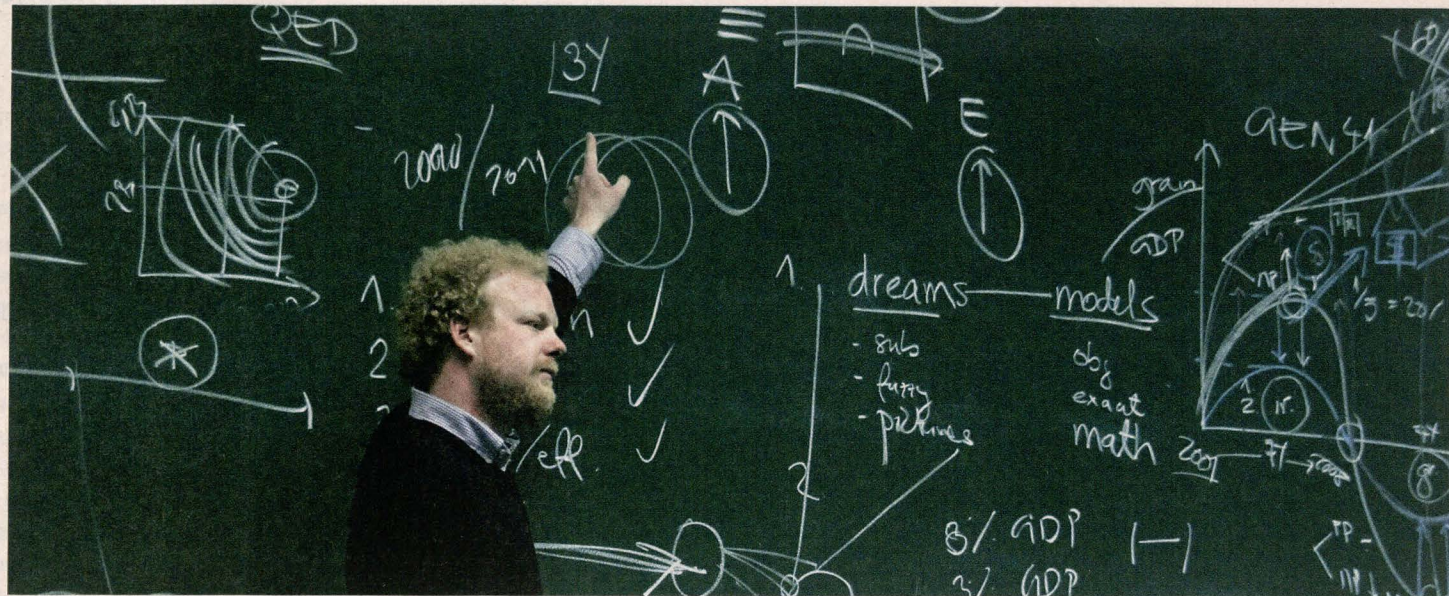
Dziś fetyszyzujemy ekonomię, co zaburza relację podmiot – przedmiot. Ekonomia jest przedmiotem, który powinniśmy umieć kontrolować, a tymczasem to on ma nad nami kontrolę. To problem charakterystyczny dla przedmiotów, które jakoby kryją klucz do wszystkich naszych bolączek, jak np. lampa Aladyna. W trylogii „Władca pierścieni” takim przedmiotem jest pierścień, którego nikt nie kontroluje. Jeśli już, to pierścień może zdobyć nad kimś kontrolę, co widać na przykładzie Golluma. Mądrzy bohaterowie o tym wiedzą i nigdy pierścienia nie dotykają. Ten motyw powraca też w twórczości Milana Kundery. Bohaterowie prowadzą jakąś grę, która wymyka się spod kontroli i czyni ich kukiełkami. Podobnie można rozumieć chrześcijaństwo: Bóg stworzył człowieka, który wymknął się spod kontroli, a Bóg nie mógł go po prostu zgładzić, tylko musiał sam się poświęcić, zabić samego siebie.

**W jakim sensie ekonomia nami zawładnęła? Sam pan powiedział, że dla większości ludzi dane ekonomiczne nie mają znaczenia i nie przeprowadzają oni przed każdą decyzją ekonomicznego rachunku zysków i strat.**

Te dane mają znaczenie dla ludzi, którzy mają wpływ na nasze życie. Na przykład były prezydent Francji Nicolas Sarkozy skarżył się, że utracił swobodę działania, bo musi słuchać dyktatu rynków, które mają własną wolę, logikę i język, a nawet rzeczownika: agencje ratingowe. Wcześniej zalił się na to Bill Clinton, gdy po zwycięskich wyborach usłyszał od doradców, że nie może zrealizować wielu punktów swojego programu, bo nie podobałoby się to rynkom.

**Ekonomistów wierzących w wolny rynek można szukać ze świecą. Dziś większość z nich wyznaje interwencjonizm. W efekcie nawet**





w niezbyt zamożnych krajach, jak Polska czy Czechy, wydatki rządów sięgają 20 proc. PKB, a na Zachodzie przekraczają często ponad 50 proc. Do tego dochodzą liczne regulacje. Właściwie trudno wskazać jakikolwiek rynek, który byłby naprawdę nieskrepowany.

Ale jednak agencja ratingowa może powiedzieć Francji, że jeśli nie obniży podatków dla najbogatszych, to jej ocena wiarygodności kredytowej zostanie obniżona. Przy obecnym poziomie zadłużenia Francji, to może być dla niej poważny problem. Do swojej skargi Sarkozy powinien być jednak dodać, że to on sam i jego poprzednicy są współwinni tej sytuacji, bo gdyby kraj nie był zadłużony, wiarygodność Francji w oczach rynków nie miałaby dużego znaczenia. Podobnie jest w przypadku Węgier, które też utraciły swobodę działania. Można powiedzieć, że gdy kraj pożyczka pieniądze, to początkowo zyskuje większą wolność, może sobie na więcej pozwolić. Ale w końcu rząd przestaje nad długiem panować i traci wolność, staje się niewolnikiem rynków. Znów pojawia się więc motyw gry, która się uniezależnia od gracza. Rządy mogą rynki ograć, ale potem dość szybko rolę się zamieniają.

Teraz rządy próbują ponownie złapać za joystick. Nie ma pan wrażenia, że próby zaplanowania nad rynkami mają podobne skutki uboczne jak prognozy ekonomistów: rodzą iluzję bezpieczeństwa, usypiają czujność? Relacja rządów i rynków przypomina dwóch pijaków, którzy muszą się wza-

jemnie podierać, aby nie upaść. Rządy potrzebują rynków, aby zaciągać kredyty, nie mogą bez nich przetrwać. Widać to na przykładzie Grecji czy Irlandii, które utraciły dostęp do rynków. Jednocześnie, rządy muszą się zadłużać, bo gospodarki wymagają ich wsparcia. Gdyby zaczęły równoważyć swoje budżety, na rynkach pojawiłyby się strach przed recesją.

**Główny ekonomista MFW Olivier Blanchard w tym kontekście powiedział, że rynki zachowują się schizofrenicznie.**

Ja bym dodał, że zachowują się też maniacko-depresyjnie. Dobre nastroje inwestorów przeradzają się w manie, a złe w finansowe krachy.

**W „Ekonomii dobra i zła” napisał pan, że spór między zwolennikami wolnego rynku a sympatykami interwencjonizmu to w gruncie rzeczy spór o naturę człowieka, o to, czy jest on dobry, czy zły. Jeśli zły, to rynki trzeba regulować i nadzorować, jeśli dobry, to można je pozostawić samym sobie. Pan sądzi, że ludzie są z natury źli?**

(śmiech) Rzeczywiście sądzę, że rynki nie regulują się same. Sektor finansowy ma dziś tak złą prasę, bo przed kryzysem przekonywał rządy, aby trzymały się od niego z daleka, aby się nie mieszały w jego funkcjonowanie. Finansiści mówili, że przecież są inteligentnymi ludźmi, z dyplomami MIT i Harvardu, że nie trzeba im patrzeć na ręce. Pokazywali swoje równania i modele, zapewniając,

**Sedląc:** Gdy kraj pożyczka pieniądze, to początkowo zyskuje większą wolność, może sobie na więcej pozwolić. Ale w końcu rząd przestaje nad długiem panować i traci wolność, staje się niewolnikiem rynków.

że je rozumieją, a to, że regulatorom wydają się one niezrozumiałe i skomplikowane, to wynik ignorancji, braku czasu. Lepiej więc, żeby laicy regulatorzy nie przeszkadzali, nie ingerowali w te boskie mechanizmy. A gdy kryzys wybuchł, ci sami finansiści zwrócili się do rządów o pomoc. Lamentowali, że nie wiedzą, co się dzieje, i potrzebne jest zaangażowanie władz. Wiadomo, że najgorszy jest lekarz, który twierdzi, że wie, co panu dolega, choć faktycznie nie wie, a nie taki, który od razu przyzna, że nie wie. Rynki zachowały się jak ten pierwszy. Utrzymywały, że są racjonalne, ale nie spełniły najwyższej powinności rozumu, którą jest – jak mówił Pascal – poznanie własnych ograniczeń. Albo – jak mówił Russell – że ponad logiką jest wyższa logika, że rozum nie jest samowystarczalny.

**O tym, o czym nie można mówić, trzeba milczeć...**

Na te słowa Wittgensteina Carnap odpowiedział: „Niestety, właśnie to, o czym nie można mówić, jest najważniejsze”.

**To ironia losu. Dawni liberałowie z tzw. szkoły austriackiej, zasłużyli w propagowaniu**

**Rynki są nie tylko schizofreniczne. One zachowują się wręcz maniacko-depresyjnie. Dobre nastroje inwestorów przeradzają się w manie, a złe w finansowe krachy.**

ekonomii wolnorynkowej, byli przeciwni ingerowaniu w działanie rynków i gospodarki właśnie dlatego, że byli przekonani o braku racjonalności człowieka, o tym, że wiedza jest rozproszona w milionach umysłów i nikt nie posiada pełnego zrozumienia gospodarki. Roszczenia do takiej wiedzy Hayek nazywał „złotą pychą rozumu”.

I taką ekonomię, jaką uprawiano w szkole austriackiej, doceniam. Obywała się ona bez matematycznego sztafażu, bez potężnych modeli, stosowała raczej argumentację filozoficzną. Ale to wystarczyło, aby wykazać bezsens gospodarek planowanych, komunizmu. I być może, gdyby nie pycha ekonomistów i finansistów zapatrzonych w modele, rynki rzeczywiście najlepiej funkcjonowałyby pozostawione same sobie.

**Dziś nie mogą?**

Niewidzialna ręka rynku jest potężna, ale muszą istnieć granice, które skanalizują jej siłę. Tak jak rzeka wymaga brzegów, tak muszą istnieć pewne ograniczenia dotyczące stosowania logiki rynku, np. zakaz pracy dzieci. W „Ekonomii dobra i zła” podaję przykład Nowego Jorku. Ta metropolia jest wykorzystana w każdym calu, wydaje się doskonale rozplanowana, z jej ponumerowanymi, prostokątnymi ulicami i drapaczami chmur. I w centrum tego wszystkiego jest przestrzenny szabat: Central Park. Tam nie można zbudować nowego wieżowca za żadne pieniądze, choć może z perspektywy wydajności Nowego Jorku byłoby to pożądane i zwiększyłyby jego PKB.

**Przykład parku zawsze sprawia kłopot zwolennikom wolnego rynku, ale równie wymowny jest inny pański przykład z „Ekonomii dobra i zła”: tama, która ma zapobiegać powodziom na danym obszarze, może pęknąć, co skutkuje znacznie poważniejszą powodzią niż te, którym zapobiega.**

Bo z ingerowaniem w gospodarkę i rynki też nie można przesadzić. Gdy bank centralny próbuje tłumić wszelkie kryzysy, w końcu nieprawidłowości się skumulują i może dojść do znacznie poważniejszego kryzysu. Albo gdy rząd próbuje podgrzać koniunkturę polityką fiskal-

ną, może stracić zaufanie rynków i wpuścić kraj w recesję, której próbował zapobiec. Ale to nie jest tak, że wolny rynek jest w jakiś sposób stanem naturalnym, a interwencje władz go burzą. Wracając do przykładu parku, dla większości ludzi na świecie nie ma już nic naturalnego. Natura, którą oglądamy, jest sztucznie utrzymywana, a żeby obejrzeć dziką naturę, musimy pojechać na wakacje, co też nie jest naturalne. Żyjemy w fundamentalnie sztucznym świecie.

**Zastanawia mnie, czy z pańskich poglądów na ekonomię użytek mogą zrobić politycy zmagający się z kryzysem w strefie euro. Jeśli na pewnym szczeblu ten kryzys jest wynikiem iluzji, że zwiększając konsumpcję, ludzie w końcu zaspokoją swoje pragnienia, to może należy przestać ratować bankrutujące gospodarki, aby tę iluzję skruszyć?**

Ludzie nigdy nie będą mieli dość, nie osiągną zadowolenia. Gdy zaspokoją

jedną potrzebę, pojawi się inna. Musimy zdać sobie z tego sprawę. Niby wszyscy wiemy, że pieniądze to nie wszystko, że jest to banał, ale żyjemy, jakbyśmy tego nie wiedzieli. To właśnie przykład tego, jak model, który jest tylko uproszczeniem rzeczywistości, zaczyna funkcjonować jako ideał. Mam na myśli model homo oeconomicus, człowieka dążącego do maksymalizacji użyteczności. Mówi nam się, że mamy konsumować, mamy wydawać, wtedy jesteśmy wartościowymi uczestnikami życia gospodarczego. A w efekcie politycy sądzą, że mogą wkupić się w nasze łaski większą rozrzutnością. Nasuwa się więc wniosek, że politykę fiskalną powinno się odebrać politykom, tak jak odebrano im politykę pieniężną. Tą ostatnią zajmują się niezależne banki centralne, rządy nie mogą już drukować pieniędzy. Ale mogą zaciągać długi. I dlatego nie mamy problemów z inflacją, a mamy z zadłużeniem.

REKLAMA

PRENUMERATA 2013

Prenumerata w **egazety.pl** to:

- najbogatsza oferta na rynku – ponad 370 tytułów
- atrakcyjne ceny
- wygoda korzystania

Zarejestruj się na [www.egazety.pl](http://www.egazety.pl) i testuj za darmo. Przy większej liczbie prenumerat skontaktuj się z [egazety@egazety.pl](mailto:egazety@egazety.pl), +48 22 379 16 90

**eGazety.pl**  
prasa bez granic





PATRYK CHILEWICZ, ZDJĘCIA DAREK GOLIK

# Światła, kamera, aplauz!

Niewidoczni dla kamery i widzów przed telewizorami, a niezastąpieni przy produkcji każdego show. To **animatorzy publiczności**, dzięki którym oklaski na widowni są bardziej gromkie, a aplauz donośniejszy.

**P**lay maker, warm upper, animator publiczności. Nazw tego specyficznego zawodu jest wiele, lecz wiedza o nim niska. Dlaczego? – Nie mówi się o nim z prostego powodu: lepiej dla widza i dla producenta, jeśli nikt nie będzie miał wątpliwości, że wszystko, co dzieje się w show, jest naturalne – mówi Piotr Balicki, znany telewizyjny „wymiatacz”, który pracował przy połowie polskich show z udziałem publiczności.

W Polsce ten zawód odkryto pod koniec lat 90., gdy po pojawieniu się na rynku TVN stacje komercyjne zaczęły ze sobą konkurować. Gdy TVN zatrudnił swojego animatora publiczności, Polsat nie mógł pozostać w tyle. Złote czasy polskiej telewizji pozwalały na bezproblemowe zatrudnienie kolejnej osoby do produkcji programu. Początkowo animatorzy pełnili bardziej funkcję reprezentatywną. – Niedawno zawód animatora zaczął w końcu być doceniany przez reżyserów. Wcześniej polegało to trochę na bitwie między stacjami o prestiż, dziś docenia się jego wkład w produkcję show – tłumaczy Balicki.

Jego praca polega na tym, by być niedostrzeżonym, a bezpośrednio wpływać na reakcje publiki. Ta, jak wiemy, ma wielką siłę – potrafi zarówno obronić przed prowadzącym zaproszonego gościa, jak i pogrążyć go w niesławie. Balicki, którego branża uważa za naj-

lepszego rodzimego warm uppera, zna wszystkie sztuczki profesji. – Przygodę z telewizją zacząłem, gdy miałem 17 lat. Znajomy zaproponował mi udział w programie Zbigniewa Wodeckiego „Droga do gwiazd” w jakiejś nowej krakowskiej telewizji TVN. Zgodziłem się, pojechałem do Łęgu, gdzie był wówczas największy w Polsce ośrodek nagraniowy, usiadłem wśród publiczności i biłem brawa. Od razu mnie to wciągnęło, a okazało się, że to był okres, w którym mało ludzi wiedziało o tym, że można przyjść do telewizji i wziąć udział w nagraniu programu. A co dopiero dostać za to pieniądze, co dziś jest standardem. Realizatorzy mieli niewielu chętnych, więc zaproponowałem, by cała moja klasa maturalna przychodziła na nagrania – opowiada animator. Balicki się wciągnął. – Dziewczyna zajmująca się zapraszaniem ludzi do roli publiczności show zauważyła, że jestem dobry i potrafię żywiołowo reagować na wydarzenia ze sceny, więc zaproponowała mi pracę przy organizacji publiki. To był dla mnie szok, byłem tuż przed maturą, a dostałem pracę w telewizji – wspomina Balicki, który mimo młodego wieku szybko zrozumiał, jakimi prawami rządzi się telewizja. Ze liczy się tu szybkość działania, perfekcja i szeroki uśmiech.

– Początki były potwornie trudne. Musiałem pozostać miłym zarówno

dla ludzi przychodzących na nagrania, jak i dla producentów, którzy ode mnie wymagali kontrolowania sytuacji. Jeśli ktoś po trzech godzinach nagrań non stop potrzebował iść do toalety, to wyprowadzałem go ukradkiem, by nie narazić się produkcji – zwierza się animator.

Balicki nie był najpokorniejszym pracownikiem telewizji. Praca z publicznością wymaga specjalnego stroju, a play maker miał z tym spore problemy. – Czarny T-shirt, spodnie i buty pozwalają przemykać kamerze, nie zwracając na siebie uwagi. To istotne w pracy animatora publiczności, w końcu mamy być niewidoczni. Ja jednak preferuję żywe kolory, więc wielokrotnie musiałem wyklócać się z producentami. Teraz już machnęli ręką i mogą przychodzić ubrani tak, jak chcą. Bo i tak przeciętny widz ma problem z zauważeniem mnie w tłumie – tłumaczy warm upper.

## Publiczność jak orkiestra

Praca animatora publiczności to zarówno nagrania na żywo, jak i te montowane. Przed nagraniem warm upper dostaje od reżysera scenariusz programu i wskazówki: czy publiczność ma być bardziej rozbawiona, czy skupiona, jak intensywne i spontaniczne mają być jej reakcje. Później animator ma za zadanie wyjaśnić ludziom, jak mniej więcej będzie wyglądało nagranie i czego mogą się spodziewać. Oczywiście Balicki nie zdradza uczestnikom wszystkich szczegółów. Na przykład podczas ustaleń z publicznością „Rozmów w toku” tłumaczył im, o czym będzie odcinek i kto w nim weźmie udział, lecz nie zdradzał pytań Ewy Drzyzgi. Część programu musiała pozostać improwizowana, by ludzie nie deklamowali formułek z wypowiedziami do kamer. – Na planie „Rozmów w toku” pracowałem sześć lat. Uwielbiam ten format, ale po takim czasie błagałem, by mnie zwolnili – śmieje się Balicki. – Nagrywaliśmy dwa odcinki dziennie, to było niesamowite doznanie, ale też duże obciążenie. Bohaterowie przychodzili z własnymi historiami i emocjami, po

Piotr Balicki, przez branżę uznany za najlepszego w Polsce animatora publiczności, z jej pomocą potrafiłby zarówno obronić gościa programu przed prowadzącym, jak i pogrążyć go w niesławie.



pewnym czasie zauważyłem, że sam czułem się jak psychoanalityk.

Po „Rozmowach...” przyszedł czas na „Taniec z gwiazdami”. – Pracowałem tam przez sześć i pół roku. Na planie produkcji wszyscy się znali, przez tak długi okres udało nam się zbudować niezwykłą drużynę, która potrafiła niemalże taśmowo produkować odcinki na dobrym poziomie. Okazało się, że gdy zabrakło „Tańca...”, osoby przy nim pracujące zatęskniły nie tyle za samym formatem, ile za atmosferą i współpracownikami. Ta ekipa ludzi była wartością samą w sobie – wspomina Balicki.

### Animatorów trzech

Przez te wszystkie lata animator nie tylko wypracował mocną pozycję w raczkującej u nas branży, ale też poznał najważniejszych tego świata. A to niezwykle istotne w tej pracy, bo to właśnie dzięki kontaktom zdobywa się kolejne zlecenia. – Każdy reżyser wychowuje sobie warm upperów. Przy telewizyjnych show pracuję już bardzo długo, znam wszystkich animatorów publiczności, więc nie jest trudno dopasować mi konkretnego warm uppera do produkcji telewizyjnej – przyznaje Wojciech Iwański, reżyser wielu telewizyjnych show, od „Idola” po „Mam talent!”. Iwański współpracował często z Balickim, panowie znają się od ponad 10 lat.

Nic dziwnego, bo choć telewizyjnych formatów wciąż przybywa, profesjonalnych warm upperów jest zaledwie trzech. Poza Piotrem Balickim jest jeszcze Barbara Gosztyła i animator tancerz Mykee, który zajmuje się publicznością „You Can Dance”. Każde z nich swoje umiejętności zdobywało samodzielnie, metodą prób i błędów. W Polsce nie ma szkoły warm upperów, wszystko zależy od indywidualnych umiejętności. Najważniejsza jest otwartość wobec nieustannie zmieniających się ludzi na widowni. Trzeba też zachować pogodę ducha, choć warunki często są, delikatnie rzecz ujmując, niesprzyjające. Jako przykład Balicki podaje program TVN „Ciao Darwin”,

Wojciech Iwański, reżyser „Mam talent!”, przyznaje, że każdy show, który realizuje, wymaga innych reakcji publiczności, dlatego tak ważna jest praca warm upperów.



który pobijał rekordy długości nagrań. Do studia przychodziło się o godz. 8 rano, kamery włączano o 10 i przez 12 godzin nagrywano kilkudziesięcimi minutowy show.

Jeszcze gorzej było w krakowskim studiu telewizyjnym. Nagrywanie jednego z programów miało skończyć się o godz. 22, lecz z powodu licznych problemów trzeba było wydłużyć pracę. – Wtedy publiczność dostała półgodzinną przerwę. Ludzie poszli do sklepu po alkohol. Wrócili w o wiele lepszych nastrojach i przez 40 minut byli publicznością idealną – śmieje się Piotr Balicki. Wspomina, że tak naturalne i żywiołowe odruchy rzadko kie-

dy widział. Nagranie skończyło się dopiero o godz. 6 rano. – Większość już wytrzeźwiała, a że następnego dnia każdy szedł do swojej regularnej pracy, ze studia od razu rozjechali się pracować dalej – opowiada animator.

Iwański przyznaje, że praca warm uppera nie należy do najłatwiejszych. – Jedno nagranie „X Factor” trwa około sześciu godzin z przerwami, podczas których trzeba utrzymać publiczność w dobrym nastroju i sprawić, by ciągle żywo reagowała. Podczas przerw konieczne są zmiany inscenizacji czy makijażu występujących w programie, wtedy warm upperzy zagadują publiczność, budują z nią więź. Często są też

urządzone drobne konkursy z nagrodami – mówi. Wszystko po to, by podtrzymać atmosferę zabawy, niezbędną w porządnym show.

Jeśli w ogóle ludzie wiedzą, że istnieje ktoś taki jak warm upperzy, najczęściej mają błędne wyobrażenie o ich pracy. – Panuje stereotyp, że animatorzy publiczności podnoszą kartki z napisami „aplauz” i „cisza”. To bzdura. Będąc dyrektorem artystycznym Teatru Sztuk Wielu, szkoły artystycznej dla młodzieży, zrobiłem wśród uczniów doświadczenie, w którym poprosiłem ich, by animowali tłum kartkami. Udało im się wywołać brawa, jednak były to oklaski na bardzo miernym poziomie. Przy dzisiejszym show, w którym publiczność dysponuje wieloma środkami wyrazu, od buczenia, tupania i krzyków, po śmiech, bujanie się i taniec, nikt nie byłby w stanie pracować z kartkami – wyjaśnia Piotr Balicki.

Reżyser „Mam talent!” przyznaje, że każdy show, który realizuje, wymaga indywidualnego podejścia. – Każdy program jest inny, więc wykorzystuje się przy nich inne reakcje publiczności. Castingi do „X Factor” odbywają się w wielkiej sali koncertowej w Zabrzu na 2,5 tys. osób. Wiadomo, że inaczej pracuje się z taką masą ludzi. W studiu nagranie trwa oczywiście krócej, lecz wymaga wytężonej pracy i skupienia zarówno ze strony publiki, jak i samego animatora. Zaczyna on pracę pół godziny przed startem programu, bo przecież musi poznać publikę i zdobyć jej zaufanie, by podczas nagrania live móc szybko reagować – tłumaczy Iwański.

### Warm upper do śmiechu

Zawód animatora publiczności przybył do nas z Wielkiej Brytanii, bo to właśnie BBC jest kolebką wszystkich dużych formatów, które zaważadnęły świadomością polskich widzów: „Idol”, „Taniec z gwiazdami” czy „The Voice”. – To wtedy na ścianie studia nagraniem pojawiły się dwie lampki: zielona z napisem „aplauz” i czerwona z napisem „cisza”. Początkowo spełniały one swoją rolę, jednak programy zaczęły

ewoluować, a te dwa proste słowa przestały wystarczać. Spójrzmy, jak bardzo zaangażowana jest publika w show Jerry'ego Springera, która krzyczy, rzuca w gości przedmiotami, żywo uczestniczy w akcji. Producenci show uznali, że trzeba znaleźć kogoś, kto zajmie się tymi ludźmi i będzie nad nimi panował, kto w dyskretny sposób pomoże im i wskaże, kiedy podjeżdża do nich kamera, kiedy warto głośniejsz zareagować – komentuje Piotr Balicki.

Balicki i inna znana warm upperka Barbara Gosztyła, którzy dojrzewali na planach produkcji, mają opanowane triki umożliwiające szybkie dotarcie do ludzi. W zapanowaniu nad machiną nagraniową, gdzie z jednej strony trzeba śledzić poczynania na scenie, z drugiej pozostawać w kontakcie z produkcją, a z trzeciej utrzymywać kontakt z publiką, pomaga magiczne ucho, w którym play maker słyszy, co dzieje się podczas produkcji show. – Prowadzący mają w swoich słuchawkach tylko głos reżysera, ja mam 12 osób z planu: reżysera, realizatora wizji, asystentów, realizatorów dźwięku, grafików... – wyjaśnia Balicki, któremu początkowo trudno było jednocześnie pracować z publiką i słuchać wszystkich tych głosów. – Zdarzyło się kiedyś, że nieświadomie zacząłem mówić do ludzi z publiczności slangiem produkcji, powtarzać rzeczy, które mówili do mnie ludzie z planu – dodaje. To wszystko wymaga wielkiej pracy nad podzielnością uwagi. – Ucho jest niezbędne. Gdy słyszę, że teraz będzie kamera numer sześć, to wiem, że za chwilę na wizji pojawi się publiczność. Biegę do tej kame-

ry, uzgadniam z operatorem, kogo pokazujemy, uśmiecham się do wskazanej osoby, a ona odpowiada mi uśmiechem – tłumaczy warm upper.

Czy ten uśmiech zawsze działa? Piotr Balicki uspokaja: – To prosta zależność: jeśli uśmiechasz się do kogoś, to on zwykle ten uśmiech odwzajemnia, wypróbuj to wśród przechodniów. Zawsze trzeba wejść z ludźmi w interakcję. Tego nauczyłem się w „Rozmowach w toku”. ☺





ANDRZEJ GODLEWSKI

# Telewizja totalna

Kuba Wojewódzki, Szymon Majewski i Tomasz Lis w jednym – co by było, gdyby jedną osobę obdarzyć talentami i sukcesami tych gwiazd? W Polsce trudno to sobie wyobrazić, ale Niemcy mają kogoś takiego.

**S**tefan Raab prowadzi w Niemczech najpopularniejsze audycje komediowe, gości najsłynniejszych artystów i odkrywa młode talenty, które np. wygrywają festiwal Eurovizji. Owszem, nie jest redaktorem naczelnym prestiżowego tygodnika, ale od niedawna prowadzi polityczny talk-show, który gromadzi znacznie więcej młodych widzów niż tradycyjne debaty konkurencji. Jego wpływ na współczesną telewizję w Europie może być porównywalny tylko z BBC.

## Raabinator

Kto używając łyżeczki jako katapulty, wrzuci więcej kostek cukru do szklanej miski? Kto strzelając kapsłem, jako pierwszy przewróci pustą plastikową butelkę postawioną do góry nogami? Oprócz posiadania smykałki w knajpianych zabawach trzeba się sprawdzić również w olimpijskich konkurencjach, np. w siatkówce, szermierce i biathlonie. Do tego dochodzą pytania z geografii i historii oraz quizy sprawdzające wiedzę ogólną. Łącznie w programie „Pobij Raaba” (oryg. „Schlag den Raab”) jest 15 tego typu pojedynków. Jeśli widz (wyloniony we wcześniejszych eliminacjach) zdobędzie więcej punktów niż gwiazdor, wygrywa pół miliona euro. Jednak nie jest łatwo pokonać Stefana Raaba. Z 38 takich zmagania z widzami gwiazdor wygrał aż 25. Dzięki temu pula nagród przechodziła do kolejnych wydań programu, aż 16 grudnia urosła do 3,5 mln euro!

Wtedy u Raaba zjawił się rolnik Bernd z Bawarii. W konkurencjach

technicznych i edukacyjnych 46-letni gwiazdor (z zawodu rzeźnik) radził sobie doskonale, ale w czasie tego prawie pięciogodzinnego pojedynku z rolnikiem – oczywiście na żywo transmitowanego przez jego macierzystą stację Pro7 – zaczęło już mu brakować kondycji. Kiedy doszło do decydującego starcia i prowadzący wręczył konkurentom noże oraz kazał im przedzierać się przez grubą ścianę z gąbki florystycznej, wyczerpany Stefan ostatecznie przegrał. Jednak porażka Raaba jako gwiazdora oznaczała dla niego ogromny sukces jako producenta. Audycja pobiła bowiem kolejny rekord w historii telewizji w Niemczech. Do tej pory jeszcze żaden widz nie wygrał samodzielnie jednego wieczoru tak gigantycznej nagrody. Poza tym zmagania były na tyle pasjonujące, że „Schlag den Raab” znalazł się w pierwszej dziesiątce tematów dyskutowanych na Twitterze na całym świecie. A na dodatek wśród widzów w wieku 14–49 lat (tzw. grupa komercyjna) Raab miał najliczniejszą publiczność i pokonał tego wieczoru niemiecki finał „Mam talent”! W ten sposób Raabinator, jak nazywają go sympatycy, umocnił swoją pozycję wśród gigantów telewizji w Niemczech. Licencję na swój „Beat the Host” sprzeda wkrótce do kolejnych krajów.

**Niemiecka prasa nie jest dla Raaba łaskawa. „Wprowadza w Niemczech emo-krację” – atakują go krytycy. Zarzucają mu granie na prostych emocjach.**

## Boks, poker i zjazdy na woku

„To płaska, nastawiona wyłącznie na trywialną rozrywkę telewizja” – mówi z kolei nieustannie krytycy działalności Raaba. Owszem. Można nawet przypuszczać, że wiele jego audycji zostało wymyślonych podczas długich piwnych biesiad. Mistrzostwa świata w zjeżdżaniu na patelni wok? Ten szalony pomysł Raab realizuje już od dziesięciu lat. Na profesjonalnych saneczkowych torach odbywają się więc zjazdy w woku pojedynczym i poczwórnym. Stefan Raab zdobył już cztery złote medale i w klasyfikacji wszech czasów ustępuje jedynie Georgowi Hacklowi, trzykrotnemu mistrzowi olimpijskiemu w saneczkarstwie.

Pokerowa noc? Ta idea także przypadła do gustu Raabowi. Gra więc pół nocy w karty z innymi celebrytami i widzami, który zdobył dziką kartę. Boks i quiz? Także głupie, ale Raab zdecydował się i to połączyć. „Mamy już wystarczająco dużo głupich bokserów i trzeba szukać mądrych” – przekonuje. W jego show są więc dwie minuty pytań i dwie minuty boksu. Takich rund jest po pięć, ale w każdej chwili możliwy jest nokaut – albo na ringu, albo przy pytaniach. Tak jak w prawdziwym boksie są różne kategorie wagowe (lekka, średnia i ciężka), a nawet specjalna federacja, którą powołał Raab i która strzeże reguł tej nowej dyscypliny (Quizboxing Association, WQBA).

Oczywiście wszystkie zawody, w których bierze udział Stefan Raab, stylizowane są przez jego macierzystą stację Pro7 jako najważniejsze wyda-



MICHAEL TIMM/FEAST NEWS

rzenia. „Widzowie przeciw gospodarzowi – tego nigdy nie było w TV!” – reklamuje nadawca i ma wiele racji. Kiedy Raab skupia się przed rzutem kapsłem w butelkę PET, sportowy komentator opisuje to w taki sposób, jakby odbywał się właśnie finał mundialu i Niemcy mieli strzelić decydujący rzut karny.

Gwiazdor Pro7 pozbawiony jest wszelkich kompleksów: rzucił nawet rękawicę mistrzyni świata w boksie Reginie Halmich. Mocno go poobijała, ale Raab znów miał oglądalnościowy sukces, a jego posiniaczona twarz stała się symbolem tej totalnej telewizji (jego codzienny program nosi właśnie tytuł „TV Total”).

## Emo-kracja

„Nie pozwolimy, by traktowano nas jak niedźwiedzie tańczące w cyrku” – grzmiał na jesieni przewodniczący Bundestagu Norbert Lammert. W ten sposób szef niemieckiego parlamentu odniósł się do najnowszej idei Stefana Raaba i programu „Absolutna większość”. Raab zdecydował bowiem, że

wtargnie na tereny zarezerwowane dotąd dla tzw. poważnych dziennikarzy i wymyślił polityczny talk-show. Pięciu polityków z różnych partii dyskutuje o aktualnych sprawach – podatki, euro, sieci społecznościowe itp. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że widzowie oddają głosy na dyskutujących i uczestnicy z najmniejszym poparciem kolejno odpadają. W finale pozostaje trójka polityków i ten, który zdobywa poparcie absolutnej większości głosujących, wygrywa 100 tys. euro. „Opinie muszą się znów opłacać!” – reklamował przewrotnie swój nowy show Raab.

Mimo że do pierwszego odcinka nie udało mu się pozyskać pierwszoligowych uczestników (być może zawstydziły ich słowa Lammerta), znów odniósł rynkowy sukces. Jego audycję – jak ogłosił Pro7 – oglądało znacznie więcej widzów w grupie komercyjnej niż jakkolwiek inną polityczną debatę w niemieckiej telewizji. A możliwe, że w lutym wydaniu programu Raab zgromadzi jeszcze większą pu-

W programach Raaba nie ma miejsca na poniżanie i upokarzanie tych, którym zamarzyła się konfrontacja z gwiazdą. Każdy może z nim wygrać i wszyscy mają mnóstwo zabawy.

bliczność. Wówczas bowiem pula nagród wynosić będzie aż 200 tys. euro (w pierwszym odcinku zwycięzca zdobył tylko 42 proc. głosów).

Zresztą nie tylko Niemcy mają wiele pociechy ze Stefana Raaba. W 2000 r. wystąpił na festiwalu piosenki Eurovizji z prześmiewczą piosenką w stylu disco „Wadde hadde dudde da?” i zajął piąte miejsce. Było to jednak poniżej jego ambicji, więc stworzył w Niemczech krajową wersję Eurovizji, którą nazwał Bundesvision Song Contest. Jest w tym oczywiście sporo żartu (głosowanie odbywa się według eurowizyjnych zasad i każdy z 16 landów przyznaje kandydatom odpowiednią liczbę głosów), ale i przemyślanej koncepcji. Dzięki takim eliminacjom Raab odkrył talent Leny Meyer-Landrut. Właśnie dla niej napisał piosenkę „Satellite”, która w 2010 r. wygrała Eurovizję. „Kocham taką rywalizację, gdzie porównuje się jabłka z gruszkami i ballady z rytmicznymi hitami. Nie ma lepszej rozrywki niż połączenie rywalizacji z zabawą” – tłumaczył wtedy swój pomysł na telewizję.

Dla Stefana Raaba opiniotwórcza prasa nie jest z reguły łaskawa. „On wprowadza w Niemczech emo-krację” – zaatakowali ostatnio z nowymi argumentami krytycy. Rzeczywiście, wszystkie jego produkcje bazują na prostych emocjach. Ale czy jest w tym coś złego? Widz oglądający widowiska Raaba emocjonuje się rywalizacją (czasami rzeczywiście dziwną) uczestników. Jednak w odróżnieniu od wielu popularnych audycji, także tych znanych w Polsce, nie ma tu miejsca na poniżanie i upokarzanie tych, którym zamarzyła się konfrontacja z gwiazdą. Nie ma też jurorów obnażających słabości uczestników. Potencjalnie każdy widz ma szansę zmierzyć się z Raabem i z nim wygrać. A że przy tym wszyscy mają mnóstwo zabawy, a niektórzy świetnie zarobią? Przecież właśnie takie jest zadanie współczesnej telewizji. ☞

Autor jest zastępcą dyrektora TVP1.





EDYTA ŻEMŁA

# Żołnierz bez względu na płeć

W amerykańskiej armii kobiety formalnie nie mogą służyć na stanowiskach bojowych, mimo że często są zmuszone podjąć walkę, a nawet zabić. W polskim wojsku takiego zakazu nie ma, ale w praktyce w tzw. bojówce żołnierki też prawie się nie spotyka. By skończyć z fikcyjnymi przepisami, cztery Amerykanki zaczęły właśnie sądową batalię o prawo do służby na pierwszej linii frontu.



Żołnierze mówią o nas „piguły”, „pielęgniarki”, że niby potrafimy tylko podać leki czy założyć opatrunk. To przykre, bo przecież nieraz jechałam z nimi w patrolu – opowiada Basia, pielęgniarka z wojskowego szpitala na Szaserów, która kilkakrotnie była na misjach w Iraku i Afganistanie. – Kiedyś, w Afganistanie, MRAP (wojskowy pojazd opancerzony – przyp. red.) wjechał na minę pułapkę. To było straszne – wszędzie krew i ranni. Ci, którzy nazywali mnie lekceważąco „pigula”, są w takim szoku, że nawet ruszyć się nie mogą. To ja wtedy musiałam, oprócz ratowania rannych, zadbać jeszcze i o nich. Potrzęsając nimi, zmusić do działania. Ktoś musiał nas przecież osłaniać, zanim przyleciał QRF (Siły Szybkiego Reagowania – przyp. red.) – opowiada.

Basia to niewysoka, korpulentna blondynka, ma starannie pomalowane paznokcie i delikatny, ledwo widoczny makijaż. Za to w działaniu – wulkan. Na misji w Afganistanie pracowała w szpitalu polowym w polskiej bazie wojskowej w Ghazni. Do jej obowiązków należały także wyjazdy na patrole. Z wielkim, ciężkim plecakiem ratownika medycznego spędzała w opancerzonych pojazdach wiele godzin.

Bywała w sytuacjach niebezpiecznych i trudnych. Wiedziała, że nie może stracić zimnej krwi, bo inni potrzebują jej pomocy, bo może komuś uratować życie albo zdrowie. Czy to, co robią Basia i jej koleżanki – wojskowe pielęgniarki, żołnierki, ratowniczk medyczne czy inne kobiety w mundurach służące w Polskim Kontyngencie Wojskowym w Afganistanie – to tzw. udział w akcji bojowej? Tak. Według polskich przepisów każdy wyjazd żołnierza poza teren bazy to „akcja bojowa”. Problem w tym, że żołnierze z patrolu, którym jechała Basia, służą na stanowiskach bojowych, ona zaś w tzw. zabezpieczeniu medycznym.

### Krepujące prawo i procedury

W podobnej sytuacji jak polska pielęgniarka znalazła się Chantelle Taylor z Royal Army Medical Corps (Korpusu Medycznego Armii Brytyjskiej).



ARCHIWUM WYDZIAŁU PRASOWEGO DOWÓDZTWA WOJSK LĄDOWYCH

Kolumna, którą jechała, została zaatakowana przez uzbrojonych rebeliantów. Podczas strzelaniny Taylor zabiła jednego z atakujących. „Musiałam wybierać pomiędzy jego życiem a moim. Wybrałam siebie” – wspomina w książce, w której napisała o wojennych doświadczeniach.

Na misjach bojowych takie sytuacje to codzienność. Jednak w świetle amerykańskich przepisów strzelanina, która przytrafiła się Chantelle, nie może być zaliczona do walki na linii frontu, bo kobietom z US Army tego nie wolno robić. Dlatego Amerykanki walczą w sądzie, by zmienić wojskowe prawo i utworzyć sobie drogę do służby w jednostkach liniowych. Dwie rezerwistki, Jane Baldwin i Ellen Haring, już wcześniej pozywały USA za restrykcje dotyczące ich udziału w działaniach bojowych. Pozew złożony przez rezerwistki wpłynął do sądu federalnego w Waszyngtonie w maju ubiegłego roku. Z kolei w sądzie federalnym w San Francisco podobny pozew złożyły niedawno cztery kobiety żołnierki oraz działaczki Service Women's Action Network – organizacji zrzeszającej kobiety wojskowe.

W pozwach przekonują, że przepisy uniemożliwiają im objęcie niektórych stanowisk „tylko dlatego, że są kobietami”. To zaś narusza ich prawa zagwarantowane przez piątą poprawkę do konstytucji.



GETTY IMAGES/FPM



JARED WICKERHAM/GETTY IMAGES/FPM

Trudno się im dziwić. W armii USA kobiety stanowią 14,5 proc. personelu wojskowego w służbie czynnej. Dla porównania – w polskim wojsku ten odsetek wynosi jedynie 2,4 proc. Jednak w naszej armii nie ma prawie żadnych ograniczeń dotyczących służby kobiet. Natomiast w amerykańskim wojsku nie mogą one służyć m.in. w piechocie, wojskach pancernych czy wojskach specjalnych. Nie przysługuje im także prawo do studiowania w elitarnej szkole rangersów (Ranger School).

Amerykańskie żołnierki chcą wykazać, że ograniczenia wobec kobiet wpływają na możliwości ich awansu, obecne i przyszłe zarobki, a także świadczenia emerytalne. Przekonują, że kobiety i tak od lat wykonują zadania bojowe chociażby w Iraku czy Afganistanie. Formalny zakaz blokuje im drogę awansu, bo nie mogą wykazać się doświadczeniami z pola walki. – Już jako mała dziewczynka wiedziałam, że chcę zostać pilotem Sił Powietrznych. Mozolnie, krok po kroku, musiałam udowodniać swoje umiejętności – mówi major Mary Jennings Hegar, jedna z żołnerek, która złożyła pozew.

W Afganistanie Hegar brała udział – jako pilot śmigłowca – w operacjach Medevac (lotnicza pomoc medyczna – przyp. red.). W 2009 r., gdy ratowała trzech rannych żołnierzy, jej samolot został zestrzelony. Wtedy, podobnie jak bohaterka słynnego amerykańskie-

W polskiej armii kobiety mogą służyć na stanowiskach bojowych, ale wśród mężczyzn wciąż pokutuje przekonanie, że nadają się tylko do roli pielęgniarek. Amerykańskie żołnierki (z lewej i na górze) mają dość zakazu walki na linii frontu „tylko dlatego, że są kobietami”. Zaczęły sądową batalię, by móc służyć w piechocie i w wojskach specjalnych na równi z mężczyznami.

go filmu z Meg Ryan „Szalona odwaga” – kapitan Walden, musiała walczyć. Filmowa żołnierka zginęła. Pośmiertnie została odznaczona Medalem Honoru. Major Hegar przeżyła, została jednak ranna. Za odwagę uhonorowano ją Purpurowym Sercem i Zaszczytnym Krzyżem Lotniczym z odznaką waleczności (Distinguished Flying Cross with Valor).

– Umiejętności walki mają niewiele wspólnego z płcią. Znaczenie mają serce, charakter, zdolności, determinacja i odanie – przekonuje major Hegar. Według niej, wielką niesprawiedliwością jest to, że kobiety wciąż nie mają wstępu do lądowych oddziałów bojowych. I to mimo że w ostatnim dziesięcioleciu walczyły już w Afganistanie i Iraku, a ponad 140 zginęło w walce. – Okazuje się, że kobietom przysługują równe prawa, jeśli chodzi o śmierć na polu walki podczas służby dla kraju. Ale nie przysługują im równe prawa do służby swemu krajowi – powiedziała sierżant Jennifer Hunt, inna sygnatariuszka pozwu. Ona również została odznaczona Purpurowym Sercem po tym, jak pojazd, którym jechała, natknął się na podłożoną przy drodze minę pułapkę.

– Kibicuję tym kobietom, bo nie zgadzają się na poniżające traktowanie. Są częścią wojskowej rodziny i wskazywanie im miejsca jedynie na zapleczu to tak, jakby mówić o partnerstwie w rodzinie, a jednocześnie zakazywać żonie prze-

ścia z kuchni do salonu – mówi gen. Roman Polko, były dowódca elitarniej jednostki specjalnej GROM.

### Wygrała pierwszą bitwę

Walka amerykańskich kobiet o równe prawa w wojsku toczy się już od dłuższego czasu. W 1994 r. wprowadzono przepisy zezwalające na służbę kobiet w jednostkach bojowych na stanowiskach medycznych. Mogły zostać także oficerami wywiadu i pełnić służbę na innych stanowiskach na poziomie brygady. I to wszystko. Na kolejne zmiany żołnierki czekały aż 18 lat. W lutym tego roku Pentagon ogłosił, że kobiety mogą zająć dodatkowych 140 tys. stanowisk w armii i Korpusie Piechoty Morskiej. Na reakcję nie trzeba było długo czekać. Setki kobiet zgłaszają się do służby w brygadowych grupach bojowych. – Amerykanki bardziej niż Polki są wychulone na kwestie równouprawnienia płci i bardziej zaangażowane w walkę o równe prawa – zauważa komandor Bożena Szubińska, pełnomocnik ministra obrony narodowej ds. wojskowej służby kobiet. – W naszej armii jest coraz więcej kobiet, są w każdym rodzaju Sił Zbrojnych. I zaczynają zajmować również stanowiska bojowe, bo za takie można uznać dowódców plutonów czy kompanii – mówi komandor Szubińska. A major Julita Mirowska, oficer prasowy z Dowództwa Operacyjnego, dodaje, że kobiety na większą skalę pojawiły się w polskiej armii dopiero po przystąpieniu naszego kraju do struktur NATO w 1999 r.

### Co ty, babo, wiesz o zabijaniu

Przykłady polskiej pielęgniarki czy amerykańskiej lotniczki świadczą o tym, że kobiety coraz częściej biorą udział w walkach. Chociażby dlatego, że tradycyjne linie frontu zacierają się w takich operacjach jak te w Iraku czy Afganistanie. Zgodnie z danymi Pentagonu co najmniej 144 kobiet zginęło w Iraku i Afganistanie, a ponad 860 zostało rannych. Od początku tych misji służyły w nich ponad 280 tys. kobiet.

Polskie wojsko również wysłało kobiety na misje. W 2011 r. poza granicami kra-



ju służyło ich 140. Najwięcej w Afganistanie – 120, 18 w Kosowie oraz dwie w Bośni i Hercegowinie. W minionym roku podobnie. Najbardziej niebezpieczna jest oczywiście misja w Afganistanie. A kobiety służą tam na różnych stanowiskach.

– Mamy dziewczyny, które monitorują i nadzorują działania żołnierzy, pełniąc służbę w TOC (pomieszczenia dowódcze kontyngentu – przyp. red.) – mówi kpt. Marcel Podhorodecki z biura prasowego polskiego kontyngentu w Afganistanie. – Są też takie, które jako ratownicy medyczni biorą udział w patrolach, ale nie w bezpośrednich akcjach bojowych – dodaje.

No właśnie, co to znaczy, że nie biorą udziału w „bezpośrednich akcjach bojowych”? Każdy wyjazd za bazę jest kwalifikowany jako „akcja bojowa”, choć nie „bezpośrednia”.

– Kobiety zaangażowane są bezpośrednio w boj, nawet kiedy nie są formalnie wyznaczane takie zadania – przekonują amerykańskie rezerwistki, które złożyły pozew. Potwierdza to przypadek Chantelle Taylor. W czerwcu 2008 r. patrol, w którym jechała, został zaatakowany przez 20 dobrze uzbrojonych rebeliantów z twierdzy talibów Marjah w prowincji Helmand.

– Po dwóch ogłuszających wybuchach nastąpiły strzały z broni ręcznej i karabinów maszynowych. Pierwsza eksplozja wstrząsnęła pojazdem. Uderzyłam głową w przednią część samochodu. Potem nastąpił wybuch z granatnika przeciwpancernego. Dookoła nas było pełno odłamków. Konwój natychmiast skierował się w stronę strzelających talibów – mówi Chantelle Taylor. – Od razu, niewiele ponad 15 metrów ode mnie, zauważyłam w polu po lewej stronie bojownika talibskiego.

Dodała, że ogarnął ją strach, że będzie musiała strzelić do człowieka. – Instynktownie, ale z pełną determinacją wystrzeliłam siedem razy. Później koledy z mojego pułku żartowali ze mnie, że zmarnowałam amunicję – opowiada.

Polskie żołnierki podkreślają, że nie zabijają i nie chcą zabijać: jako pomoc medyczna ratują życie, a jako wojskowe

starają się raczej pracować na zapleczu, organizować działania i wspierać je logistycznie. – W naszej kulturze nadal jest zakorzenione przekonanie, że kobiety to strażniczki domowego ogniska, spokoju i ładu – mówi mjr Mirowska z Dowództwa Operacyjnego, odpowiedzialnego za misję polskich żołnierzy. – Nie robimy więc z nich na siłę wojowników. Może to jest nieuniknione, ale niech te zmiany zachodzą stopniowo – przekonuje.

Większość mężczyzn żołnierzy – tak w armii amerykańskiej, jak i polskiej – jest przeciwna służbie kobiet w wojsku, szczególnie na stanowiskach bojowych.

Mniej lub bardziej oficjalnie powtarzają, że kobiety są zbyt słabe fizycznie, by być żołnierzami. Rzadko słyhać takie opinie, jakie wygłasza gen. Polko: – Wśród moich podwładnych było niewiele kobiet. Te, którymi dowodziłem w GROM, nie tylko brały udział w operacjach bojowych, ale były też na pierwszej linii. Spisywały się znakomicie – przekonuje gen. Polko. – Ku mojemu zaskoczeniu największe obiekcje co do obecności kobiet w misjach specjalnych w Iraku mieli właśnie dumni ze swojej otwartości i demokracji Amerykanie. Niesłusznie. ☞

Autorka jest redaktorką naczelną portalu Polska-zbrojna.pl.

W ostatnim dziesięcioleciu Amerykanki walczyły już w Afganistanie i Iraku, a ponad 140 zginęło, mimo formalnego zakazu w walce. W armii USA kobiety stanowią 14,5 proc. personelu, w polskim wojsku ten odsetek wynosi jedynie 2,4 proc.

Polki są mniej niż Amerykanki wyczułone na kwestie równouprawnienia płci.



GILLES BASSIGNAC/GAMMA-RAPHO VIA GETTY IMAGES/FPPI



MIR MICHAŁ ROMANCIUK

Asia Bronisławska

## Role, które odgrywamy, sami powinniśmy reżyserować



KLARA KUCHARCZYK

**Mocna i świadoma akceptacja siebie i wyborów, które nam służą, pozwala odciąć się od porównań, osiągnąć wolność i żyć bez obłudy.**

Najważniejsi dla mnie są LUDZIE, ale role, które dla nich odgrywamy, dotkliwie mnie uwierają. Ludzie są u mnie na pierwszym miejscu. Postrzegam ich jako gatunek, który lubię, i wszystko, co robię – obojętnie, jaką przyjmuje formę – jest pretekstem do kontaktu z drugim człowiekiem, do poznania i tworzenia relacji. Doświadczenia i emocji. To nie ciekawość, ale szukanie pełni. Nie chodzę sama do kina, książki też najchętniej czytałabym na głos, muzyki lubię słuchać w tłumie, a chwilę samotności postrzegam jako aktywność bycia ze sobą.

Konsekwencją obcowania z ludźmi jest przyjmowanie różnych ról, a ich społeczne obciążenie zastanawia mnie od dłuższego czasu, ponieważ „odgrywanie” ich oznacza, że musimy przestać być sobą. Zmagałam się z godzeniem i pełnieniem ich wszystkich, dopóki nie przeddefiniowałam tych pojęć. Problemy, które mamy z byciem matką, córką, siostrą, żoną, przyjaciółką, nauczycielką, biorą się ze schematycznego ich opisu. Są zamknięte, ponazywane, podzielone na dobre i złe. Nie ma miejsca na dylematy. Każdy wie, co ma robić. Powinności, konteksty, tradycje, religie, szerokość geograficzna usidlają nas. Nie miałam wyjścia, postanowiłam zawalczyć o siebie.

Zaczęło się od tego, że zostałam nauczycielką. Uczę muzyki, ale poza systemem. Nie planowałam tego, bo nie uważałam, że wiem więcej niż inni. Do tego dochodziły poczucie odpowiedzialności i stereotyp roli nauczyciela, który straszył mnie wiele lat, kryjąc w nazwie: ocenianie, wszechwiedzę, nieomyślność, konsekwencje, radykalność... Czyli wszystko, co było mi obce. Zbyt wiele sprzeczności. Próbowałam więc wyrolować się. Szczęśliwie zrozumiałam, że chcę pracować inaczej i mam do tego prawo. Udało się.

Autorka jest muzykiem (występuje pod pseudonimem Asi Mina), pedagogiem, animatorką kultury, aktywistką. Pracuje z dziećmi i młodzieżą – uczy gry na gitarze i pianinie.

Zamiast cicho działać w tak zwanej niszy, zaczęłam głośno mówić o tym, że uczę wbrew schematom. Zyskałam spokój i pogodziłam się ze sobą.

Stało się podobnie, kiedy zostałam mamą. Kolejna rola. W kontekście społecznym naszego kraju chyba najtrudniejsza. Nie słyszałam nigdy o matce Niemce albo matce Włoszce. Za to ta słynna POLKA! Brana pod lupę przez bliskich i dalekich. Tego też nie mogłam nieść na plecach. Jestem taką matką, jaką jestem sobą/osobą. Patrząc na moje dzieci z miłością. Miłość to emocje, a emocje mogą być przecież różne, ważne są intencje. Przykłady można by mnożyć.

Nie mam pojęcia, jak to się dzieje, że ciągle ulegamy definicjom, skoro każdy z nas jest inny. A gdzie wolność? Gdzie różnorodność? Przecież przekonania to nie fakty. Przez pół życia przyjmujemy stereotypy, ale drugie pół warto poświęcić na ich odrzucenie. Mocna i świadoma akceptacja siebie oraz wyborów, które nam służą, pozwala odciąć się od porównań, osiągnąć wolność i żyć bez obłudy.

Nadal, rzecz jasna, znajduję się w procesie zmian i pewnie będę w nim już zawsze, ale to zdecydowanie lepsza perspektywa niż przyjęcie zasad, w które nie mogę uwierzyć. Bo przecież spełnianie cudzych oczekiwań to najczęściej pogubienie siebie. Empatia mylna jest z poświęceniem, natomiast kompromis z rezygnacją. Z kolei spokój postrzegany jest jako lenistwo, a aktywność jako panika. Myślę, że prawda nadal jest w cenie, tyle że nieustannie okłamując siebie, bardzo trudno jest nam to przyznać. Przyszło nam w życiu grać wiele ról, powinniśmy jednak pamiętać, że sami je reżyserujemy i to może wszystko zmienić. ☞



GRAŻYNA RASZKOWSKA, ILUSTRACJE TYMOTEUSZ PIOTROWSKI

# Czas wróżbitów

Przekonują, że świat pozazmysłowy istnieje na równi z materialnym. Reprezentanci branży ezoterycznej wróżą, stawiają horoskopy, oddziałują za pomocą bioprądów, sprawdzają przychylność liczb, oczyszczają ze złych energii. Odsądzeni od czci i wiary przez naukę oraz Kościół, **stanowią jednak potężną grupę zawodową.**

**C**hłopiec miał dziewięć lat i nie mówił od kilku tygodni. Na pierwszym spotkaniu także się nie odezwał, dopiero czwarte przyniosło odmianę. Był pogryziony przez psa, który uszkodził mu twarz. – Odpowiednimi zabiegami i rozmową odtworzyłam, co się stało. Okazało się, że całe zdarzenie miało inny przebieg, niż na początku sądzono. Chłopiec na podwórku u babci zaczepiał młodszą siostrę, szarpał ją za ramię. Wówczas właśnie zaatakował go pies, który stanął w obronie dziewczynki. Psa uspio – opowiada Zofia Telesińska-Bratek, bioenergoterapeutka, prezes Polskiego Towarzystwa Psychotronicznego. Chłopca przyprowadziła do niej babcia. Bioterapeutka podkreśla, że mały pacjent sam w czasie kilku sesji opowiedział o tym, co się wydarzyło. Odblokował się. Pani Zofia „oddziałuje ręką”. Przykłada ją lub oddala od pacjenta w zależności od tego, jaki efekt chce uzyskać. Jednak w tym wypadku, zaznacza, ważna była także rozmowa z chłopcem i postawione pytania, które naprowadziły na odblokowanie psychiczne dziecka. Czy gdyby chłopcem zajęli się profesjonalni psychoterapeuci, efekt byłby lepszy?

Do bioenergoterapeutów zgłaszają się chorzy, którzy liczą na pomoc, czasem widzą w nich ostatnią deskę ratunku. W niektórych gabinetach trzeba podpisać oświadczenie, że korzystanie z usług energetycznych w żadnym wypadku nie wykluczy czy też nie

przerwie leczenia farmakologicznego. Oczywiście zdarzają się groźni szarlatani, którzy zalecają odstawienie leków czy zaprzestanie szpitalnej kuracji. Pani Zofia nieraz nakazywała swoim pacjentom udanie się do gabinetu lekarskiego.

Przekonała się o swoich zdolnościach jeszcze w czasie studiów politechnicznych. Jest inżynierem elektrotechnikiem, a także była pływaczka, reprezentantką Warszawy w wielu zawodach sportowych. Na początku zdolności te bardzo ją zaskoczyły i nawet odczuła strach, ale szybko podjęła

**☞ Każda odkryta do tej pory cywilizacja miała swój system astrologiczny, który był zgłębiany przez największe umysły epoki.**

decyzję o doskonaleniu umiejętności radiestezyjnych i bioenergoterapeutycznych. Dziś sama prowadzi zajęcia dla radiestetów i bioenergoterapeutów. – Nie każdy może dostać się na kurs. W rozmowach kwalifikacyjnych zawsze bierze udział lekarz, który ocenia, czy dana osoba jest zdrowa, sprawdzane jest też, czy wykazuje wrażliwość na bodźce energetyczne – mówi. Bioterapeutka współpracowała z policją podczas śledztw dotyczących m.in. poszukiwania zaginionych osób oraz w odtwarzaniu przebiegu dramatycz-

nych wydarzeń, pomaga także zawodowo prywatnej pani detektyw. Do ciekawych zleceń zalicza również współpracę z pracodawcami w doborze odpowiednich pracowników.

W jej mieszkaniu na biurku, przy którym pracuje, stoi bożek Ku Tiki. Zanim do niej trafił, znajdował się w komodzie w domu, w którym nagle wszyscy lokatorzy odczuli spadek nastroju i zaczęli chorować. Pani Zofia trafiła tam, by pomóc. – Stojąc tyłem do komody, odczułam silny sygnał i poprosiłam gospodarzy, by otworzyli mebel. Na półce stał właśnie ten bożek – opowiada. Okazało się, że przywieziono go z Haiti. Po ekspertyzie pani Zofii został przekazany dalej, do innych zaprzyjaźnionych osób. Jednak i oni po pewnym czasie odczuli uciążliwy dyskomfort. Wtedy dopiero trafił na biurko pani Zofii, która w jego towarzystwie czuje się świetnie. – Jest mi bardzo przychylny. Ta figurka, bóg wojny, w czasie walki pomaga swoim zwolennikom, a w czasie pokoju sprzyja tym, którzy zwracają się o pomoc – tłumaczy. Na wszelki wypadek, gdy na chwilę biorę do ręki piękny posążek Ku Tiki, głośno go chwalebę i zapewniam, jak bardzo mi się podoba.

## Niewiarygodny biznes

Z porad astrologów, wróż, bioenergoterapeutów, radiestetów korzystają reprezentanci wszystkich zawodów i grup społecznych, zarówno osoby z podstawowym, jak i wyższym wykształceniem, na stanowiskach i ci,





którzy właśnie stracili pracę. Może częściej panie niż panowie. Wróżbiarstwo, astrologia, chiromancja, radiestezja, bioenergoterapia, jasnowiedzenie, produkcja i sprzedaż amuletów, wahadełek i literatury ezoterycznej to poważny biznes, który szacowany jest w Polsce na około 2 mld zł. Nowe technologie znakomicie poprawiają jego kondycję, sprzyjają odwiecznemu pragnieniu ludzkości – podglądaniu przyszłości. W Wielkiej Brytanii rynek usług ezoterycznych opłacanych za pomocą telefonów komórkowych i kart kredytowych to około 140 mln funtów. W Polsce jest on wart w przybliżeniu 75 mln zł. Z telefonicznej ezoteryki korzysta rocznie 1,5 mln osób. Rekordziści wydają na nią 4 tys. zł. – Dostępność jest ważnym argumentem przyciągającym do wróżb. Wystarczy zadzwonić czy wysłać SMS, by dowiedzieć się czegoś niezwykłego i wyjątkowego, przeznaczonego tylko dla mnie – komentuje Dorota Jakubowska, psycholog z warszawskiej grupy Trop. – Poczucie wyjątkowości polegające na tym, że oto sprzyjające moce wszechświata skupiły się wyłącznie po to, by mi pomóc, bywa bardzo wciągające. Pomaga na moment pokonać bezradność i daje poczucie więzi, choćby z wróżką – wyjaśnia psycholog.

### Astrologia dobra na wszystko

Na początku nowego roku wiele osób lubi „zajrzeć za zasłonę”, odrzucić racjonalne myślenie i pytać co też przyniesie im przyszłość. Dlatego też w tym gorącym od emocji okresie, zwłaszcza po niedawno zapowiadającym „końcu świata” namówiliśmy na rozmowę Margot Graham, prezesa Polskiego Towarzystwa Astrologicznego, z wykształcenia socjologa i filozofa, wykładającą przez wiele lat na Uniwersytecie Warszawskim.

Podczas swego pobytu w Wielkiej Brytanii zainteresowała się tak niekonwencjonalnym tematem, jak astrologia.

– Z początku, jako naukowiec, podchodziłam do tej wiedzy ogromnie sceptycznie, właściwie zaczęłam ją studiować po to, by ją obalić – wspomina. – Nieoczekiwanie dziedzina ta mnie



zachwyciła, odmieniła moje patrzenie na świat, stała się z czasem moją pasją.

Gdy w latach 80. ubiegłego wieku zaproponowano jej powrót na uniwersytet – odmówiła. – Byłam już zdeklarowanym astrologiem, nie chciałam wracać do pracy akademickiej – dodaje.

Wiedza astrologiczna pozwala jej wyjaśniać najbardziej zagmatwane sprawy i rozumieć nie tylko meandry psychiki, lecz także przyczyny i sens wielu kontrowersyjnych wydarzeń. Umożliwia też prognozowanie trendów rozwojowych, na przykład w ekonomii! Nie wszystkich jednak takie „przyszłościowe” możliwości astrologii przekonują. W Cagliari na Sycylii pewne stowarzyszenie, którego celem jest walka z oszustwami popełnianymi przez wróżbitów i astrologów, ufundowało 50 tys. euro dla osoby, która trafnie przewidzi co najmniej trzy przyszłe ważne wydarzenia polityczne i społeczne. Nagroda, jak dotąd nie została odebrana.

W Polsce według danych CBOS z zeszłego roku horoskopy w gazetach czyta ponad połowa Polaków, a 46 proc. przyznaje, że przynajmniej czasami kieruje się zawartymi w nich wskazówkami. Do tego co siódmy badany odwiedził kiedyś wróżkę. Astrologia jest więc według jednych rozrywką i zabawą, a inni traktują ją całkowicie serio.

Pewne jest natomiast, że to jedna z najstarszych dziedzin ludzkiej wiedzy. Każda odkryta do tej pory cywilizacja miała swój system astrologiczny, który był zgłębiany przez największe umysły w każdej epoce historycznej. Praktykowali ją tacy uczeni jak Ko-

pernik, Galileusz, Kepler czy Newton, nadwornych astrologów mieli królowie i papieże. Również dyktatorzy i zbrodniarze. W Indiach, Chinach i na całym Dalekim Wschodzie uprawiana jest nieprzerwanie od wielu tysięcy lat do dziś. W Europie wykładana była na uniwersytetach do XVII wieku, a od XX wieku nastąpił jej powrót i rozwój jako samodzielnej gałęzi wiedzy, ale już poza oficjalnym nurtem nauki.

W Polsce po prawie 40-letniej przerwie wybuchło zainteresowanie astrologią we wczesnych latach 80., zeszłego stulecia. Mnóstwo osób chciało się jej uczyć, wznowiono wydawnictwa sprzed II wojny, tłumaczenia z języków obcych i drukowano nowe ambitne pozycje autorów powojennych. – Astrologia była jak bimber, który w stanie wojennym powszechnie pędzono, choć oficjalnie było to zakazane – dodaje Margot Graham.

Dziś astrologię można studiować jako przedmiot w prywatnych szkołach psychotronicznych i na specjalistycznych kursach. Polskie Towarzystwo Astrologiczne wkrótce rozpoczyna w Warszawie dwa intensywne półroczne kursy (każdy po 950 zł): podstawowy oraz dla osób już zaawansowanych. A od wielu lat zawód astrologa figuruje w oficjalnym spisie zawodów uprawianych w Polsce.

– Horoskop to obraz układu planet w danym momencie czasu dla danego miejsca na Ziemi. Jest kopalnią wiedzy, bo według zasady synchroniczności „temu co na górze odpowiada to, co na dole”, a więc interpretacja obrazu nieba pozwala zrozumieć procesy toczące się na naszym ziemskim planie – przekonuje Graham.

Ceny sporządzenia horoskopu wraz z szerokim jego omówieniem kształtują się w granicach 200 – 400 zł. Pytania kierowane do astrologów dotyczą różnorodnych spraw – na przykład: jaki wybrać optymalny termin ślubu lub operacji, kiedy organizować ważną konferencję, jak postępować z trudnym dzieckiem lub szefem... – Wiele zamówień mam od przejętych i tro-

chę zaniepokojonych babć, które chcą wiedzieć, jaka przyszłość i możliwości kariery pisane są ich wnuczętom. Lecz niezależnie od układu ciał niebieskich są dwa niezawodne czynniki, aby osiągnąć sukces – pozytywne nastawienie oraz rzetelny i konsekwentny wysiłek wkładany w daną sprawę – podkreśla Margot Graham.

### Nauka i parapsychologia

Według osób zajmujących się psychotroniką świat materialny to tylko fragment prawdziwej rzeczywistości, która nas otacza. – Nie rozumiemy zasad działania wszechświata, choć jesteśmy coraz bliżsi poznania prawdy – przekonuje Zofia Telesińska-Bratek, która poleca lektury m.in. Gregga Bradena, autora „Boskiej matrycy” czy „Efektu Izajasza”. Najogólniej mówiąc, światopogląd Bradena oparty jest na przekonaniu, że istnieje we wszechświecie jakieś jedno wspólne pole energii, z którego każdy może czerpać moc. Autor chętnie powołuje się też na najnowsze odkrycia naukowe dotyczące fizyki kwantowej. Mówi nawet wprost, że „modlitwa i prośbota łączą się z fizyką kwantową”. Autorzy książek psychotronicznych i parapsychologicznych często zwracają uwagę na związki fizyki kwantowej, biologii molekularnej i w ogóle najbardziej zaawansowanej wiedzy matematyczno-fizyko-biologicznej z ich dziedziną. Jednym z najnowszych przekonań tych autorów jest powtarzany obecnie pogląd, że „czas przyspieszył”, szybciej biegnie i mamy do czynienia z prawdziwą akceleracją zdarzeń. Wszelkie tego rodzaju teorie, które w jakiś sposób zahaczają o niezbadane siły i moce, wróżbiarstwo, astrologię czy bioenergoterapię, są jednoznacznie negatywnie osądzone przez oficjalny świat nauki. W Polsce najdobitniej daje temu wyraz prof. Łukasz Turski, fizyk z Polskiej Akademii Nauk. Był on inicjatorem słynnego listu „w obronie rozumu”, który w 2009 r. podpisało pięć tys. osób. Protestowano wówczas przeciwko oficjalnemu uznaniu zawodu wróża i wciągnięciu go

### Ceny usług ezoterycznych

usługa	cena
→ wybór szczęśliwego imienia dla dziecka	120-150 zł
→ analiza osobowości i uzdolnień + portret numerologiczny	20 zł + 30 zł
→ analiza predyspozycji intelektualnych dziecka oraz opis relacji rodzice - dziecko	50 zł
→ pomoc w doborze partnera życiowego	200-300 zł
→ dobór dat na najważniejsze wydarzenia w życiu	20 zł
<small>Źródło: opracowanie własne Sedlak &amp; Sedlak</small>	
→ kurs z radiestezji i bioenergoterapii - 4 godz. tygodniowo - około 15 spotkań	900 zł

na ministerialną listę zawodów. „Nie można czuć się bezpiecznie w państwie, w którym powstają takie dokumenty” – pisano w liście.

Z kolei Kościół katolicki, pod groźbą grzechu ciężkiego, zabrania korzystania oraz posługiwania się wiedzą pochodzącą ze świata pozamaterialnego. Kościół, w przeciwieństwie do nauki, taki wymiar uznaje, twierdzi natomiast, że sięganie do tych rejonów przynosi spustoszenie moralne i czyni zło, z którym później niejednokrotnie mają do czynienia egzorcyści.

Z oficjalnym podejściem naukowców i zakazami Kościoła nie zgadzają się przedstawiciele psychotroniki. – Nie wszyscy mają zdolności radiestezyjne czy bioenergoterapeutyczne, tak jak nie wszyscy wykazują zdolności artystyczne czy muzyczne – mówi Zofia Telesińska-Bratek. W Polsce jest około 70 tys. osób, które podają się za bioenergoterapeutów, rocznie kwalifikacje czeladnicze i mistrzowskie w tym zakresie wydawane przez Związek Rzemiosła Polskiego zdobywa 300 osób.

Mistrz radiestezji Piotr Smażyński (informatyk, pracownik Politechniki Warszawskiej i wykładowca w Polsko-Japońskiej Wyższej Szkole Technik Komputerowych) zafascynował się radiestezją na studiach, czyli już w latach 80. ubiegłego wieku. – Działalem w Kole Naukowym Radiestów utworzonym na Wydziale Elektroniki Politechniki Warszawskiej, które potem

**Psychotroniczy twierdzą, że we wszechświecie istnieje jedno wspólne pole energii, z którego każdy może czerpać moc. To bzdura – mówią naukowcy.**





Program księgowo-kadrowy „Rzeczpospolitej”

# Mała Księgowość

edycja 2013



Pobierz program  
[www.rp.pl/sklep](http://www.rp.pl/sklep)  
 infolinia 801 15 15 15

Skorzystaj z programu Mała Księgowość, który pozwoli Ci sprawnie prowadzić księgowość Twojej firmy.

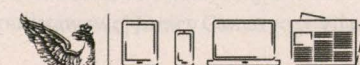
- Darmowe aktualizacje przez cały rok
- Bezpłatne wsparcie techniczne
- Fakturę VAT za zakupiony program przesyłamy pocztą

Mała księgowość – 49 zł (brutto)

- jedna firma
- jedno stanowisko pracy

Mała księgowość – 99 zł (brutto)

- jedna firma – wiele stanowisk pracy
- biura rachunkowe prowadzące małe firm



Pobudzamy myślenie  RZECZPOSPOLITA

sama radiestezja także ulega zmianom i wpływom cywilizacji. – Dziś słabnie zainteresowanie poszukiwaniem miejsc, w których warto kopać studnie, bo znajduje się tam woda. Klienci chcą raczej ustrzec się przed szkodliwymi wpływami energetycznymi – dodaje.

A my poprosiliśmy Margot Graham o „horoskop w pigułce” dla „Przekroju” na 2013 rok. Oto co usłyszeliśmy:

Cały zespół odczuwa wielką energię i chęć do działania, jest to mocne wejście w nowy rok. Współpraca będzie się harmonijnie i zgodnie układać, a autorzy będą mieć oryginalne, nowatorskie i śmiałe pomysły. Mogą pojawić się jednak trudności związane z siedzibą redakcji. Należy też zwrócić uwagę na niespodziewane sytuacje pod koniec marca, pod koniec kwietnia i w połowie lipca br. Ale ogólne perspektywy są poza tym bardzo optymistyczne.

## Kościół uznaje działania sił nadprzyrodzonych, ale zabrania korzystania z usług astrologów czy wróżek

współpracowało z podobnym kołem na Akademii Medycznej – wspomina. Smażyński jest przekonany, że radiestezja ma wymiar praktyczny i pomaga lepiej funkcjonować, także w działalności biznesowej. Jedną z najczęściej zamawianych usług jest wykrywanie w mieszkaniach i biurach miejsc oddziaływania szkodliwych cieków wodnych i zabezpieczanie przed skutkami ich działania. Bywają klienci zainteresowani wyborem optymalnego, pod względem radiestezyjnym, miejsca na budowę domu. – Zdarzają się też zlecenia ze strony szpitali lub sanatoriów, w których pacjenci, zwłaszcza ci leżący, nie powinni być narażeni na nieustający, szkodliwy wpływ cieków wodnych – wyjaśnia. Sami radiesteci także muszą przestrzegać zasad BHP. – Jesteśmy w trakcie badań narażeni na szkodliwe działanie promieniowań, które obser-

wujemy i przed którymi zabezpieczamy naszych klientów. Ostrożność nakazuje, aby stosować procedury zapewniające nam bezpieczeństwo – przestrzega. Piotr Smażyński do wykrywania szkodliwych promieniowań cieków wodnych używa metalowej różdżki. Sprawdzenie 1 mkw. mieszkania czy działki kosztuje około 5 zł. Zwyczaj w przypadku mieszkań sprawdza się od 50 do 80 mkw. powierzchni, czyli miejsca, gdzie najczęściej przebywają jego mieszkańcy. Jest zdania, że





ALEKSANDRA STANISŁAWSKA

# Z Internetem do amazońskiej dżungli

W brazylijskich fawelach i w głębi lasu deszczowego ludzie korzystają z komórek i szybkiego Internetu. Firmy technologiczne, które zainwestowały w ten region, stworzyły trochę sztuczny, może nawet utopijny świat. Ale od niego nie ma już odwrotu.

**B**razylia, kraj bogaczy i prze-ludnionych slumsów, wyrosła na piątą gospodarkę świata. I zniemacka postęp wkraśl się w miejsca zapomniane przez Boga i ludzi: do przesyconej zbrodnią faweli w Rio de Janeiro czy amazońskiej wioski, do której dotrzeć można tylko łodzią. Ludzie żyjący do niedawna bez elektryczności budują teraz kawiarenki internetowe i sale telewizyjne. Prowadzą blogi, mają konta na Facebooku, korzystają z regularnej opieki medycznej.

## Dramat w faweli

Wszystko zaczęło się w Vila Cruzeiro, cieszącej się złą sławą dzielnicy leżącej w północnej części Rio de Janeiro, niedaleko słynnej Głowy Cukru, największej atrakcji miasta. Przytulone do siebie miniaturowe domki buduje się tu z tego, co wpadnie w ręce: starej blachy falistej, niepotrzebnych nikomu cegieł czy nawet kartonów. W tym miejscu w 2002 r. członkowie miejscowych gangów narkotykowych wyjątkowo brutalnie zamordowali dziennikarza Tima Lopesa, który prowadził śledztwo dotyczące ich działalności. Vila Cruzeiro zyskała sławę najniebezpieczniejszej faweli w Rio, a życie w niej stało się nie do zniesienia.

– W tych czasach Vila Cruzeiro była miejscem, skąd nie ma ucieczki i gdzie nie ma przyszłości – opowiada Antonio Tiburcio, dyrektor miejscowej organizacji Social Attitude. – Mafia rekrutowała dzieci, by były jej dilerami. Jeśli ktoś jej podpadł, ginął.

Napięcie sięgnęło zenitu w 2010 r. W listopadzie rząd Brazylii zorganizował wielką policyjną obławę, podczas której jednej nocy aresztowani zostali główni bossowie gangów.

– Wtedy wreszcie mogły się zacząć odtwarzać miejscowe społeczności, zaczęliśmy mieć kontakt ze światem zewnętrznym. To właśnie dzięki temu mogłaś tu teraz przyjechać – dodaje Tiburcio, patrząc mi w oczy.

Trudno sobie wyobrazić, jak tu było kilka lat temu, bo i teraz wizyta w szkole podstawowej Joracy Camargo w Vila

Cruzeiro to nie lada wyzwanie: przejście z busa do wejścia do budynku obstawione jest przez 10 ochroniarzy o posturach bokserów. Wnętrze szkoły to zupełnie inny świat: są tu duże boisko do gry – a jakże! – w piłkę nożną i niewielki basen. Budynek ma też pracownię komputerową i połączenie z szybkim Internetem. To skutek partnerstwa prywatno-publicznego związanego przez miejscowe władze z producentem sprzętu telekomunikacyjnego Ericssonem i operatorem komórkowym Telefonica/Vivo. Firmy te wyposażyły w dostęp do sieci dwie szkoły podstawowe w Vila Cruzeiro, w których uczy się 3 tys. dzieci.

**Mieszkańcy zagubionych w amazońskich lasach wiosek zaczęli dzwonić do krewnych, z którymi nie widzieli się od wielu lat.**

Oprócz nich zasięgiem objętych jest jeszcze 5 tys. nieletnich.

– Niesamowite jest obserwować, jak życie tych dzieci zmienia się dzięki łączności ze światem – opowiada Carla Belitardo, mocno zaangażowana w projekt przedstawicielka Ericssona. – Uczennica jednej ze szkół w faweli na swoim fotoblogu pokazała, w jak bardzo zniszczonym budynku przyszło jej się uczyć. Sprawą zainteresowały się miejscowe władze i szkoła została odnowiona. Podobne przykłady można mnożyć.

## Rozmowy z Amazonią

To wszystko ma swój cel, ujęty w programie „Connect to Learn”. Wolontariusze pokazują dzieciom ze slumsów, jak zrobić użytek z dobrodziejstw XXI w., a więc Google i Facebooka, ale też udostępnianych w chmurze nowoczesnych pomocy naukowych. W programie biorą udział inne szkoły w Brazylii i za granicą, a uczniowie z Joracy Camargo najczęściej kontaktują się z dziećmi

z oddalonej o ponad 2,5 tys. km szkoły w amazońskiej wiosce Suruacá.

Suruacá leży 13 km, czyli jakieś 1,5 godziny drogi łodzią od miasta Santarém. To szczególne miejsce, gdzie zlewają się wody Amazonki i nie mniej majestatycznej Tapajós. Nie przypominają tego, co pod pojęciem rzeki rozumiemy my, mieszkańcy Europy: to rozlewiska o szerokości nawet 35 km, leniwie mieszające masy brunatnej i zielonkawej wody. Tam, gdzie kończą się niedbałe, chaotyczne zabudowania 200-tysięcznego Santarém, władzę przejmuje puszcza. Nie ma dróg, słupów telefonicznych czy elektrycznych. Podróżować można wyłącznie rzekami, a i to jest utrudnione, kiedy – jak teraz – poziom wody jest niższy o 8 metrów niż podczas pory deszczowej i do brzegu trzeba brnąć kilkadziesiąt metrów pieszko, w wodzie po kolana.

Właśnie w ten sposób dotarłam do Suruacá, najdziwniejszej wioski amazońskiej pod słońcem. Na pierwszy rzut oka wygląda normalnie: parterowe, skromne domki, trochę chudych psów i niewielkie poletka uprawne wydarte siłą puszczy. Wystarczy jednak zrobić kilka kroków dalej, by zobaczyć, że ludzie rozmawiają tu przez komórki, oglądają telewizję i korzystają z kawiarenki internetowej.

## Technologia wkracza do puszczy

A jeszcze kilka lat temu w Suruacá nie było nawet elektryczności. Potem jednak pojawili się tu przedstawiciele firmy telekomunikacyjnej, którzy dostrzegli w tym miejscu potencjał. Pierwszy maszt telefonii 3G – będący zarazem pierwszym tego typu przedsięwzięciem w Amazonii – powstał w pobliskiej miejscowości Belterra na przeciwległym brzegu rzeki. Objął zasięgiem 16 tys. ludzi żyjących w 170 pobliskich wioskach. W 2010 r. Suruacá otrzymało własny maszt, dzięki któremu w obrębie sieci znalazło się 10 tys. osób z 50 izolowanych dotąd społeczności. Za maszty zapłacił operator Vivo/Telefonica, a anteny sfinansował Ericsson. Ta in-

Dzieci z faweli dowiadują się, jak zrobić użytek z dobrodziejstw XXI w. Google i Facebooka. W programie biorą też udział dzieci z amazońskiej wioski.



westycja zwróciła im się po sześciu miesiącach – potrzeba komunikowania się ze światem u ludzi odciętych dotąd od cywilizacji okazała się zaskakująco silna. Mieszkańcy zagubionych w lasach wiosek zaczęli dzwonić do krewnych z Santarém, których nie widzieli nieraz i po kilkanaście lat.

– Ten projekt to nie akcja dobroczynna, ale sposób na uświadomienie operatorom potrzeby łączenia ze światem izolowanych społeczności – mówi Carla Belitardo. – I dowód na to, że to się opłaca.

Tuż za liczącą 2,5 tys. mieszkańców osadą Suruacá wznosi się majestatyczny, zupełnie nieprzystający do miejscowego krajobrazu maszt telefonii komórkowej. Antenę zasilają baterie słoneczne, z których prąd pociągnięto też do wioski. Z tego dobrodziejstwa korzysta miejscowa szkoła, w której uczy się 250 dzieci. Wyposażona jest w łączność 3G i darowaną przez sponsorów niewielką pracownię komputerową złożoną z kilku laptopów, dzięki którym można korzystać z e-learningu czy też przywoływać przed monitor dzieciaki z wielkiego świata, jakim niewątpliwie jest fawela Vila Cruzeiro w Rio de Janeiro. Własne panele słoneczne ma stworzona w ramach projektu „Connect to Learn” kawiarenka internetowa, obok której usadowiła się też jednoosobowa redakcja miejscowej rozgłośni radiowej, nadająca audycje do pobliskich wiosek i Santarém.

**Internet przed telewizją**

Dzięki panelom słonecznym w Suruacá ludzie mogą ładować telefony komórkowe. Prąd pociągnięto też do sali telewizyjnej, która podczas meczów piłki nożnej gromadzi wszystkich mężczyzn z wioski. – Do niektórych społeczności amazońskich Internet dotarł wcześniej niż telewizja – opowiada dr Eugenio Scannavino Netto, szef projektu Saude e Alegria na rzecz poprawy służby zdrowia w Amazonii. – Widziałem grupę starszych kobiet z maleńkiej wioski,

dyskutujących na temat sytuacji politycznej na świecie. Dawniej to nie mogło mieć miejsca.

Mieszkańcy Suruacá z dumą opowiadają o Monice de Almeida z pobliskiego Belterra, która zaraz po postawieniu tam masztu 3G zaczęła prowadzić blog, na którym opisywała problemy miejscowych społeczności. Dzięki temu dziś jest sekretarzem ds. komunikacji w biurze lokalnych władz prowincji.

Jednak życie w osadzie Suruacá dalekie jest od ideału. W okolicy mieszka około 30 tys. ludzi zgromadzonych w około 150 społecznościach osiadłych nad brzegami obu rzek. Kilka lat temu władze kraju zapowiedziały, że opieką zdrowotną powinni zostać objęci wszyscy Brazylijczycy, i taki jest plan na najbliższe lata. Sęk w tym, że Santarém ma tylko 150 lekarzy, na których przypada aż 1,5 mln mieszkańców z całego regionu. W sytuacji, kiedy do-

**Jeszcze kilka lat temu w Suruacá nie było elektryczności. Pojawili się jednak przedstawiciele firmy telekomunikacyjnej, którzy dostrzegli w tym miejscu potencjał.**

jazd do najbliższego szpitala czy przychodni zajmuje im nawet tydzień, deklaracje rządu Brazylii o powszechnej dostępności leczenia pozostają czysto fikcyjne. Ten problem dotyczy całej Amazonii, w której mieszka około 23 mln ludzi. Jak dotrzeć do nich z choćby najbardziej elementarną opieką zdrowotną?

Organizacja Saude e Alegria miała na to pomysł tyleż prosty, co genialny. Ponieważ cały transport odbywa się tu rzekami, również przychodnia może przypływać do pacjentów. Do tego celu wykorzystano łódź zakupioną w 2006 r. przez holenderską organizację Terre dos Hommes. Potem do projektu dołączyły miejscowe władze oraz znany już team złożony z Ericssona i operatora

Vivo/Telefonica – i w 2011 r. do użytku oddano pełnowymiarowy statek przychodnię pływający po rzece Tapajós lekarzami i pielęgniarkami na pokładzie. Nosi on nazwę Abare, co znaczy „troskliwy przyjaciel”. Po samej królowej rzek kursuje mniejsza, podobna łódź. Obie wyposażono w sale operacyjne, gabinety stomatologiczne, sprzęt diagnostyczny do podstawowych badań i łączność 3G.

I właśnie kwestia tej łączności okazała się kluczowa dla tego ambitnego projektu. – Łódź przychodnia nie może działać w oderwaniu od miejscowych szpitali i punktów diagnostycznych. – Trudne przypadki trzeba konsultować z innymi lekarzami, a badania na cukrzycę czy nadeśnienie muszą być wykonywane od ręki. Bo w jaki sposób po naszym odpłynięciu pacjent odebrałby ich wyniki? – mówi dr Fabio Tozzi, szef operacyjny Abare. Dlatego konieczny był szybki kontakt z Santarém. Zamiast stosowanych dotychczas drogich telefonów satelitarnych wykorzystaliśmy do tego łączność 3G z działającą w okolicy masztów.

**Woda wzmacnia**

Ale dwie anteny oddalone od siebie o kilkanaście kilometrów nie wystarczą do pokrycia zasięgiem obszaru, na którym żyją liczne izolowane społeczności amazońskie. I na to znaleziono sposób. Z pomocą przyszły rzeki, których rozlewiska działają na sygnał komórkowy jak lustro: odbijają go na znacznie większe odległości, niż to ma miejsce na lądzie. Łódź przychodnię wyposażono dodatkowo we wzmacniacz sygnału, który podnosi wydajność tej i tak już stymulowanej sieci. Dlatego statek może być w stałym kontakcie z Santarém i wioskami, do których przypływa według stałego miesięcznego rozkładu. Codziennie odwiedza dwie, trzy żyjące na brzegach społeczności. W razie potrzeby działa jak pogotowie, wysyłając chorych łódką ekspresową do miejskiego szpitala.

– Abare obsługuje 72 społeczności żyjące na brzegach Tapajós – mówi



Roczny koszt funkcjonowania statku medycznego Abare, który pływa po Amazonii to 500 tys. dol.



dr Tozzi. I wylicza: – Wykonujemy rocznie 7 tys. badań i 350 operacji, udzielamy też 18 tys. konsultacji.

– Wiele przyjeżdżających tutaj osób myśli, że naszym największym problemem jest malaria, a tymczasem najbardziej nękają okolicznych mieszkańców choroby zakaź-

ne i pasożytnicze wywodzące się z wody – mówi dr Tozzi. – Dlatego uczymy ludzi, jak się przed nimi chronić.

Roczny koszt funkcjonowania Abare wraz z pensjami personelu medycznego to około 500 tys. dol. Druga pływająca po Amazonce łódź jest nieco tańsza. Jednak dwa statki przychodnie

Własne panele słoneczne ma kawiarenka internetowa, obok której usadowiła się też jednoosobowa redakcja miejscowej rozgłośni radiowej.

to kropla w morzu potrzeb 23-milionowej Amazonii. Dlatego brazylijskie Ministerstwo Zdrowia zdecydowało, że ufunduje podobne łodzie każdej społeczności, która będzie tego potrzebowała. Zatwierdzono już budowę 32 statków, a docelowo, w ciągu pięciu lat, ma ich powstać sto.



JERZY ZIEMACKI

# Szachy i show

Ma 22 lata. Gra w szachy lepiej niż Garry Kasparow. Właśnie uzyskał najwyższy ranking w historii szachów. „Magnus Carlsen to Mozart!” – pisze dziennik „The Washington Post”.

Ponad 600 mln ludzi na świecie potrafi grać w szachy. Ale Magnus Carlsen z Norwegii jest najlepszy. Ma wygląd wikinga, groźną minę i chłodne spojrzenie geniusza. Uważa, że szachy to wojna. Do światowej czołówki profesjonalistów przebił się w wieku 12 lat. Rok później został jednym z najmłodszych arcymistrzów (najwyższa kategoria szachowa). Podczas turnieju w Reykjavíku w 2004 r. 13-letni arcymistrz w polarze wzbudził sensację, wygrywając z byłym mistrzem świata Anatolem Karpowem i remisując z legendarnym Garrym Kasparowem. Podczas partii ziewał, wiercił się i wstawał od stolika. Chodził po sali, nonszalancko trzymając ręce w kieszeniach. Kasparow był zaskoczony siłą gry niesfornego chłopca. Po zremisowanej partii wyszedł z sali, zaszył się w pokoju hotelowym i analizował strategię małego przeciwnika. Magnus w tym czasie poszedł z rodzicami na lody.

## Dwadzieścia ruchów do przodu

„The Washington Post” okrzyknął chłopca Mozartem Szachów. Jego kariera nabrała szalonego rozpędu. Od pamiętnego 2004 r. wygrał dziesiątki turniejów. Swoją grą zadziwił ekspertów i kibiców (szachowa publiczność przygląda się rozgrywanym partiom głównie w Internecie). Stało się jasne, że nastolatek posiada genialną intuicję, rozumie szachy na wyższym poziomie, widzi więcej niż inni. Potrafi przewidzieć 20 ruchów do przodu, zna na pamięć kilka tysięcy wariantów, łączy wiedzę i brawurę. Gra z wirtuozerią, odważnie oraz szybko, a przy tym praktycz-

nie nie popełnia błędów. Daje pokazy gry „na ślepo”: rozgrywa kilkadziesiąt partii naraz bez patrzenia na szachownicę. I nadal jest najlepszy. W pewnym momencie pojawił się problem ze znalezieniem trenera, który dorównywałby genialnemu uczniowi. Nauczycielem Carlsena został ostatecznie Garry Kasparow.

Aktorka Liv Tyler wyznała ostatnio w telewizji śniadaniowej, że kocha Magnusa Carlsena za inteligencję. Szachista i aktorka spotkali się ostatnio w Nowym Jorku na Fashion Weeku. Poznali się podczas sesji fotograficznej. Magnus od trzech lat robi karierę jako fotomodel, reklamując znane marki ekskluzywnych ubrań. Swoim wizerunkiem dodaje firmom splendoru i prestiżu. Nadaje się do modelingu, bo jest wysoki, dobrze zbudowany i ma tajemnicze spojrzenie. – To wyjątkowy mężczyzna. Ma w sobie coś z artysty, genialnego matematyka, zdolnego pisarza. Lubię jego sposób bycia i bardzo kibicuję karierze szachowej – mówi Liv Tyler. Młody arcymistrz oficjalnie nie ma dziewczyny. Na wszystkie turnieje jeździ z opiekuńczym ojcem. A co do inteligencji: Garry Kasparow ma IQ powyżej 190. Jakie IQ ma Magnus Carlsen? Nie wiadomo. Od lat nie chce poddać się testom.

W grudniu 2012 r. Magnus wygrał prestiżowy turniej w Londynie, deklasując rywali i osiągając najwyższy ranking w historii szachów. To system, który mierzy siłę gry szachisty i klasyfikuje graczy. Od kilkunastu lat na szczycie listy znajdował się Garry Kasparow. W 1999 r. osiągnął rekordowy ranking:

Norweski arcymistrz potrafi przewidzieć 20 ruchów do przodu, łączy wiedzę z brawurą, ale od lat nie chce się poddać testom na inteligencję.

2851 punktów. W 2005 r. wycofał się z profesjonalnych szachów, by zająć się polityką (był kandydatem na prezydenta Rosji). Po kilku latach systematycznego pięcia się w górę Magnus Carlsen wreszcie prześcignął legendę. Na razie tylko o 10 punktów.

Nie oznacza to jednak, że Magnus Carlsen jest już nowym mistrzem świata. Oficjalnie pozostaje nim Viswanathan Anand, 44-latek z Indii. Wojowniczy Carlsen planuje odebrać mistrzostwo Anandowi w meczu planowanym na listopad. – Magnus Carlsen dokonał rzeczy wielkiej. Przewyższył Kasparowa, który dla szachów jest tym, kim Tiger Woods dla golfa. Sądzę, że Norweg wygra mecz o mistrzostwo świata i oficjalnie zostanie nowym królem – mówi „Przekrojowi” polski arcymistrz Dariusz Świercz.

## Tablet i poker

Magnus Carlsen mieszka na przedmieściach Oslo. Większość czasu spędza, jeżdżąc z turnieju na turniej, co zajmuje mu ponad 200 dni w roku. Dba o ciało: biega, gra w piłkę i pływa olimpijskie dystanse w basenie. Szachista, jak każdy sportowiec, musi mieć dobrą kondycję, bo wielogodzinne partie potrafią być wyczerpujące. Zdarza się, że szachiści zrzucają podczas mistrzostw kilkanaście kilogramów. Większość arcymistrzów to szczupli mężczyźni, którzy podczas gry z nerwów wrywają sobie włosy z głowy. Ale wysportowany Carlsen jest inny: ma chłodny język ciała, pokerową twarz, rywalom nie okazuje emocji. Wygląda, jakby nigdy się nie stresował.



W szachy gra kilka godzin dziennie. Aby się rozwijać, musi analizować własne i cudze błędy, studiować podręczniki, rozwiązywać zadania, robić ćwiczenia. – Ludzie sądzą, że w moim pokoju znajdują drewniane szachownice i porozrzucane figury. Ale ja używam wyłącznie komputera i tabletów – wyznaje Carlsen. Oprócz szachów lubi grać w pokera, oczywiście na pieniądze. Kiedyś w Moskwie jego rodzice udali się do filharmonii, ale on wolał zaszyć się w kafejce internetowej i grać w Texas Holdem. Twierdzi, że jeśli chce, w pokera zawsze wygrywa. Jego ulubionym klubem piłkarskim jest Real Madryt, a ulubionym raperem Lil Jon.

– Zawsze zapamiętywał szczegóły. Uczył się na pamięć danych statystycznych. Jako przedszkolak znał wszystkie stolice i liczbę populacji każdego kraju świata. Nie miał problemów z koncentracją – wymienia w natchnieniu Henrik Carlsen, ojciec geniusza. Magnus nauczył się grać w szachy od niego, miał wtedy pięć lat. Ale początkowo gra mu się nie podobała. Szachownicę rzucił w kąt. Zajął się pamięciowym opanowaniem atlasu świata. Do szachów wrócił, gdy wygrał z siostrą. To go zachęciło. Po kilku latach został najlepszym juniorem Norwegii, w wieku 11 lat przywiózł pierwszy medal z mistrzostw świata dla dzieci. Potem był remis z Kasparowem.

Obecnie gwiazdor szachów nie musi martwić się o pieniądze. Zarabia miliony. Nagrody w turniejach sięgają setek tysięcy dolarów. Udział w reklamach to kolejne miliony na koncie. Młodego Norwega hojnie sponsorują bogaci rodacy, dla których jest jedynym sportowcem wygrywającym nie na śniegu. Pieniądże płyną również od Microsoftu: fenomenalną karierą Carlsena interesuje się Bill Gates. – Na razie nie myślę o przyszłych sukcesach. Skupiam się na permanentnym, zrównoważonym rozwoju. Chcę być coraz lepszy. Jestem coraz lepszy. Będę coraz lepszy – mówi najsilniejszy szachista świata.

Magnus Carlsen chce być jak Bobby Fischer, który został okrzyknięty

FRED JONNY



cudownym dzieckiem: w szachach osiągnął wszystko. Niestety, po zakończeniu kariery stracił równowagę psychiczną. Wyemigrował do Japonii, skąd pisał zjadliwe paszkwile na tajne rządy świata, które rzekomo spiskowały przeciw jego życiu. Wybitny szachista stracił kontakt z rzeczywistością. Gdy młody Carlsen ogląda filmiki, na których podstarzały Bobby Fischer z wielką brodą, zaniedbany, wykrzykuje niedorzeczności i obelgi, zastanawia się, czy czeka go podobny los. – Każdemu, kto pograży się bez reszty w abstrakcyjnym świecie szachów, grozi choroba psychiczna. Mam nadzieję, że mnie się to nie przydarzy – mówi z powagą. Bobby Fischer zmarł w 2008 r., gdy Magnus kończył 18 lat.

### Mistrz na nowe czasy

Historia szachów sięga VI w. naszej ery. Zasady wymyślono w Indiach. Szachy to logiczna gra, w której liczba ustawień jest nieograniczona. Dwa króle na pustej szachownicy można postawić na 3612 sposobów. Dwa króle i pionka na 167 248 sposobów. Dwa króle i dwa pionki już na ponad 7 mln sposobów. Wystarczy dodać kolejne figury, by liczba kombinacji zwiększyła się do setek miliardów. Komputery liczą skomplikowane warianty w sekundy. Człowiek musi sporo się namęczyć. W 2003 r. świat emocjonował się pojedynkiem Kasparowa z komputerem Deep Fritz. Ludzkość traktowała ten szachowy pojedynek jako walkę dwóch inteligencji: naturalnej i sztucznej. Kasparow z komputerem przegrał. A wraz z nim cała ludzkość. – To Magnus Carlsen wprowadzi szachy w nową epokę – stwierdził odchodzący mistrz.

Nowa epoka szachów to era ultranowoczesnych komputerów. Magnus Carlsen wykorzystuje obliczenia komputera i dodaje do nich swój geniusz. Najsilniejszy szachista świata uważa, że używanie komputerów to oszczędność czasu. – Kiedyś Rosjanie mieli przewagę nad resztą świata, ponieważ posiadali w Moskwie ogromne archiwa zapisanych partii szachowych. Dzisiaj

zawartość tych archiwów mam na pulpicie komputera. O, tutaj: kilkanaście milionów plików. Kupiłem je za 150 euro – mówi Norweg.

W profesjonalnych szachach komputer stał się nieocenionym narzędziem. Okazał się najlepszym trenerem i partnerem do gry. Czy Magnus Carl-



FRED JOHNY

sen może pomścić Kasparowa i wygrać z najsilniejszym szachowym komputerem? To możliwe.

### Polscy konkurenci

W Polsce w szachy gra 2 mln ludzi, w turniejach uczestniczy 40 tys. Wśród nich są poważni konkurenci dla Magnusa Carlsena. Arcymistrz Dariusz Świercz, 18-latek z Tarnowskich Gór, został w 2011 r. mistrzem świata do lat 20. Wcześniej w turnieju zwyciężali najwięksi: Karpow, Kasparow, Anand. Polak jest młodszy od Carlsena o cztery lata. Na razie, ze swoim arcymistrzowskim rankingiem 2627, traci do lidera ponad 200 punktów.

Polskie szachy od kilku lat są w rozkwicie. To zasługa bardzo zdolnych szachistów, których Polska miała zawsze pod dostatkiem, oraz skutecznej polityki prowadzonej przez Polski Związek Szachowy. Prezes Związku Tomasz Sie-

Wysportowany Carlsen ma chłodny język ciała, pokerową twarz, rywalom nie okazuje emocji. Magnus od trzech lat robi karierę jako fotomodel, reklamując znane marki ekskluzywnych ubrań.

licki jeszcze do niedawna znajdował się w rankingach najbogatszych Polaków. Swoją miłość do szachów i kontakty w świecie biznesu przekuwa obecnie w sukcesy PZSzachu. Na najzdolniejszych graczy czekają przyzwoite pieniądze. Firma informatyczna z Krakowa, Comarch, przeznaczyła kilkaset

tyś złotych na wspieranie czterech najlepszych młodych polskich szachistów. Tak powstał Wojtaszek Comarch Team.

Kapitanem drużyny jest Radosław Wojtaszek, 25-latek, wicemistrz Europy, który na światowej liście rankingowej zajmuje 21. miejsce. Oprócz niego Comarch Team tworzą: 14-letni Jan Krzysztof Duda z Wieliczki (mistrz świata do lat 10), 16-latką Aleksandra Lach z Olkusza i Dariusz Świercz. – Chcemy stworzyć drużynę, która zdobędzie złoty medal w 2018 r. na olimpiadzie szachowej – mówi prezes Polskiego Związku Szachowego Tomasz Sielicki.

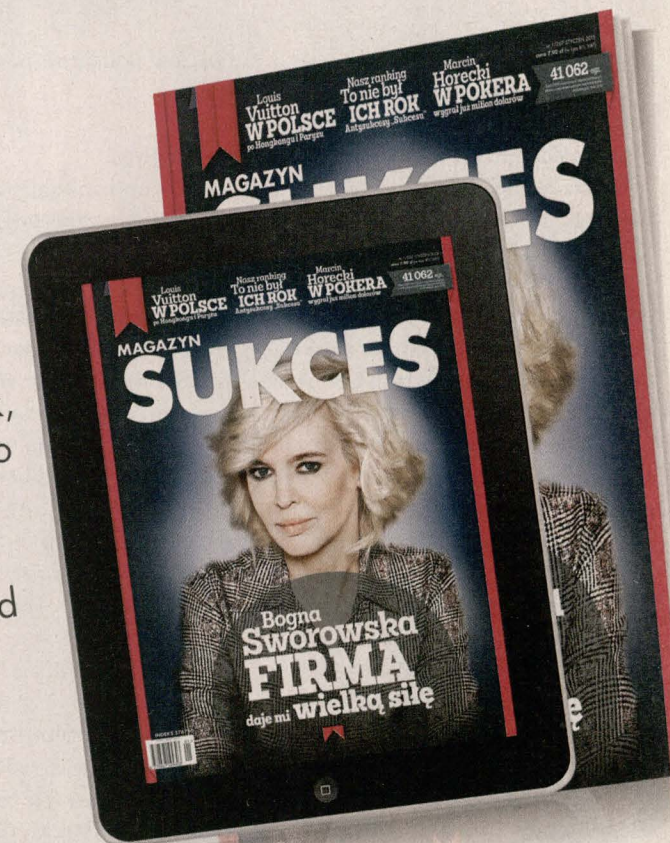
Ostatni złoty medal Polacy zdobyli w 1930 r. w Hamburgu. Te rozbudzone ambicje świadczą o dobrym stanie polskich szachów. Przez ostatni rok polscy szachiści wygrali kilka najsilniej obsadzonych turniejów. 📄

# MAGAZYN SUKCES

NOWY NUMER  
W SPRZEDAŻY

PRZECZYTAJ M.IN.:

- **Bogna Sworowska** – Przyjemnie jest żyć tak, jak się chce, a nie jak się musi. Pieniądze to dają, więc warto zarabiać.
- **Pokerzysta nie przypomina dziś szulera,** jakim był Wielki Szu. To na świecie zawód jak każdy inny.
- **Bonjour, Louis Vuitton**  
Lüksusowa marka stawia na Polskę.



POBIERZ APLIKACJĘ NA SWÓJ TABLET



POBIERZ APLIKACJĘ  
NA SWÓJ TABLET

[www.sukcesmagazyn.pl](http://www.sukcesmagazyn.pl)





ROZMAWIAJĄ BARTOSIAK &amp; KLINKE

# Strasznie tłukłem

Pierwsza praca to zawsze wielkie przeżycie. Dlatego poświęcamy jej nasz nowy cykl rozmów. W tym tygodniu pod lupę bierzemy **Wojciecha Manna**, który zaczął zarabiać już w dzieciństwie.

## Jak zarobił pan pierwsze pieniądze?

Ojciec był grafikiem i pewnego razu zaprojektował dla Orbisu tabliczki z napisem „Recommended by Orbis”. Takie oznaczenia miały wisieć na ścianach najlepszych polskich hoteli. Byłem jeszcze dzieckiem, ale od razu wykryłem, że w słowie „recommended” były dwa błędy. Zwróciłem ojcu uwagę, a ten mnie opierdzielił, żebym się nie wtrącał, bo pisownię sprawdzali fachowcy. Obraziłem się.

Po dwóch dniach panika. Oczywiście miałem rację, a tabliczki już były gotowe. Tata zaczął wtedy na mnie patrzeć jak na absolwenta Oxfordu i prawie mówić „proszę pana”. Udało się uniknąć kompromitacji, bo razem z kolegami ze szkoły chałupniczymi metodami poprzeklejaliśmy literki w odpowiedniej kolejności. Za tę pracę dostałem swoje pierwsze pieniądze. Nie pamiętam ile, ale to nie było takie siup, byle co. Coś z tą sumką mogłem kombinować.

## Pewnie poszła na płyty.

Prawdopodobnie. Zawsze zresztą nimi handlowałem, coś tam sprzedałem, coś kupiłem. Drugie poważne pieniądze też zarobiłem dzięki ojcu. Któregoś razu zauważyłem w łazience wypasione jugosłowiańskie pudełko z kosmetykami mamy. Pudełko miało liczne przegródki, a na wieczku... grafikę ojca. Poszedłem do niego, a on nic. Nienawidził urzędów, pieczętek, podań – jednym słowem miał to gdzieś i chciał odpuścić. Ja nie. Wziąłem pudło oraz pracę ojca i poszedłem do ZAiKS-u. Po dwóch latach tata wygrał proces i dostał tysiąc

dolarów. Solidarnie podzielił się z całą rodziną.

## I co? Na płyty?

O nie. Kupiłem sobie w pewexie skórzaną zapalniczkę Ronsona i czerwone wino Walencja.

## Pan tak zawsze? Tylko umysłowo?

Nie zawsze. W Londynie na lewo pracowałem w hotelach, na przykład wydawałem bieliznę do pralni. Bardzo czysta robota. Byłem też na zmywaku, ale szybko mnie zdjęli, bo strasznie tłukłem. Robiłem tosty, by następnie te spalone pokazywać na wystawie. Pracowałem też w biurze podróży jako goniiec-pomagier. Potem nawet załatwiałem ludziom wizy, paszporty i dokumenty. Tak mi ufali.

## Strasznie ufni ci londyńczycy.

To jeszcze mało. Pracowałem w firmie rozsyłającej paczki z Izraela do ZSRR. Związek Radziecki nie miał wtedy umowy pocztowej z Izraelem i wszystkie paczki szły przez Londyn, a następnie były wysyłane do żydowskich rodzin mieszkających za naszą wschodnią granicą. Siedziba firmy mieściła się w centrum Londynu, a jej wejście sąsiadowało z posterunkiem policji. Każde moje przyjscie było dzięki temu bardzo emocjonujące. W końcu to też była lewizna.

## A co robił pan w Szwajcarii?

Pracowałem w firmie wynajmującej rusztowania. Jeździłem po Genewie ciężarówką. W tym czasie mój francuski wzbogacił się o masę wyrażen z za-

kresu budownictwa. W restauracji nie potrafiłem sobie niczego zamówić, ale za to wiedziałem, jak nazywają się konkretne deski, podpory, rusztowania lub wzmocnienia. Mimo że praca była wyczerpująca fizycznie, bardzo miło ją wspominam.

## W Stanach też pan sobie dobrze radził.

Byłem bezczelny. Aż mi dziś głupio. Przedstawiałem się jako fachowiec od wszystkiego. Dzięki temu udało mi się przepiłować piłą do karton-gipsu jej własny kabel zasilający. Jako współwłaściciel firmy remontowo-dekoracyjnej działałem z polskimi majstrami, którzy tak jak i ja twierdzili, że potrafią wszystko. Robiliśmy hydraulikę, stawialiśmy krzywe płyty, naprawialiśmy samochody... Klientów zdobywaliśmy urokiem osobistym. Kobiety na dzień dobry całowaliśmy w rękę. Rozniosła się fama, że jesteśmy szarmanccy. Naszym targetem stały się wkrótce rozmazane panie.

## Czyli w USA ma pan markę budowlanicy-fachury.

Nie doceniacie mnie, panowie. Pracowałem też w fabryce leków robionych z moczu u doktora Burzyńskiego. Na początku chcieli, żebym wymyślił taki wielki kocioł po sikach. Powiedziałem, że nie mogę, bo mam okulary i mi się zabryzgają, a jak je zdejmę, to nic nie widzę. Nie zaryzykowali i zostałem szefem konserwacji, który przez parę dni malował wszystkie pompy, ale nie tym kolorem, co trzeba.

Artystą też byłem. Na „Batorym”. Jak sobie przypomnę te konferansjerki...

## Bawił się pan wtedy, jak wszyscy, w jakiś niewinny przemyk?

Wtedy nie. Ale zdarzyło mi się przemyścić kradziony samochód. Jechałem nim z Teksasu do Nowego Jorku. Nie miałem pojęcia, jaka jest jego historia. Poznałem ją dopiero w areszcie w Północnej Karolinie. Sprawa się oczywiście wyjaśniła.

Później żadnych moich udziałów w przemytach już nie pamiętam. Ale któregoś razu zgłosił się do mnie i do Krzyśka Materny facet, który

stwierdził, że skoro jesteśmy tak bardzo lubiani, to będzie miło, jak zrobimy mu pewną przysługę. Z małą paczką mieliśmy jechać do Niemiec.

Pytamy: „Co jest w tej paczuszcze?”. „A nic, taki tam drobiazg dla znajomego Heinricha. W ogóle nieszkodliwy i świetnie zapakowany”. „A ty nie możesz zawieźć?”.

To była strasznie chamska próba wmanewrowania nas w przemyt jakichś radioaktywnych odpadów z dawnego ZSRR.

## Niezła historia jak na belfra...

Nauczycielem zostałem z musu. Po angielskiej był obowiązek pracy. Prywatne lekcje i tłumaczenia dla Pagartu nie wystarczały. Zatrudniłem się więc w liceum Batorego. Wytrzymałem tam półtora roku.

## Przynajmniej miał pan blisko Trójkę.

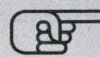
A jak myślicie, dlaczego wybrałem właśnie to liceum? 📞

BartosiaK & Klinke - Wywiadowcy.pl



JACEK DOMINIŃSKI/REPORTER/EAST NEWS





Ich projekty są ikonami stolicy.

O duecie architektów, którzy zaprojektowali większość warszawskich dworców kolejowych, pisze Mike Urbaniak. → 64



ROZMAWIA HANNA RYDLEWSKA, ZDJĘCIA PAWEŁ EIBEL

# Wszyscy jesteśmy Perquisami

**Marcin Koszałka** dał się poznać jako autor dokumentów skrajnie osobistych, surowych w formie, odwołujących się do faktów z jego życia. Jest specjalistą od rodzinnych wiwisekji oraz łamania wszelkiego tabu na ekranie. W lutym premiera jego nowego filmu, w którym tym razem przygląda się dramatom – życiowym i zawodowym – piłkarzy polskiej reprezentacji na Euro 2012.

„Będziesz legendą, człowieku” to dokument o wybranych członkach kadry Franciszka Smudy, kręcony przed, w trakcie i po Euro 2012. Film ukazujący kulisy męskiej rywalizacji, wypełniony po brzegi testosteronem. A jednak pojawiają się w nim obrazy zaskakująco dopięszone estetycznie. Sceny, w których piłkarze rozgrzewają się na murawie, przypominają współczesny balet. To celowy dysonans?

Zaczynam inaczej myśleć o roli obrazu w filmie dokumentalnym. Kiedyś zdawało mi się, że w przypadku poważnych dzieł forma powinna być surowa, a z pewnością drugoplanowa. Teraz interesuje mnie opowiadanie sugestywnymi obrazami, być może przypisanymi stereotypowo do fabuły, a nie do dokumentu. Kiedy zacząłem kręcić film o piłkarzach i piłce nożnej, wiedziałem, że zaintrygować widza mogę tylko za pomocą niebanalnego spojrzenia na – pozornie zwyczajny – ruch człowieka z piłką. Podczas treningów skupiłem się na nogach moich bohaterów i to być może dało lekko baletowy efekt. Współczesne fragmenty zestawiałem z przebitkami z lat 80., co pokazało, jak bardzo w ostatnich trzech dekadach zmieniło się ciało przeciętnego piłkarza. Kiedyś piłkarze byli szczu-

pli, niepozorni, wręcz „czerstwi”. Dziś to wymuskani atleci, pokryci tatuażami, modnie uczesani.

Damien Perquis, centralna postać pańskiego filmu, w jednej ze scen mierzy świetnie skrojony garnitur, oczywiście „slim fit”, i wygląda jak polska odpowiedź na Davida Beckhama.

Rzecz w tym, że to nie jest odpowiedź w stu procentach polska. Wiem, że to może być bolesne dla polskich facetów, ale powiem to – widać, że Perquis należy do kultury zachodnioeuropejskiej. Oczywiście ma polskie korzenie, ale ciągnie się za nim zachodni szyk, ma w sobie ponadprzeciętną klasę. Może i jest w tym element szpanu, w tych dobrych garniturach i aktorskich pozach, ale Damien to nowy typ sportowca, przynależny do XXI w.: dobrze wygląda, ma nienaganne maniery, potrafi się wysłowić.

Szkoda, że jego koledzy z polskiej reprezentacji nie potrafili tego docenić. Pański film obnaża negatywne nastawienie naszych piłkarzy do kogoś, kto jest „spoza”, do obcego. Drwiny z tego, że Perquis nie mówi zbyt dobrze po polsku, bo urodził się i wychował we Francji, bywały bardzo nieprzyjemne. Skąd to chamstwo w piłkarskiej szatni?

Wybrałem Perquisa na centralnego bohatera właśnie dlatego, że w całej historii o Euro 2012 i polskiej reprezentacji on jest przybyszem z kosmosu. To stwarza przestrzeń dramatyczną w moim filmie, który mówi o poczuciu obcości, odrzuceniu, wielkiej samotności. Perquis został obrażony przez legendę polskiego sportu – Jan Tomaszewski nazwał go „francuskim śmieciem”. A koledzy z drużyny wcale nie palili się do tego, żeby z nim rozmawiać. On sam nie walczył szczególnie o czyjąkolwiek sympatię, godził się na alienację, do której popchnął go już w dzieciństwie ojciec. Miał ogromne wymagania, żądał od syna, by ten spełniał jego własne marzenia. „Musiałem być nienaganny” – wspomina w filmie Perquis. Przyjeżdżając do Polski, próbował się z tym zmierzyć, przewalczyć w sobie ojca, który go bił i męczył psychicznie.

Ojciec piłkarza także pojawia się w pańskim filmie. I przed kamerą rozsypuje się, płacze, wypowiada wprost to, co było wiadomo od początku, czyli że był toksycznym ojcem. Czy warto łopatą traktować ten wątek? Czy nie lepiej było operować niedopowiedzeniem? Nie traktuję tego wątku łopatologicznie. Nie mam możliwości przewidzieć, jaki



będzie rozwój wydarzeń, byłem nawet zaskoczony reakcją ojca piłkarza. Właśnie owa scena finałowa z ojcem jest otwarta – nie wiemy do końca, czy jest w nim poczucie winy. Sam mówi: „Żałuję i nie żałuję”. Sprzecznosc, zupełnie jak w życiu, nie ma czarnego i białego.

**Ile czasu musiał pan poświęcić rodzinie Perquisa, żeby doprowadzić do takiej eskalacji emocji?**

To był trudny i żmudny proces. Przebywaliśmy sporo razem, poznawaliśmy się kawałek po kawałku. Oni stopniowo zaczęli mnie lubić. Od początku byłem z nimi szczery, mówiłem im, co i po co zamierzam zrobić. Powiedziałem do ojca Damiena: „Słuchaj, chcę zrobić taką scenę, w której opowiesz do kamery o relacji z synem, bo czuję, że jest między wami problem. Myślę, że może to jest taki sam problem jak między moim ojcem a mną – myśmy się kochali, ale ojciec tak naprawdę nigdy mi nie powiedział, co do mnie czuje, potem ja nie miałem za bardzo czasu wyznawać mu miłości i on umarł”. Ojciec Perquisa usłyszał moją historię i pękł, rozplakał się. Z kolei Damien musiał podświadomie chcieć wniknąć w rodzinne traumy za pomocą filmu. Bez problemu pokazał całą swoją rodzinę, a w ten sposób mówił: „Zobaczcie mnie, jestem wrażliwym człowiekiem, tak szybko mnie nie skreślajcie”. To nie jest tak, że Perquis jest wyłącznie bohaterem filmowym. Myślę, że on tu rozegrał swoje życie, jeżeli chodzi o Polskę. Chciał, żeby ludzie go zobaczyli.

**Przyznam, że nie mogłem zrozumieć, dlaczego rodzina Perquisa i on sam zachowywali się tak, jakby jego udział w rozgrywkach Euro 2012 był walką o życie. Skąd to ciśnienie?**

Z upokorzenia. Przez wybryk Tomaszewskiego. Perquis spinał się nadludzko, żeby udowodnić, że nie jest śmieciem.

**Ale jeżeli ktoś ma poczucie własnej wartości, to podobne oszczerstwa powinien wyśmiać. Gdyby ktoś nazwał pana śmieciem, załamałby się pan z tego powodu?**

Mam wrażenie, że to bardzo boli, szczególnie gościa, który ma grać o honor narodu. Ja jestem jakimś tam reżyserem, a Perquis miał walczyć z godłem na pierśsiach. I na dzień dobry powiedzieli mu: „Nie chcemy cię, jesteś śmieciem”. Dlatego tak zajadle walczył, mimo że przyjechał z potwornym złamaniem łokcia. W meczu z Grecją ten facet niemal strzelił bramkę. Zostawiłem w filmie scenę, w której widać grymas złości i żalu na twarzy Perquisa. On wiedział, że gdyby strzelił gola, zostałby Polakiem. Gdyby Polska dzięki niemu wygrała to spotkanie, wszyscy by mu dziękowali, łącznie z Tomaszewskim.

**☞ Nie wymagałbym od zawodowego piłkarza wyśrubowanego poziomu intelektualnego. Wolę patrzeć na jego charakter.**

**Zdecydował pan, że drugą ważną postacią w filmie będzie Marcin Wasilewski. Dlaczego akurat Wasyl? W jaki sposób dopełnia się z Perquisem?**

Dokonałem zderzenia dwóch skrajnie różnych typów ludzkich. Jeden jest przybyszem o romantycznej, melancholijnej naturze. Drugi jest stąd i jest twardy. Ale obaj mają problem – Perquis nie czuje, żeby gdziekolwiek przynależał i jest poturbowany przez rodzinę, a Wasilewski ściga się z czasem. Boi się starości, która dla piłkarza nadchodzi nadspodziewanie szybko. Nie wyobraża sobie końca swojej kariery, nie ma pomysłu na to, co będzie dalej robił w życiu. Wyznaje: „Potrafię tylko grać w piłkę”.

**Podkreśla także, że piłka uratowała mu życie.**

Wasilewski pochodzi z polskiego Bronksu, z Nowej Huty, z prostej rodziny. Bywa dosadny, ale ma dobre serce i trzyma się zasad. Dla niego przegrane Euro to prawdziwa tragedia, mówi o tym, jak o swojej kolejnej i ostatecz-

Marcin Koszałka dał się namówić naszemu fotografowi na rozegranie krótkiego meczu, mimo zimowej aury.

nej porażce. „Wszystko, co było, przegrałem”. W Wasilewskim jest jednak siła, która sprawia, że nawet na emeryturze będzie walił w piłkę i nie odpuści.

**Wasyl przeklina zawodowo. Jak pan zdołał nawiązać kontakt z nim oraz z pozostałymi piłkarzami? Pan, który operuje inteligentnym słownikiem, i oni, wyjęci z kompletnie innego dyskursu?**

Jest to chyba kwestia odpowiedniego spojrzenia na tych ludzi. Jako dokumentalista muszę popatrzeć na nich z zewnątrz, przekonać się, co mnie – jako przybysza z innego świata – w nich ciekawi. Bo jeśli bohaterowie zainteresują mnie, to może i zaciekawią widzów? Na przykład byłem bardzo zaskoczony przy kręceniu scen, w których uwieczniam, jak nasi piłkarze grają na PlayStation. Nie mogłem uwierzyć, że zawodnicy wari miliony bawią się jak na kolonii harcerskiej. Ta scena pokazuje dokładnie, kim są ci ludzie. O to chodzi każdemu reżyserowi.

**No właśnie, a kim oni są?**

Myślę, że są cały czas małymi chłopcami, którzy bawią się za duże pieniądze.

**Prostacktwo tych chłopców pana nie raziło?**

Nie oceniałbym ich w ten sposób. Nie wymagałbym od zawodowego piłkarza wyśrubowanego poziomu intelektualnego. Wolę patrzeć na jego charakter. Wiem chociażby, że Wasyl jest człowiekiem, który potrafi być lojalny. Ma fajną duszę.

**Przeraża za to potworna samotność piłkarzy, którą doskonale pan uchwycił. Ojciec Perquisa mówi do niego: „Pamiętaj, ciesz się swoimi dziećmi”. Ale jak on ma wychowywać córkę przez Skype’a? A żona Perquisa występuje w filmie właściwie wyłącznie jako milcząca matka.**

Nie ma jej, ona się w ogóle nie odzywa. To nie wynika z jakiejś mojej strategii, tylko z rzeczywistego układu w ich rodzinie. Ona jest z dziećmi, wycofana, zawsze z boku. Popatrzmy na scenę po meczu z Grecją – rodzina Perquisa w milczeniu oczekuje na jego powrót. Potem on siedzi, a w pokoju panuje

kompletna cisza. Wygląda to jak taki śląski film o górniku, który wraca z kopalni. On wchodzi, a wszyscy milczą.

**Dlaczego milczą?**

Bo on jest głową rodziny. To on dostarcza pieniędzy. Wszystko jest dzięki niemu. Tylko ojciec nie odpuścił. Jego ojciec pracuje na nocnej zmianie w Tesco, jest szefem przyjęcia tirów w supermarkecie w Nicei, zarabia pieniądze ciężką pracą, bo w jego mniemaniu syn nie może go utrzymywać. „Może jesteś bogaty, ale masz być porządnym człowiekiem” – powtarza Perquisowi. Co ciekawe, dla piłkarza kluczową postacią jest babcia. Kiedy przychodzi po meczu z Grecją, od razu zwraca się do niej: „Babciu, podobało ci się?”.

**W filmie wyznaje, że gdy śpiewa polski hymn, to babcia w nim śpiewa.**

Bo to babcia obudziła w nim Polaka.

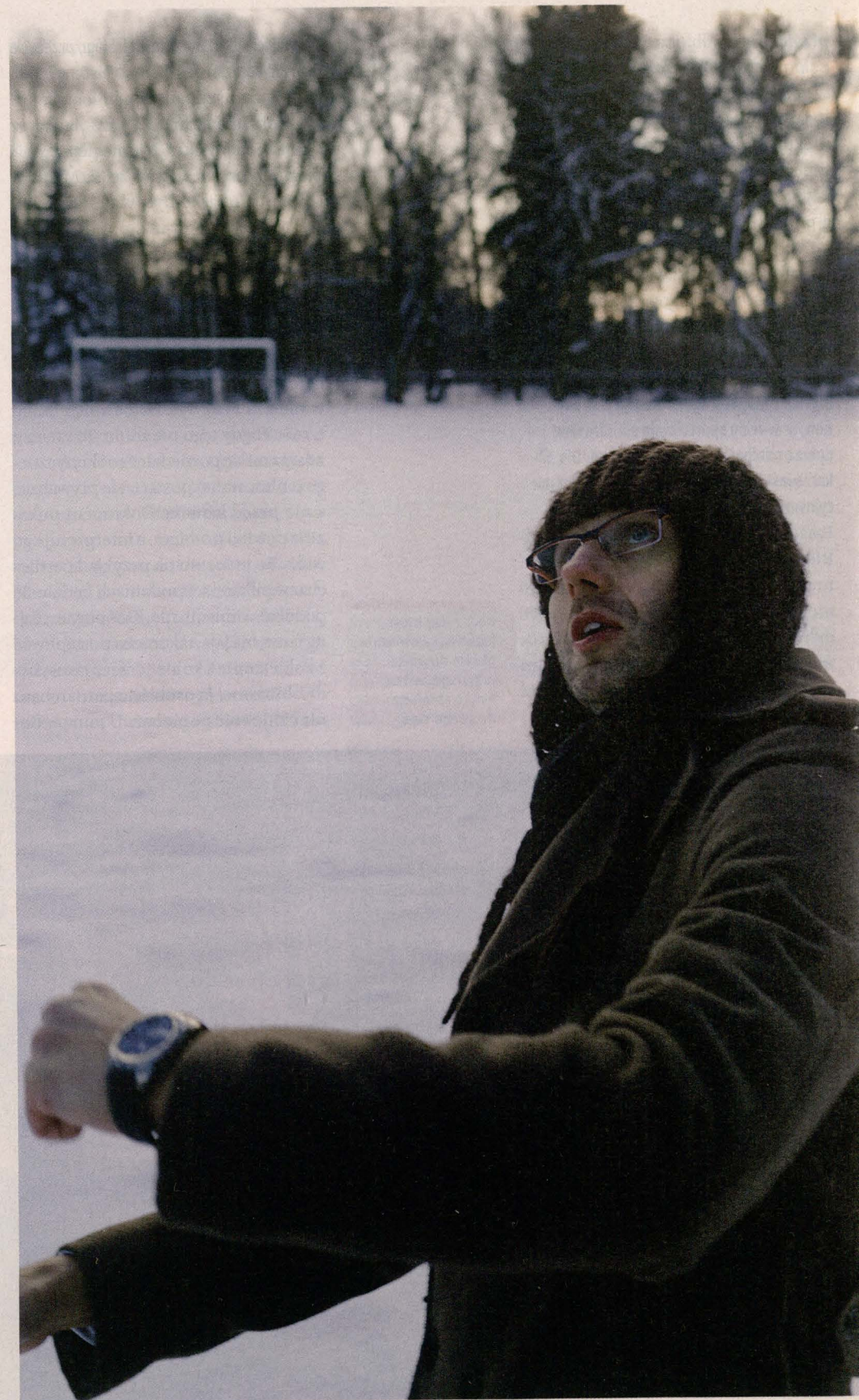
**Ale dlaczego Perquis powtarza patriarchalny model, który sam krytykuje? Czy nie widzi, że wpada w rodzinną pułapkę?**

Co ciekawe, Perquis z jednej strony wie, że ojciec go skrzywdził, a z drugiej rozumie go i ceni. Powiedział mi wprost, że nie ma żalu do ojca, że go bił, bo jednak wychował go na człowieka. Dzisiaj Damien jest kimś i podświadomie uważa, że to również zasługa ojca.

**Może postawa Perquisa wobec żony jest charakterystyczna dla wszystkich piłkarzy, którzy są zakładnikami wizerunku macho?**

Żony piłkarzy w większości podporządkowują się mężom, bo to oni zarabiają ogromne pieniądze i są w domu figurami. Dyktują warunki. Macho nie może pokazać słabości w stosunku do kobiet. Nie może być przed kolegami sobą, musi grać twardziela. Stąd te tatuaże, fryzury oraz gigantyczne mięśnie.

**Zainteresowało mnie, że w piłkarskiej szatni panuje specyficzny, nieco erotyczny klimat. Chociaż piłkarze są potwornymi homofobami, pozwalają sobie na żarty i zachowania, które można zinterpretować jako homoerotyzm. Mój film jest jedną wielką afirmacją męskiego ciała. Dla kobiet jest z pewnością**





przyjemny w odbiorze, również dlatego, że pokazuje mężczyzn w negliżu. Nie sądzę, żeby między piłkarzami istniało jakiegokolwiek erotyczne napięcie, ale niektóre niewybredne żarty, którymi rzucali chłopcy z reprezentacji, zaskoczyły mnie. „Tu ci paluszek wsadzę, a potem będę musiał wycierać”. Mocne to. Natomiast jawnych kontekstów homoseksualnych w tym świecie być nie może – miękki gość zostałby w tym świecie od razu zabity. Coming out byłby samobójstwem.

**Męskie ciało, którego afirmacją jest pana film, w świecie sportu staje się zarazem dobrze naoliwionym mechanizmem. Dla piłkarza jest narzędziem pracy, czymś abstrakcyjnym i bez uczucia.**

Fascynuję się ludzkim ciałem jak Leni Riefenstahl. Ciałem sportowca, które przypomina rzeźbę, zaczyna być nieludzkie. Marzę o tym, żeby pójść dalej, w psychologiczne kino sportowe. Chciałbym w tym roku zrobić film o kadrze siatkarek – mistrzostwa świata w Polsce to doskonała okazja.

Kadr z „Będziesz legendą, człowieku”. Marcin Koszałka przyznaje, że ten film to afirmacja męskiego ciała.

**Oczywiście dla pana człowiek i jego przeżycia liczą się bardziej niż sportowa historia?**

Tak, zawsze szukam psychologicznego zaczepienia. Nie inaczej jest z „Będziesz legendą, człowieku”. Nie mogłem zrobić filmu po prostu o Euro 2012. Mistrzostwa od początku były w tle, jako kontekst ludzkiego dramatu. Przyglądam się ludziom, ich wyborom, być może prowokuję pewne sytuacje. Film dokumentalny zawsze ma w sobie coś z manipulacji, bo reżyser musi zamknąć rzeczywistość w atrakcyjnej narracji. Zrobić wprowadzenie i mocną puentę. Nie powinien za to krytykować swoich bohaterów. Nigdy tego nie robię. To znaczy, zdarza mi się powiedzieć coś krytycznego o filmowanej postaci, ale prywatnie, a nie przed kamerą. Dokument pokazuje pewien problem, a interpretuje go widz. Bo jednemu na przykład patriarchat w piłkarskich rodzinach będzie się podobał, a innemu nie. Ktoś powie: „Fajny facet, ma jaja, tak trzeba postępować z kobietami”. A kobiety, rzecz jasna, będą oburzone. Ja osobiście patriarchatu nie czuję i nie popieram. U mnie w do-

mu dominowała matka. Ojciec zarabiał, ale matka rządziła. I była współczesną wersją Dulskiej, cały czas dbała o pozory, określała, czego nie wypada robić „przed sąsiadami”. Kiedy dorastałem, robiłem jej na przekór. Byłem otwarty na złość matce. W dorosłym życiu praktykuję partnerski model. Moja żona jest silną kobietą. Podoba mi się, że ona dowodzi, jest szefem firmy, dominuje.

**To pańska żona wyprodukowała „Będziesz legendą, człowieku”.**

Tak. Cieszę się, bo lubię z nią pracować. Z tego punktu widzenia podejście Perquisa do żony mi nie odpowiada. Ale to nie powinna być oś dokumentu. Dla mnie ciekawsze okazały się sprawy pokoleniowe. Wina ojca idzie w syna, Damien nie potrafi się z tego wyrwać. Jest zbyt zajęty karierą, a w piłce nożnej trzeba być żołnierzem. To jest zerojedynkowy układ. Trening, masaż, sen, trening. Im mniej myślisz, tym lepiej.

**Lejtmotywnym pana twórczości jest rodzinna wiewiółka. Bada pan rodzinne historie, wła-**

**sne oraz cudze. Ale – proszę mnie poprawić, jeśli się mylę – z każdym kolejnym filmem coraz mniej mówi pan o sobie.**

Już tego nie potrzebuję. Przestaje mnie interesować kino takie, jak mój pierwszy film – „Takiego pięknego syna urodziłam”, czyli prosta rejestracja, „home video”. Współczesne kino dokumentalne coraz bardziej traci formę, staje się niechlujne obrazowo, dźwiękowo, bezkształtne narracyjnie. A ja idę w przeciwnym kierunku. Chcę robić dokumenty blisko fabuły, eksperymentalne, z elementami innych gatunków. Dlatego w moim najnowszym filmie znalazły się animacyjne wstawki.

**Wykonał pan radykalny zwrot: kiedyś stawiał pan wyłącznie na emocje. Jakie są powody tej zmiany?**

Chyba wynika to z wieku, dojrzałości. Jestem już po czterdziestce. Z wykształcenia jestem operatorem filmowym, kręciłem filmy fabularne i siedzi to we mnie. Nie odkrywam niczego nowego, chcę tylko wrócić do korzeni polskiego dokumentu lat 80. Gdzie

mieli trzydziestkę piątkę, gdzie była obserwacja i kadrowanie. W filmach Kieślowskiego była koncertowa forma. A teraz to się wszystko skurwiło. Każdy tylko wyciąga kamerkę i kręci wszystko, bez opamiętania. Nie chcę w tym brać udziału. Parę dni temu zacząłem film fabularny, kinowy, mój debiut.

**To będzie historia seryjnego mordercy?**

Tak. Okazuje się, że świetnie pracuje mi się z aktorami. Normalnego człowieka ciężko jest namówić do pewnych wyrazistych zachowań, z aktorem tego problemu nie ma. Prawda jest taka, że do aktora trzeba mówić bardzo krótko i precyzyjnie, a do normalnego człowieka bardzo dużo i nieprecyzyjnie. To się musi stać bliska tobie – autorowi dokumentu – osoba. Nie wiem, czy wykorzystuję tych ludzi, czy nie, to sprawa trudna do ustalenia, ale moja zasada jest zawsze taka, że jak chcesz komuś otworzyć serce czy duszę, to musisz otworzyć swoją. Ja tym ludziom opowiadam wszystko o swo-

im życiu, o najskrytszych problemach, oni wszystko wiedzą. Często wiedzą więcej niż moi bliscy.

**Nie ma pan oporów?**

Nie. Bo tylko taki układ daje szansę, że bohater się otworzy. On nie może rozmawiać z obcym facetem.

**A zdarza się panu w takich sytuacjach klamać? Konfabulować, żeby zbudować poczucie więzi?**

Nie, bo to jest już niemoralne. Nakreśliłem tylko sytuację mojej rodziny i mojego domu tak, że ludzie widzą, że nie jestem kryształowy. Ze dostałem w życiu w dupę, że nieraz zostałem upokorzony, że jako wybrnąłem z tego, a teraz mam rodzinę. Ja nawet pokazuję czasem im mój film, żeby wiedzieli, że nie przyszedł jakiś facio z kasą, chociaż ja pieniędzy specjalnie nie mam. W ten sposób chcę pokazać, że jestem na ich poziomie albo nawet mam większe problemy od nich. I wtedy oni mówią: „Tak, ten facet jest w porządku, będziemy z nim rozmawiać”. Tylko tyle i aż tyle. ☞

Sceny treningów naszej reprezentacji w piłce nożnej przypominają choreografie taneczne.





Lekkie, geometryczne, żelbetonowe, chroniące pasażerów przed deszczem zadaszenia nad peronami są znakami rozpoznawczymi dworca Warszawa-Powіśle.

MIKE URBANIAK

# Architekci wykolejeni

Warszawa niezmiennie pozbawiona jest centrum, ale ma za to kręgosłup. Zaprojektowali go znakomici architekci **Arseniusz Romanowicz i Piotr Szymaniak**. Dzisiaj ich dworce kolejowe są ikonami stolicy, a oni sami odzyskują należne im miejsce w pamięci.

**C**hyba każdy Polak jechał choć raz w życiu linią średnicową. Pod tą tajemniczą nazwą kryje się trasa kolejowa, która przebiega przez środek Warszawy. Pociągi dalekobieżne zatrzymują się na trzech stacjach: Warszawa Wschodnia, Warszawa Centralna i Warszawa Zachodnia, pociągi regionalne i podmiejskie na dodatkowych: Warszawa-Stadion, Warszawa-Powіśle, Warszawa-Śródmieście, Warszawa-Śródmieście WKD (Warszawska Kolej Dojazdowa) i Warszawa-Ochota. Wszystkie – z wyjątkiem

Warszawy Zachodniej – zaprojektowali Arseniusz Romanowicz i Piotr Szymaniak. Do niedawna obaj znani byli jedynie wąskiej grupie fanów architektury. Dzisiaj ich nazwiska zna każdy szanujący się stołeczny hipster. A wszystko za sprawą jednej knajpki na Powіślu i kilku spektakularnych demolek.

## Ratuj się, kto może

W 2006 r. władze Warszawy wydały zgodę na zburzenie Supersamu. Zbudowany w 1962 r. według projektu zespołu pod przewodnictwem prof. Jerzego Hryniewieckiego pierwszy sklep samoobsługowy w stolicy zachwycał nowatorską konstrukcją i był jednym z najciekawszych budynków w mieście. To go nie uratowało. Musiał ustąpić miejsca biurowo-handlowemu kolosowi (właśnie trwa jego budowa) zaprojektowanemu przez znakomitego architekta Stefana Kuryłowicza. Dwa lata później buldożery rozjechały Pawilon Chemii zbudowany w 1960 r. według projektu Jana Bogusławskiego i Bohdana Gniewiewskiego. W jego

miejsu powstał ekskluzywny dom handlowy (również autorstwa Kuryłowicza). Dla miłośników późnomodernistycznej architektury zagłada Supersamu i Pawilonu Chemii była ostatnim dzwonkiem alarmowym, tym bardziej że władze banku PKO zaczęły planować zniszczenie Rotundy, a władze PKP zburzenie Dworca Centralnego i zbudowanie nowego na Euro 2012. Tego było już za wiele.

– Pracując jeszcze w Instytucie Adama Mickiewicza, oprowadzałem po Warszawie profesorów z zagranicy i kiedy wchodziliśmy na Dworzec Centralny, mówili: „Jaki interesujący budynek! Dlaczego się nim nie chwalcie?”. A mnie wówczas Centralny kojarzył się z tym, z czym inne dworce i w ogóle architektura PRL, czyli zapachem brudnej szmaty – mówi Tomasz Fudala, kurator Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, kierujący festiwałem Warszawa w Budowie. – PKP doprowadziły te budynki do stanu niewyobraźnego: robiono jakieś straszne „remonty”, prowizorki, dostawiano kolejne budy, dowieszano bannery. W tej zdegradowanej przestrzeni chłopaki z Powіśla z grupą Centrala robią archeologiczny remont stacji Warszawa-Powіśle. I co się dzieje? Mamy nagle architektoniczną perłę.

Owe chłopaki to Bartek Kraciuk i Norbert Redkie, którzy w 2009 r. wynajęli od PKP jeden z dwóch budynków stacji Warszawa-Powіśle, zwany „grzybkiem” lub „UFO”, i poprosili Grupę Projektową Centrala o przeprowadzenie remontu. – Kiedy zaczęliśmy pracę nad budynkiem Warszawy-Powіśla, było o nim wiadomo tyle, że jest niesamowicie fajny i wygląda kosmicznie na tle spuścizny architektonicznej lat 90. Na tym się kończyła nasza ówczesna wiedza – wspomina Bartek Kraciuk i dodaje: – To była ruina. Nie było tam nawet żadnej tabliczki z informacją, kto to zaprojektował. Wszystkiego dowiadaliśmy się na bieżąco, podczas remontu.

Centrala z zegarmistrzowską precyzją przywróciła stacji dawny blask,



a zainstalowana w środku knajpa szybko stała się jednym z najbardziej znanych stołecznych adresów imprezowych. Jak wspomina Fudala: – To było wspaniałe, bo nagle się okazało, że architektura może być wydarzeniem. Ludzie chyba po raz pierwszy zobaczyli na własne oczy, że to wszystko jest bardzo wartościowe.

Rok później na Powіślu zorganizowano, niestety już pośmiertnie, setne urodziny jednego z dwóch architektów stacji – Arseniusza Romanowicza. Małgorzata Kuciewicz z Centrali i Hubert Trammer, który pisze doktorat o Romanowiczu na Politechnice Lubel-

Twórcy Dworca Centralnego w hali głównej w roku 1976. Od lewej: inż. Włodzimierz Zdziarski (kierownik zarządu budowy), arch. Andrzej Pańkowski (autor projektu wnętrza), Arseniusz Romanowicz i N.N. Poniżej: wnętrze pawilonu dworca Warszawa-Stadion po generalnym remoncie przeprowadzonym przed Euro 2012.

**PKP doprowadziły te budynki do stanu niewyobraźnego: robiono jakieś straszne „remonty”, prowizorki, dostawiano kolejne budy, dowieszano bannery.**

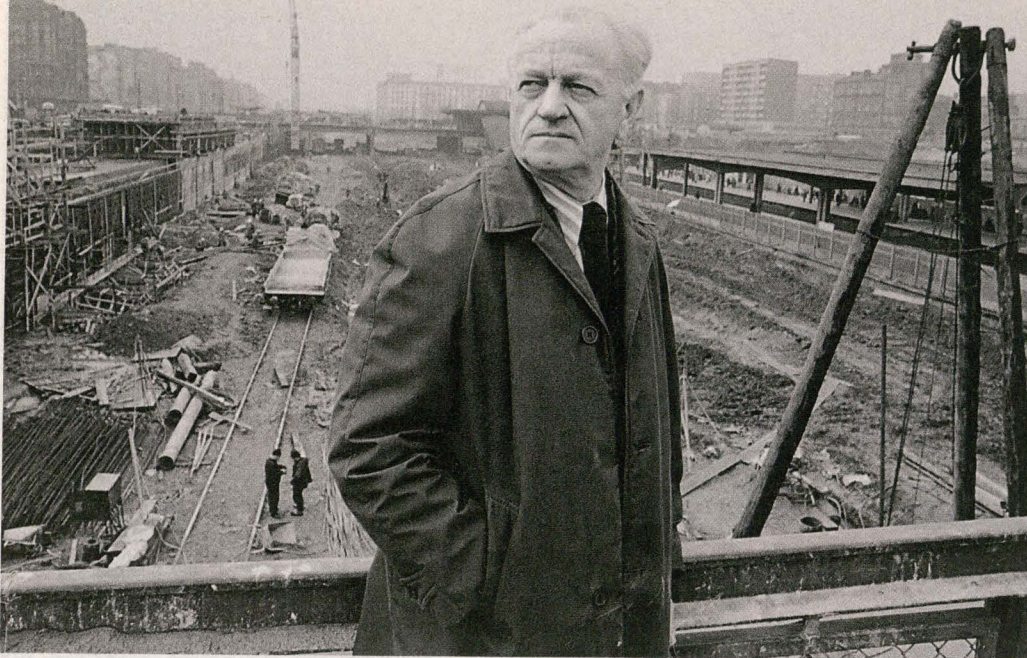
skiej, zaprosili członków zespołu, który projektował dworce linii średnicowej do wspólnego świętowania urodzin architekta i wspomnienia pracy nad konstruowaniem dworców. – Opowiadali na przykład, że kiedy projektowali tunel na stacji Warszawa-Stadion, nie było mowy o żadnym urlopie – mówi Tomasz Fudala. – Dzisiaj, kiedy się ogląda ten dworzec z tym wspaniałym tunelem po generalnym remoncie, widać, jakie to чудо. Warszawiacy robią wycieczki, żeby go oglądać. Wyobrażasz sobie?

## Pierwsze spotkanie

Arseniusz Romanowicz i Piotr Szymaniak urodzili się w 1910 r. Romanowicz w Hrubieszowie na Lubelszczyźnie,







a Szymaniak w Warszawie. 20 lat później rozpoczęli studia na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. – Romanowicz opowiadał mi, że po maturze przyjechał do stolicy z rodzinnego Hrubieszowa z kilkoma kolegami, którzy też kształcili się wyżej. Wszyscy byli Żydami i wszyscy poszli na prawo, a on jeden na architekturę. Na wydział przy ulicy Koszykowej chodził na piechotę z Muranowa, a to przecież kawał drogi, by zaoszczędzić na bilecie tramwajowym – opowiada Grzegorz Piątek, redaktor wydanej przez Centrum Architektury w Warszawie książki „ARPS. Architektura Arseniusza Romanowicza i Piotra Szymaniaka”.

Warto dodać, że żaden z panów nie wywodził się z rodziny z architektonicznymi tradycjami. Byli pierwsi. Romanowicz – student generalnie piątkowy i Szymaniak, któremu zdarzały się także w indeksie trójce. Studia kończą w drugiej połowie lat 30. i startują oddzielnie (Romanowicz z Jackiem Szweminem, Szymaniak z Henrykiem Freyem) w konkursie na meczet w Warszawie. Równocześnie Romanowicz otrzymuje propozycję zostania naczelnym architektem Hrubieszowa, ale dla młodego i ambitnego architekta byłoby to degradujące. Odrzuca ofertę i dostaje zatrudnienie w pracowni słynnych Barbary i Stanisława Brukalskich. Na rok przed wybuchem II wojny światowej



ARCHIWUM RODZINNE

Piotr Szymaniak. Powyżej: Arseniusz Romanowicz na placu budowy Dworca Centralnego.



„ARPS. Architektura Arseniusza Romanowicza i Piotra Szymaniaka”, praca zbiorowa pod redakcją Grzegorza Piątka, projekt: Błażej Pindor, wyd. Centrum Architektury w Warszawie, dystr. Bęc Zmiana, cena 79 zł

panowie osiągają małą stabilizację i zaczynają (pierwszy raz wspólnie) pracę w miejscu, które będzie początkiem ich w dużej mierze wspólnej zawodowej drogi – dostają etaty w prestiżowym Biurze Budowy Dworca Głównego. Dworzec projektowany i budowany przez Polaków, a potem Niemców, którzy zlikwidowali BBDG, a część pracowników polskiej kolei, w tym architektów, zatrudnili w Ostbahndirektion, nie przetrwał wojny. Padł podczas powstania. Po wojnie trzeba było zbudować nowy.

### Dworzec za dworcem

Konkurs na jego projekt rozstrzygnięto w 1946 r. Miał nosić nazwę Warszawa Centralna. Wygrał duet Romanowicz/Szymaniak. Architekci nie zdawali sobie wówczas sprawy, że ta wygrana zadecyduje o niemal całym ich zawodowym życiu, że zaprojektują i zbudują w przyszłości prawie wszystkie stołeczne dworce linii średnicowej, że na zawsze pozostaną już – jak mówił żartem, ale z nutką goryczy Romanowicz – „wykolejeni”.

Konkurs to jedno, a budowa to drugie, szczególnie w bardzo politycznej, nakazowo-rozdzielczej rzeczywistości PRL. Architekci byli zmuszeni swój zwycięski projekt zmieniać jeszcze wiele razy. Dwa lata po konkursie władze zdecydowały, by dodatkowo

**Architekci nie zdawali sobie wówczas sprawy, że ta wygrana zadecyduje o niemal całym ich zawodowym życiu, że zaprojektują i zbudują w przyszłości prawie wszystkie stołeczne dworce linii średnicowej.**

wyodrębnić z Centralnego Dworca Śródmieście, rozdzielając w ten sposób ruch dalekobieżny od lokalnego. Trzeba więc było wymyślić kolejny dworzec, projektując jednocześnie następną wersję Centralnego.

Zanim Centralny uzyskał ostateczny kształt, zespół Kolejprojektu pod kierownictwem Romanowicza i Szymaniaka zdążył zaprojektować i doczekać końca budowy mniejszych stacji, najprawdziwszych perełek powojennej moderny. W roku 1958 zbudowano Warszawę-Stadion, a w 1963 hurtowo otworzono stacje: Powiśle, Śródmieście, Śródmieście WKD i Ochotę. Projektowany był już także dworzec Warszawa Wschodnia, który otwarto w 1969 r. Niestety, inauguracji nie doczekał Piotr Szymaniak. Zmarł przedwcześnie w wieku 57 lat. Po jego śmierci otwarto jeszcze jeden wspólny projekt – stację Warszawa-Ursus Północny. To był rok 1971, a cztery lata później, w końcu, po prawie 30 latach od zwycięskiego konkursu Edward Gierek otworzył z pompą największy i najnowocześniejszy dworzec kolejowy w Polsce, perłę w koronie, czyli Warszawę Centralną.

### Wyjście z cienia

W czasach swojej największej zawodowej aktywności architekci byli doceniani. Otrzymywali różne medale i odznaczenia: Dziesięciolecia Polski Ludowej, za pracę w Centralnym Biurze Studiów i Projektów Kolejowych, „Za zasługi dla Warszawy”. Po śmierci Szymaniaka Romanowicz dostał jeszcze tytuł Milionera (za zaprojektowa-

nie budynków o łącznej kubaturze ponad miliona metrów sześciennych) i Medal Czterdziestolecia Polski Ludowej. Ich dwa największe dworce – Centralny i Wschodni dostały tytuły Mister Warszawy. Ale wraz z końcem lat 70. nastąpił też koniec zainteresowania i zwyczajnie pracy zawodowej żyjącego Romanowicza, który przed przejściem na emeryturę zaprojektował jeszcze zgrabny dworzec kolejowo-autobusowy w Nowym Dworze Mazowieckim (dzisiaj zrównany z ziemią) i wciąż stojący budynek Towarzystwa Salezjańskiego na warszawskiej Pradze.

– Na tle innych architektów projektujących w Polsce świetne dworce Romanowicz i Szymaniak byli bardzo doceniani – mówi Hubert Trammer.

– Stanisław Kaller, twórca niesamowitych dworców w Kunowicach i Tereźpolu, nigdy nie doczekał splendorów. Z kolei w porównaniu z takimi tuzami jak Halina Skibniewska czy Bohdan Pniowski – autorzy bryły Centralnego nie byli specjalnie hołubieni.

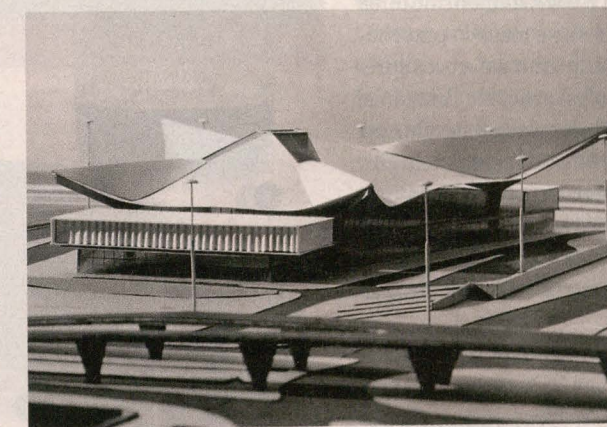
Nie doceniano ich szczególnie w latach 90., najkoszmarniejszym czasie dla polskiej architektury, kiedy wielkie dzieła duetu zaczęły się zamieniać w najbardziej zniechęcające, śmierdzące, oblepione tanimi budami i szmatami miejsca.

Stały się symbolem tego, co najgorsze. Nie była to oczywiście wina architektów, tylko właściciela – spółki PKP, która zdegradowała je, jak tylko mogła. – Romanowicz ubolewał nad tym, że dworce wyglądają, jak wyglądają i że kolej przestała korzystać z jego usług, bo trzeba mu oddać, że był realista i widział, że trzeba dworzec dostosować do nowych czasów – wyjaśnia Grzegorz Piątek.

Architekt nie doczekał generalnego remontu Wschodniego i Centralnego. Zmarł na początku 2008 r., przeżywszy 98 lat.

### Porządek i prostota

Czy Arseniusz Romanowicz i Piotr Szymaniak skazani są na wieczny duet?



Na górze: jedna z koncepcji Dworca Centralnego (tzw. wariant VII), którą zaprojektowano w latach 1961–1963. Na dole: współczesny widok na Warszawę Centralną od strony zachodniej.



BŁAŻEJ PINDOR

Piątek: – Chyba nie da się ich rozdzielić. Mimo że przecież nieustannie startowali oddzielnie w konkursach architektonicznych. Romanowicz na Halę Oliwii w Gdańsku, Szymaniak na kościół w Nowej Hucie. Ale ich najważniejszą spuścizną są dworce kolejowe w Warszawie, które robili razem i którym udało się osiągnąć nieprawdopodobną spójność. Wynikało to z tego, że obaj byli szalenie pracowici, rzetelni i solidni, przyświecało im racjonalne i funkcjonalne podejście do architektury i łączyła ogromna ambicja. Nie było też w nich absolutnie żadnego gwiazdorstwa.

To prawda, nie było, co być może utrudnia odkopywanie materiałów dokumentujących ich gigantyczną pracę i naprawdę niezwykły dorobek. Plany ich projektów poginęły w bałaganiarsko prowadzonych archiwach. W zasobach telewizji jest półtoraminutowe nagranie wypowiedzi Romanowicza. Pozostają archiwa rodzinne, a te także są ubogie, bo dzieci architektów zbyt późno zainteresowały się tym, co robią ich ojcowie. Szczególnie Szymaniaka, który jako wielki asceta i człowiek niezwykle skromny nie gromadził dokumentacji własnej działalności zawodowej. A jest czego szukać, bo ich spuścizna jest nieprawdopodobnie interesująca. Co jest jej wartością?

– Ja ją cenię za wielowątkowość, składanie z różnych elementów i różnorodne układy kompozycyjne. Wystarczy spojrzeć na stację Warszawa-Stadion: tu pawilon, tam rotunda, jedna ściana kamienna, druga z luksferów i to wszystko perfekcyjnie połączone w całość – twierdzi Hubert Trammer. I dodaje: – Profesor Jerzy Sołtan, który zaprojektował z zespołem z ASP wnętrze stacji Warszawa-Śródmieście, pisząc o nim, przywołał opinię rumuńskiego rzeźbiarza Constantina Brâncușiego: „Celem sztuki nie jest prostota, lecz prostotę mimo woli się osiąga przez porządkowanie rzeczy skomplikowanych”. I taka jest właśnie architektura Arseniusza Romanowicza i Piotra Szymaniaka. 📄



MONIKA BRZYWCZY

# Wybiera Tomek Rygalik

Projektuje przedmioty, ale nie przywiązuje się do nich. Jeden z najbardziej znanych polskich designerów mówi, że woli kolekcjonować przeżycia niż rzeczy.

Szewc bez butów chodzi” – śmieje się na początku rozmowy, ostrzegając, że nie będzie o czym opowiadać. Bo – jak twierdzi – ma bardzo mało rzeczy i niewiele potrzeb materialnych. Jego mieszkanie jest minimalistyczne, wyposażone w przedmioty proste i podstawowe. Wbrew powszechnym wyobrażeniom nie tonie w designerskich gadżetach. Przeciwnie – mówi, że mało co przechodzi przez jego zastrzony filtr krytyczny. Trudno mu nawet coś sprezentować, ma wysokie wymagania. Ocenia błyskawicznie i szczerze, często kwitując, że przedmiot jest do bani. Przeprowadzał się tyle razy, mieszkał w tylu miejscach, że odzwyczaił się od posiadania wielu rzeczy. Zdecydowanie woli kolekcjonować doświadczenia, filmy albo... wina. A jeżeli już przedmioty, to nie takie, które w środowisku projektantów są określane jako „hałnajsiki”, które są akurat modne lub epatują blichtrzem. Wybiera rzeczy użyteczne, przydatne, funkcjonalne.

## 1 Barolo

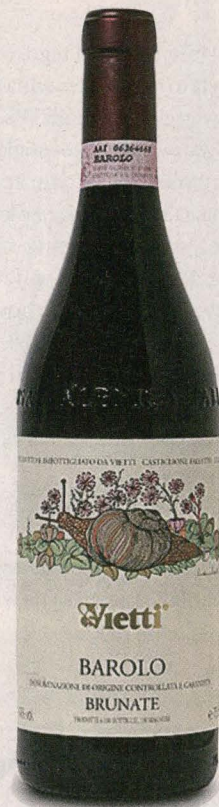
Pasją do win zaraził mnie brat. Jego ulubionym było Barolo i od tego zaczęła się moja winiarska przygoda. Piję wina przywiezione z podróży, ostatnio z północnych Włoch i Gruzji. Nie jestem fanatycznym sommelierem, wina to dla mnie smaki wypraw, które można jeszcze przez pewien czas smakować w domu.

## 2 Sofa i stół

Mamy w domu rzeczy zaprojektowane przez nas (przez Tomka i jego żonę Gosię Rygalik, która też jest designerką – przyp. red.). Stół drewniany Xylo to centrum naszego mieszkania, sofa Soft, ława, lampa – poza przyjemnością patrzenia na swoje projekty oraz tym, że naprawdę je lubimy, chodzi też o testowanie ich. Chcemy zobaczyć, jak się z nimi żyje, żeby ewentualnie je udoskonalać albo następnym razem zaprojektować coś inaczej. Nasze mieszkanie to rodzaj poligonu doświadczalnego dla naszych projektów.

## 3 Sanki, butelka i patyk

Od kiedy na świat przyszła nasza córeczka Frania, nasza postawa wobec rzeczy stała się nieco mniej radykalna. Ale wciąż staramy się znaleźć tę jedną najlepszą rzecz w danej kategorii, a nie kupować ich pięć. A bliskich uświadamiamy grzecznie i taktownie, że róż i plastik nie są u nas mile widziane. W domu pojawiają się zabawki, w większości drewniane, ale uważam, że najlepsze są nie te, które kosztują majątek,



1



3



4



2



MATERIAŁY PRASOWE (8)



KRZYSZTOF KOZANOWSKI

**Tomek Rygalik** – studiował na Wydziale Architektury i Urbanistyki Politechniki Łódzkiej, w Industrial Design w Pratt Institute w Nowym Jorku oraz w Royal College of Art w Londynie, z którą to uczelnią związał się później jako pracownik naukowy. Współpracuje ze znanymi producentami polskimi (np. Comforty, Iker, Noti) i zagranicznymi (np. Moroso). Prowadzi pracownię PG13 na Wydziale Wzornictwa Przemysłowego ASP w Warszawie. [www.tomekrygalik.com](http://www.tomekrygalik.com)



4



5



6



7

tylko te, które skutecznie zajmują dziecko. To może być plastikowa butelka po wodzie czy drewniana kuchenna łyżka. Ale spokojnie, zdarza się, że w domu pojawia się coś nowego... Ostatnio drewniana huśtawka i sanki od dziadka.

## 4 Łódki z kory

Moje pierwsze doświadczenia projektanckie. Miękką kora była niezwykle plastyczna.

## 5 Volkswagen Caddy

Ostatnio miałem okazję jeździć przez weekend wysokiej klasy samochodem, dostałem go do testów. Pojechaliśmy na Hel, pobiłem mój rekord prędkości, to rakietka i wypas, ale na co dzień zupełnie nie chciałbym mieć takiego samochodu. Lubię auto, które spełnia moje użytkowe potrzeby: parkowanie w trudnych miejscach, łatwość manewrowania, żeby można było do niego wrzucić nawet prototyp sofy, rower czy wózek dziecięcy bez składania. I znalazłem takie auto, to Volkswagen Caddy. Pozwala na prawdziwie piękne doświadczenie codzienności. Bo jest bardzo praktyczny w użytkowaniu.

## 6 „Źródło” Ayn Rand

Ważna dla mnie książka, bo czytana w istotnym momencie konstituowania się mojej osobowości, kiedy w wieku 19 lat wyjechałem do Nowego Jorku. Akcja rozgrywa się w środowisku architektów, dziennikarzy, wydawców, opisuje ich wzajemne relacje. Otworzyła mi oczy, jak świat wygląda, jak funkcjonuje. Miała też wpływ na moje wybory życiowe, na to, kim chcę zostać w tej całej układance, jaką jest świat. Chyba chciałbym przeczytać ją na nowo.

## 7 „Zaczarowany ołówek”

Byłem absolutnie zafascynowany tą bajką. Mały chłopczyk rysował, a rysunki stawały się rzeczywistością. Na tym przecież polega projektowanie!

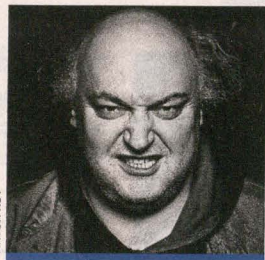
## 8 Rodzice

Dużo wnieśli w moje życie. Oboje byli zaradnymi przedsiębiorcami w dobie raczkującego kapitalizmu. Moja mama z włóczki przywiezionej przez ojca z zagranicy dziergała czapki, stworzyła małą linię produkcyjną. Ojciec robił rzeczy codziennego użytku na potrzeby domu, np. kosiarkę do trawy z silnika od pralki Frani i z miski, sam wypawał przyczepkę do samochodu, zmajstrował kinkiet. Dziś tamten rodzaj pomysłowości, zaradności nie mieści nam się w głowie. Ale niedostatek potrafił być mocno inspirujący. Żyłkę do projektowania mam ewidentnie po nich.



Maciej Nowak

## Pan od obiadów



ARTUR KOT

**W „Titusie Andronicusie” Kłaty też mamy scenę uczt. Cesarz Rzymian podaje królowej Gotów pasztet z jej własnych dzieci.**

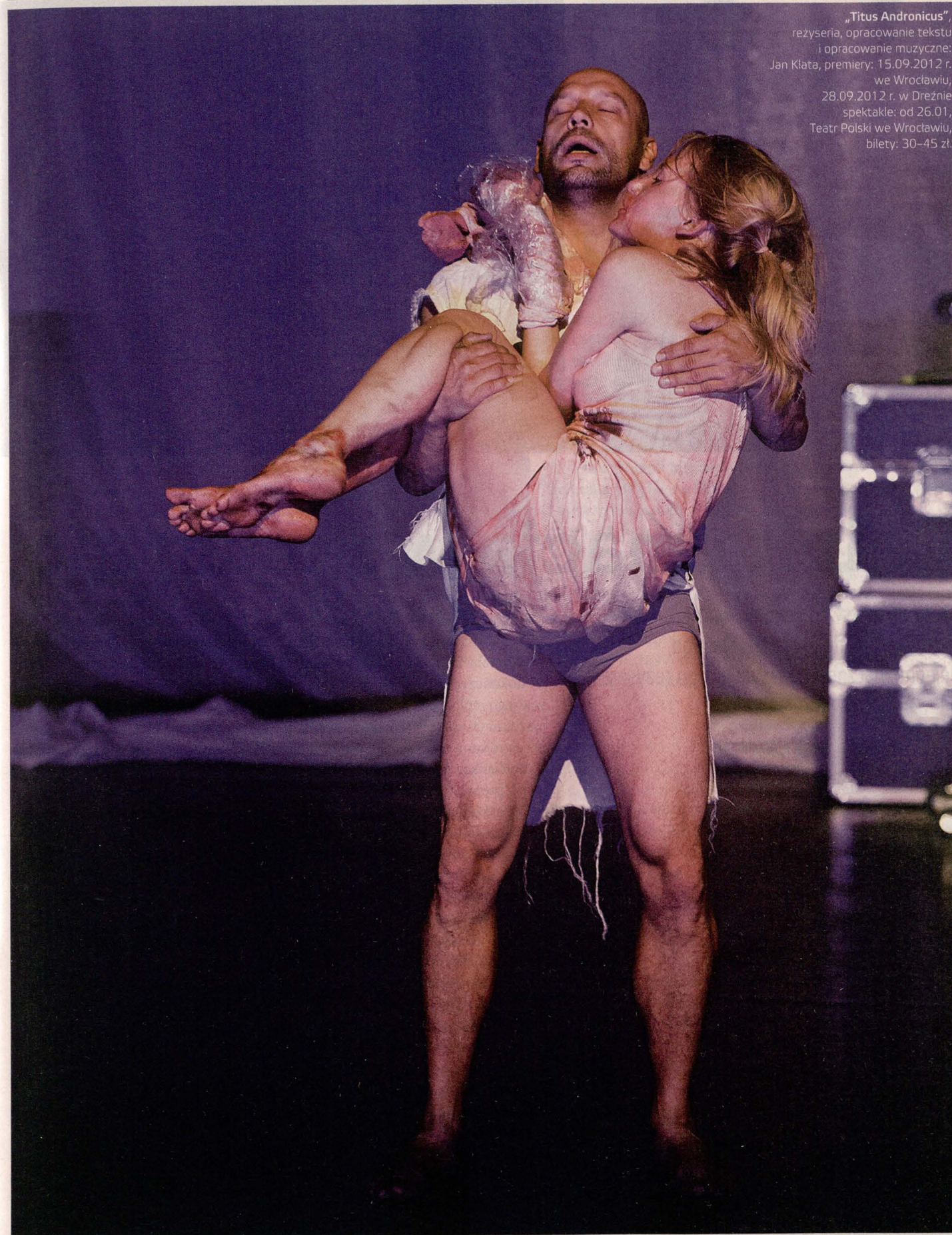
Autor jest teatrologiem, szefem Instytutu Teatralnego, smakoszem, autorem barwnych recenzji kulinarnych. U nas pisze o premierach teatralnych.

Czytaliście notkę o autorze tego felietonu, umieszczoną na dole strony? To pewnie mój kompleks, ale wydaje mi się, że czai się w niej zdziwienie, że szef Instytutu Teatralnego pisze teksty o teatrze. No dobra, nie ma co palić głupa, wiem, o co chodzi. Ostatnią recenzję teatralną napisałem jakieś 20 lat temu, by potem zająć się tym, co Amerykanie nazywają food writing. W oficjalnym życiu zawodowym pozostałem ciągle w kręgu teatralnym i artystycznym, ale w wolnych chwilach ostrzyłem sobie styl na dewolacjach, sztufadach, bouillabaisse i pot-au-feu. Wydawało mi się to dużo bardziej atrakcyjne, niż rozdawać cenzurki i stopnie na koniec roku, w czym polska policja teatralna lubuje się z wielkim zapałem. Starannie separowałem dwa poziomy mejs aktywności. Zajmowanie się gastronomią było lekko zawstydzającym hobby (coś w rodzaju zbierania resoraków albo wafli piwnych), teatr był na serio. Upierałem się przy tym, mimo że już dawno zarejestrowałem, że dzieci przyjaciół reagują na mnie jednoznacznie: „O, pan od obiadów!”. Z kolei starsza publiczność wita mnie do dziś z szacunkiem: „Niech żyje Maciej Kuroń!”.

Powoli jednak powstają z kolan. Refleksja nad humanistycznym wymiarem jedzenia staje się dyscypliną akademicką i dystans między pisaniem o teatrze a pisaniem o żarciu staje się coraz mniejszy. W Polsce dzieje się tak za sprawą Jarosława Dumanowskiego, profesora Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, który animuje wielki program badań nad historią polskiej kuchni. W jego ramach wraz z Muzeum-Pałacem w Wilanowie wydaje serię „Monumenta Poloniae Culinaria”, gromadzącą źródła do dziejów ojczytych kulinariów. Dzięki troskliwej i krytycznej edycji Dumanowskiego lekceważone dotąd dawne książki kucharskie ujawniają bezcenne świadectwa historii, kultury, obyczajowości, pokazują spójność całego procesu cywilizacyjnego, jaki odbywał się w naszej części Europy. Pod koniec ubiegłego roku ukazał się trzeci tom serii, prezentujący „Kucharza doskonałego” Wojciecha Wielądka, wydanego po raz pierwszy w roku 1783, a potem wznawianego jeszcze siedmiokrotnie. O powadze dzieła świadczy fakt, że gdy na życzenie

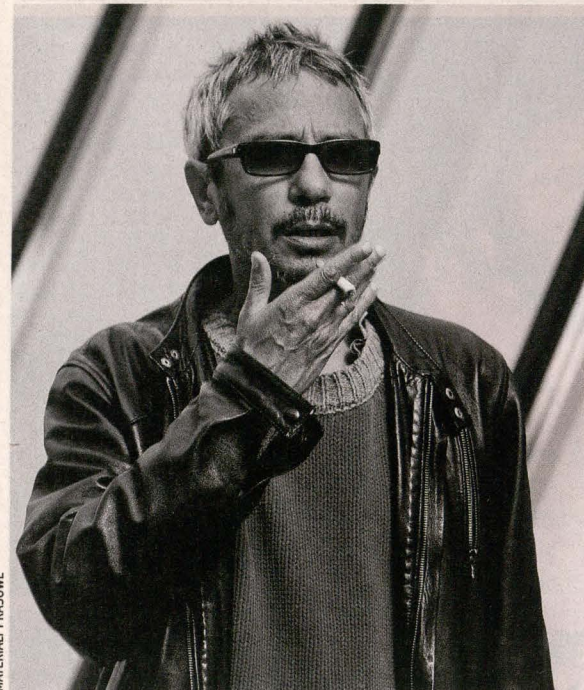
jenerała Dąbrowskiego w XI księdze „Pana Tadeusza” ma być przygotowany „obiad polski”, Mickiewicz każe zajrzeć Wojskiemu po przepisy właśnie do „Kucharza doskonałego”. Dla teatralno-kulinarnego gryzipiórka postać Wielądki jawi się jako autentyczny patron. Właściwie powinienem zwracać się do niego „Papo!”. Był bliskim współpracownikiem Franciszka Ryxa, który na życzenie króla zarządzał sprawami teatralnymi, a także – uwaga, uwaga – Wojciecha Bogusławskiego! Wraz z Ojcem Sceny Polskiej przetłumaczył francuską komedię „Duch sprzeciwieństwa, czyli żona sprzecznna”. Pisał też sztuki samodzielnie i wielokrotnie trafiały one na narodową scenę.

Tropy teatralne i kulinarne meandrują. Na poziomie bufetu (a kto nie rozumie znaczenia bufetu teatralnego, ten w ogóle nie rozumie teatru), ale też i scenicznych środków wyrazu. Jedną ze sztandarowych premier po przełomie roku 1989 była „Tamara” w teatrze Studio w Warszawie w reż. Macieja Wojtyzki. Niewiele pozostało mi w głowie z tego przedstawienia poza jednym szczegółem. Bankiet dla widzów, który stanowił część inscenizacji, przygotowany został przez restaurację hotelu Marriott. To dopiero był szyk! Drogowskaz aspiracji nowych elit! Dekadę później wyszydził to Jan Klata w inscenizacji „Hamleta” w Stoczni Gdańskiej. Spektakl rozpoczął się sceną przy stole, przy którym dwór Klaudiusza uczył się na pamięć apelacji i gatunków win z „Przewodnika Parkera”, biblii wszystkich snobów i nuworyszy świata (skądinąd cztery tomy tego opasłego dzieła stoją również w mojej biblioteczce). W ostatniej premierze Kłaty „Titusie Andronicusie” według Shakespeare’a i Mullera, koprodukcji Teatru Polskiego we Wrocławiu i Staatsschauspiels w Dreźnie, też mamy scenę uczt. Tak jak u Shakespeare’a, cesarz Rzymian (Wolfgang Michalek) podaje królowej Gotów (Ewa Skibińska) pasztet z jej własnych dzieci. Ci, którzy nie chcieli zrozumieć zamysłu reżyserskiego Kłaty, polegającego na obnażeniu najbardziej prymitywnych stereotypów na temat Niemców i Polaków, przynajmniej w finale „Titusa...” powinni być usatysfakcjonowani. Barbarzyńcy – tak jak lubią – wciąż pozostają mięsem. Smacznego!



„Titus Andronicus”, reżyseria, opracowanie tekstu i opracowanie muzyczne: Jan Klata, premiery: 15.09.2012 r. we Wrocławiu, 28.09.2012 r. w Dreźnie, spektakle: od 26.01, Teatr Polski we Wrocławiu, bilety: 30–45 zł.





DOROTA CHROBAK

# Reinkarnacja w limuzynie

„Holy Motors” to wybitne kino wyreżyserowane przez kapryśnego, niejednoznacznego, fascynującego reżysera.

**P**odczas spotkania z Caraksem, w trakcie ubiegłorocznego festiwalu T-Mobile Nowe Horyzonty, ktoś z widowni spytał: „Co pan robił przez ostatnie 12 lat”? „Spałem, jadłem śniadania, podróżowałem, zakochiwałem się. Żyłem dokładnie tak jak wy” – odparł reżyser, co należy jednak odczytać jako zgrabny, wręcz kokietyjny unik przed niewygodnym tematem.

Przez ostatnie 12 lat Leos Carax wiódł bowiem gorzki żywot znakomicie zapowiadającego się reżysera, któremu powinęła się noga. Po głośnych filmach „Chłopiec spotyka dziewczynę” (1984) i „Zła krew” (1986), dzięki którym wyrobił sobie markę jednego z najciekawszych francuskich reżyserów młodego pokolenia, Carax porwał się na realizację dzieła życia, „Kochanków z Pont-Neuf”, i poległ. Odtwórca głównej roli męskiej, Denis Lavant, podczas pierwszego dnia

zdjęciowego uległ kontuzji, pozwolenie na zamknięcie autentycznego Pont-Neuf na potrzeby filmu wygasło, więc Carax, by dokończyć zdjęcia, musiał wybudować jego replikę etc. W efekcie produkcja filmu trwała trzy lata, budżet wzrósł do astronomicznej sumy 28 mln dol., a „Kochankowie z Pont-Neuf” od ponad 20 lat (premiera miała miejsce w 1991 r.) wciąż uchodzą za najdroższy francuski film wszech czasów. I jedną z największych finansowych klap. Po tej klęsce Carax musiał czekać aż osiem lat na kolejną szansę, ale ta – w postaci kontrowersyjnego, oskarżanego o pornografię romansu „Pola X” (1999) – pograżyła go ostatecznie i zmusiła do zamilknięcia na następne 12 lat.

## Powrót syna marnotrawnego

„Holy Motors” są więc konglomeratem nie tylko filmowych, ale także pozafilmowych składników: głodu wyposzczonego reżysera, pragnącego w jednym dziele zawrzeć kilka czy nawet kilkanaście obrazów, których nie dane mu było przez lata nakręcić; goryczy i urażonej dumy świadomego swego talentu twórcy na wy-

gnaniu (możemy sobie tylko wyobrazić, ile kąśliwych uwag i kpiących uśmiezków przez ten czas doświadczył), dystansu do świata ponad 50-letniego już przecież mężczyzny czy wreszcie humoru, którym zapewne z czasem kwitował swoją piękniętą zawodową biografię. W warstwie fabularnej „Holy Motors” przypominają bowiem inteligentny dowcip: oto błędym światem wściekle bogaty biznesmen, niejaki Monsieur Oscar (ponownie ulubiony aktor Caraksa, Denis Lavant), w luksusowej rezydencji wsiada do luksusowej limuzyny i w drodze na – zapewne biznesowe – spotkanie przegląda dokumenty. W tym momencie następuje zwrot akcji: nie ma żadnego spotkania, Monsieur Oscar nie jest biznesmenem, a jego zadanie polega na tym, by udawać żebraczkę w centrum Paryża. Po odegraniu żebraczki przychodzi pora na kolejną rolę, potem następną etc. Każde wcielenie Oscara to nie tylko kolejny fabularny zwrot, ale też następna miniscenka zrealizowana wedle reguł innego gatunku filmowego, a tych mamy tu całkiem sporo – m.in. melodramat, horror, animacja 3D, musical, kino gangsterskie, a nawet – w formie in-

terludium – teledysk. Z czasem zmiany dekoracji i charakteryzacji następują coraz szybciej, klimat filmu staje się coraz bardziej deliryczny, a płaszczyzny tego, co umowne, i tego, co dosłowne, splatają się w węzeł nie do rozplątania. Kim zatem jest Oscar i o co w tym wszystkim chodzi?

## Święci widzowie

Z pewnością jednym z kluczy interpretacyjnych filmu jest imię głównego bohatera – Oscar. Leos Carax to pseudonim artystyczny, anagram dwóch prawdziwych imion reżysera, które brzmią: Alex Oscar. Monsieur Oscar byłby zatem kimś w rodzaju alter ego Caraksa – zarazem twórcy i tworzywa, nieustannie podnieconego, wręcz uzależnionego od swojego zajęcia, ale też coraz bardziej nim wyczerpanego, rozdartego między nadmiarem i niespełnieniem, zmuszanego do upokarzających aktywności, a równocześnie próbującego zachować w całym tym chaosie godność. „Holy Motors” to jednak zbyt dobry film, by interpretować go wyłącznie przez pryzmat biografii autora. Z powodzeniem można potraktować go m.in. jako złośliwy komentarz do kultury masowej, w której do reszty zatarły się granice między kinem a życiem, czy naszego intelektualnego lenistwa i skłonności do myślenia wytrychami (rozwiędziony ojciec, jedno z wcieleń bohatera, jest kalką najprostszych skojarzeń: zaniedbany facet w starym samochodzie, który nie może się dogadać z dorastającą córką). Podczas wspomnianego spotkania z widzami na pytanie, czym są Holy Motors (tak w filmie nazywane są owe luksusowe limuzyny, w których Monsieur Oscar, ale też – jak się potem okazuje – wiele innych osób, doświadcza swoich życiowych reinkarnacji), Carax odparł, że być może jesteśmy nimi my – widzowie. I jest to kolejna, logiczna i spójna interpretacja jego dzieła. Patrzymy na świat nie wprost, ale przez okna (czasem limuzyny, czasem ekranu kinowego), żyjemy w zawieszaniu między fantazją i realnym światem, a za utrzymanie owej iluzji jesteśmy w stanie płacić zdrowiem i nałogami. Ale czy ulotne chwile prawdziwej magii, które udaje się nam dzięki temu osiągnąć, nie są tego warte?

## Dorota Chrobak o filmach



reż. Lee Daniels  
USA, 2012, 107 min,  
dystryb. Monolith

## THRILLER Pokusie

Inteligentny rewers endemicznie amerykańskiego gatunku filmowego, jakim jest dramat sądowy w odmianie „uwolnić niewinnego”. W „Pokusie” ów domniemany „niewinny” ma oczy szaleńca, jego narzeczona to rozerotyzowana dzidzia-piernik, a żądni prawdy dziennikarze mają sporo mrocznych sekretów. Rzecz dzieje się w 1969 roku, więc do tego dochodzą coraz starannie ukrywany rasizm i coraz jawniejsza rewolucja seksualna. Lee Daniels pewną ręką prowadzi aktorów (Kidman, Cusack, McConaughey!) i umiejętnie zagęszcza klimat, przełamując napięcie mocno zjadliwym humorem, ale najlepiej wychodzi mu oddanie na ekranie nihilizmu epoki, która już nie potrafi funkcjonować po staremu, ale w nowej rzeczywistości nijak odnaleźć się nie potrafi.



reż. Katarzyna Rosłaniec  
Polska, 2012, 98 min,  
dystryb. Kino Świat

## DRAMAT Bejbi Blues

17-letnia, kompletnie niedojrzała emocjonalnie Natalia (energetyczna Magdalena Berus) zachodzi w ciążę i rodzi dziecko. Wszystko wskazuje jednak na to, że całe jej otoczenie składa się z równie niedojrzałych jak ona osób, a nagromadzenie nieodpowiedzialnych czynów i postaw prowadzi do prawdziwego dramatu. Nastoletnie matki to temat z potencjałem, ale raczej na porządnym, pogłębionym dokumencie, a nie fabule – w dodatku zaludnioną przez galerię antypatycznych i durnych jak kilo gwoździ postaci. W efekcie scenariusz nie daje bohaterom żadnych szans na przemianę, czy choćby myślową syntezę, a to z kolei nieuchronnie prowadzi do zubożenia, by nie powiedzieć znużenia całą historią.

## Katarzyna Nowakowska o serialach

## Złote groby

Złote Groby to wciąż dla gwiazd seriali jedna z nielicznych okazji, podczas których zyskują splendor należny hollywoodzkim celebrytom. A w tym roku na dodatek galę poprowadzą dwie fajne serialowe dziewczyny. Oglądać! Gale nagród filmowych zazwyczaj charakteryzuje sztuczna i sztywna atmosfera à la dom pogrzebowy. Złote Groby spokojnie mogłyby zwać się Złote Groby, bo napięcie towarzyszące nominowanym skutecznie zabija ducha wszelkiej zabawy. Na szczęście organizujące imprezę Hollywoodzkie Stowarzyszenie Prasy Zagranicznej ostatnio powierza prowadzenie ceremonii ludziom, którzy wiedzą, jak rozruszać publikę. Przynajmniej tę przed telewizorami. Przez trzy lata z rzędu gospodarzem wieczoru był brytyjski komik Ricky Gervais, który zdołał obrazić większość zebranego celebryctwa, a jego cudowne złośliwości pod adresem Brangeliny, Mela Gibsona, Charliego Sheena czy niewymienionych (za radą prawników) z nazwiska słynnych scjentologów kryptogejów były cytowane przez prasę na całym świecie. I na pewno zostały lepiej zapamiętane niż nudne fakty typu: kto i za co dostał nagrodę. W tym roku jubileuszową 70. galę wręczenia Złotych Globów poprowadzą damskie specjalistki od komedii – Tina Fey („Rockefeller Plaza”) i Amy Poehler („Parks and Recreations”) – żeby było ciekawiej, obie nominowane w kategorii najlepsza aktorka komediowa. Jest szansa, że bardzo zabawnie się pobiją na scenie, zwłaszcza jeśli statuetkę w tej kategorii zgarnie Lena Dunham („Dziewczyny”).  
70. Ceremonia rozdania Złotych Globów, HBO, 13 stycznia, godz. 2





## Płyty ocenia Angelika Kucińska

## NEO SOUL/R'N'B/ELECTRO POP

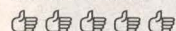
## Pop z przyszłości

Hipsterczka. Młodsza siostra Beyonce wie, z kim trzymać, żeby nie zginąć. I jeśli tylko nie wymieni kolegów, będzie dyktować warunki.

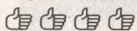
Tak powinien brzmieć tegoroczny pop. Tak może brzmieć tegoroczny pop, bo choć EP-kę „Try” można było znaleźć w iTunesie jesienią, fizycznie ukazuje się dopiero teraz i zapowiada nowy długogrający album Solange. To z kim trzyma, że tak podkręca apetyt? Za materiał jest odpowiedzialny Dev Hynes, brytyjski muzyk i producent, który od kilku lat skutecznie przekonuje, że dobra piosenka funkcjonuje poza gankami. Był liderem rockandrollowo hałasującego zespołu Test Icicles, który porzucił dla autorskiego, prawie folkowego projektu Light-speed Champion, który z kolei zawiesił na rzecz dyskretnie tanecznego Blood Orange. Eklektyzm wyznacza też koncept „Try”. Solange z pomocą Hynesa odnajduje się w futurystycznym soulu spod znaku Janelle Monae, i w romantycznym electro popie, a ich wspólne „Losing You” ma potencjał piosenki sezonu. I choć starsza siostra może czuć się niezagrożona, bo młodsza z premedytacją pozostaje środowiskową sensacją, celując w alternatywne towarzystwa, jej błyskotliwe piosenki zasługują na szczyty notowań. Nie będzie zaskoczenia, gdy wysokobudżetowe gwiazdy przejmą te patenty. Z Solange będą ściągać najwięksi.



Solange „True”,  
Terrible Records



Angie Stone „Rich Girl”,  
Saguaro Road Records/Warner



## SOUL

## Bez ryzyka

Ma parę nagród na koncie i milionowe wyniki sprzedaży, które potwierdzają jej status pierwszej damy nowego soulu. Angie Stone już nie musi się starać. I to trochę słycać.

To dobra płyta. Tylko tyle. Sprawnie skomponowana, poprawnie wyprodukowana. Wzorowo wpisuje się w specyfikę gatunku – od muzyki tworzonej z szacunku do tradycji soulu, ale brzmiącej współcześnie (choć niezbyt nowoczesnie), po emocjonalne teksty. Sypialniane tempa, wysmakowane ballady, świetny głos. I nic nie odstaje, nie zaskakuje, nie rusza bardziej. Nic dziwnego, że płyta kompletnie przepadła w zeszłorocznych podsumowaniach (w Polsce ukazuje się z minimalnym opóźnieniem). Docenią ją ci, którzy nie lubią ryzyka w muzyce, bo to bezpieczny, wręcz asekurancki album. Angie Stone może wciąż jest królową, ale dziś już tylko wśród rzemieślników.

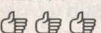
## POP/R'N'B

## Szafa gra

Muzyk wszechstronny żadnej piosenki się nie boi. Bruno Mars na swojej nowej płycie gimnastykuje się, by dowiedzieć, że nie ma gatunku, który byłby mu obcy. Nigdy nie wiesz, co znajdziesz w szafie grającej. Zestaw skompilowany przez Bruno Marsa, amerykańskiego wokalistę i kompozytora, ma pokazać, jak szerokie są jego zainteresowania i umiejętności. Jest tu i całkiem stylowy soul (najlepsze na płycie „Young Girls”), i bujane rytmy reggae, i jackopodobne efekciarstwo. Kopiowanie patentów Jacksona dowodzi jednak, że budżet na produkcję to nie wszystko, zwłaszcza gdy nie starcza refrenu. Choć Mars miewa przebłyki kompozytorskiej i wykonawczej sprawności, brakuje mu naturalnej swobody w poruszaniu się po różnych estetykach. Nie jest to też wcale tak nieortodoksyjna mieszanka, jak sugerowałby tytuł albumu. Za dużo by chciał, za mało może.



Bruno Mars,  
„Unorthodox Jukebox”,  
Atlantic



## KUBA DĄBROWSKI

## Złotoreęki

Saul Bass – o tym, skąd się wzięły filmowe czołówki i abstrakcyjne plakaty.

FRANK SINATRA · ELEANOR PARKER · KIM NOVAK



With Arnold Stang, Darren McGavin, Robert Strauss, John Conte, Doro Merande, George E. Stone, George Mathews, Leonid Kinskey, Emile Meyer, Shorty Rogers, Shelly Manne, Screenplay by Walter Newman & Lewis Meltzer, From the novel by Nelson Algren, Music by Elmer Bernstein, Produced & Directed by Otto Preminger, Released by United Artists

**N**owy Jork, rok 1936. 16-letni Saul Bass mieszka na Bronksie. Po lekcjach w liceum dorabia, malując szyldy w sklepach spożywczych. Chłopak zawsze lubił rysować, a w czasach kryzysu trzeba dokładać się do domowego budżetu. Pewnego letniego dnia malującego szyld chłopaka zauważa działacz studencki z Art Students League na Manhattanie. Zachwycony jego robotą proponuje mu skromne stypendium: godzina darmowych zajęć tygodniowo. Bass zaczyna uczyć się projektowania graficznego. Po skończeniu kursu chce pracować w reklamie. Znajduje posadę w agencji odpowiedzialnej za robienie typografii i plakatów do filmów produkowanych przez studio United Artist. – Filmy to był najgorszy

Film „Złotoreęki” (1954) nie tylko zachwycał nowatorskim plakatem. To pierwsza w dziejach kinematografii fabuła z animowaną czołówką.

segment reklamowego rynku – maszynowa robota, bez miejsca na kreatywność – wspominał Bass. Grafik próbuje wprowadzić odstępstwa od sztampy. Ale zleceniodawcy tego nie lubią. Zmęczony kłótniami Bass w 1944 r. rzuca kolejną posadę w studiu filmowym i zaczyna projektować logotypy oraz kampanie.

Lata 50. to początek ery telewizji i kres potęgi hollywoodzkich studiów filmowych. Pod wpływem tego, co dzieje się w Europie, w Stanach też zaczyna się

**Kuba Dąbrowski** co tydzień pisze o rzeczach, które mogłyby być uznane za sztukę, ale są też częścią codzienności. O zdjęciach, plakatach, reklamach, okładkach książki, płytach, logotypach.

kręcić ambitne fabuły. Nowe filmy potrzebują nowej estetyki. Przyzwyczajone do schematów agencje sobie nie radzą. Filmowcy przypominają sobie o niesfornym grafiku.

W 1954 r. do Bassa zgłasza się Otto Preminger, bezkompromisowy reżyser austriackiego pochodzenia. Kręci właśnie „Carmen Jones” – współczesną wersję opery Bizeta. Obaj są zadowoleni ze współpracy, więc Austriak zamawia plakat do kolejnego filmu „A Man with the Golden Arm” („Złotoreęki”). To opowieść o uzależnionym od heroiny jazzowym perkusiście, którego gra Frank Sinatra. Bass przygotowuje prosty, symboliczny plakat – wykrecona czarna ręka i wypisany rozchwianym krojem pisma tytuł. Preminger jest zachwycony – plakat jest niedosłowny, a równocześnie nie ucieka od tematu. Inwestorzy i dystrybutor zachwyceni nie są – nie po to płacą Sinatrze, żeby nie było go na plakacie. Ostatecznie udaje się wypracować kompromis: plakat pozostanie w oryginalnym duchu, ale w rogach znajdują się zdjęcia aktorów.

Podczas negocjacji Premingerowi i Bassowi przychodzi do głowy kolejna genialna myśl: dlaczego graficzny motyw, z którego są tak bardzo zadowoleni, nie miałby być wykorzystany w samym filmie? Dlaczego nie zrobić z niego animowanej czołówki? Oprócz artystycznego plakatu Bass przygotowuje pierwszą w historii kina otwierającą film ruchomą tytułową sekwencję. „Złotoreęki” jest rewolucją.

Bass staje się specjalistą od autorskiego filmowego marketingu, a animowane czołówki nieodzowną częścią ambitnych produkcji. Do projektanta zgłaszają się m.in. Billy Wilder i Alfred Hitchcock, a później rozkochany w filmowej tradycji Martin Scorsese. Bass zawsze przygotowuje pakiet: logotyp, typografia, plakat i sekwencja początkowa. Jego najsłynniejsze projekty to m.in. „Vertigo”, „Psychoza”, „West Side Story” czy „Lśnienie”. – Obrazy Picassa i Cezanne’a, reklamowy plakat i napisy początkowe – wszystkim rządzą te same zasady kompozycji – podsumował własną pracę projektant. ☞



MARTA MACH I AGATA NAPIÓRSKA

# Litery w starej i nowej szacie

Józef Suwała i Marian Misiak na co dzień pracują z literą. Pan Józef – **grawer** – żałuje, że dziś często maszyny zastępują ludzi; Marian, który **projektuje kroje pism**, choć do dawnych metod ma sentyment, nie wyobraża sobie pracy bez komputera.



## RETRO

Pan **Józef Suwała** grawerem jest już ponad 40 lat. Prawdziwy z niego specjalista – nie ma rzeczy, które uważałby za niemożliwe do wykonania. Pracownia grawerska Józefa Suwały znajduje się w Warszawie przy ulicy Nowowiejskiej 5.

### Czym zajmuje się grawer?

– Od zdobienia wyrobów jubilerskich, precjozów, sreber aż po szyldy, statuetki, rzeźby, płaskorzeźby, medale, emalie. Jeżeli klient nie ma projektu zdobienia medalu czy innego przedmiotu, a dysponuje jedynie myślą przewodnią, to robię też projekt.

### To jak się robi medal?

– Najpierw jest projekt. Potem nanosi się ten projekt na krążek miękkiej stali, a potem się hartuje i przepuszcza przez prasę. Taka prasa ma nacisk 150 ton na centymetr, trzeba być ostrożnym. Grawer współpracuje też z innymi rzemieślnikami, którzy zajmują się odlewaniem i tłoczeniem. Ja sam jestem bardziej od spraw artystycznych.

### Jak zostać grawerem?

– Skończyłem Szkołę Rzemiosł Artystycznych. To było w 1972 r. Potem dyplom czeladniczy i mistrzowski. Moją pracą dyplomową było wykonanie matrycy do tłoczenia medalionów – z twarzą kobiety.

Szkoły nadal uczą grawerstwa, ale to już nie to samo – teraz głównie korzysta się z oprogramowania. Maszyny wypierają ludzi. Jednak wprawne oko wypatrzy, co było zrobione ręcznie, a co maszynowo. Maszyna nigdy nie osiągnie takiej precyzji wykonania jak ludzka ręka. Takich prawdziwych grawerów jest coraz mniej.

### Jakie zlecenia lubi pan najbardziej?

– Nie ma dla mnie prac nielubianych. Najciekawsze są unikaty, które mało kto jest w stanie wykonać – wtedy to wyzwanie i satysfakcja. Kiedyś robiłem na przykład tacę o średnicy 30 cm. Po wojnie klientowi zachowała się tylko jedna czwarta tej tacy – i ja ją w całości odtworzyłem na podstawie powtarzającego się motywu. Klient był bardzo zadowolony.

Niektóre zlecenia są bardzo pracochłonne, wymagające ślęczenia przy mikroskopie – czasem i tydzień można siedzieć nad jednym centymetrem kwadratowym płaskorzeźby czy rzeźby.

FRANCISZEK BUCHNER

Autorki prowadzą magazyn [www.zwyklyzycie.pl](http://www.zwyklyzycie.pl).

## FUTURO

**Marian Misiak**, typograf, zajmuje się projektowaniem krojów pism, czyli inaczej – projektowaniem liter. Mieszka we Wrocławiu, ale żeby zaprojektować swój krój w alfabecie łacińskim i arabskim, uczył się pod Londynem i mieszkał w Jordanii.

### Jak bardzo zmieniła się praca typografa na przestrzeni ostatnich dekad?

Rewolucją była wymiana narzędzia. Komputer bardzo znacząco zmienił naszą pracę. W odstawkę poszły linijki, ołówki i pisaki. Ja osobiście mam sentyment do starych metod pracy – dużo na ich temat czytam i piszę. Nie chciałbym jednak do nich powrócić. Dzięki digitalizacji nastąpił postęp w typografii. Cofnięcie się jest niemożliwe.

### Skąd wzięło się twoje zamiłowanie do liter?

Od kiedy zacząłem zajmować się projektowaniem graficznym, najbardziej zainteresowały mnie litery. Żeby pogłębić swoją wiedzę, wyjechałem na studia do Anglii. Podlondyński University of Reading nie tylko oferuje studentom kierunek poświęcony wyłącznie projektowaniu krojów pism, specjalizuje się również w typografii multiscriptowej.

### Co to znaczy?

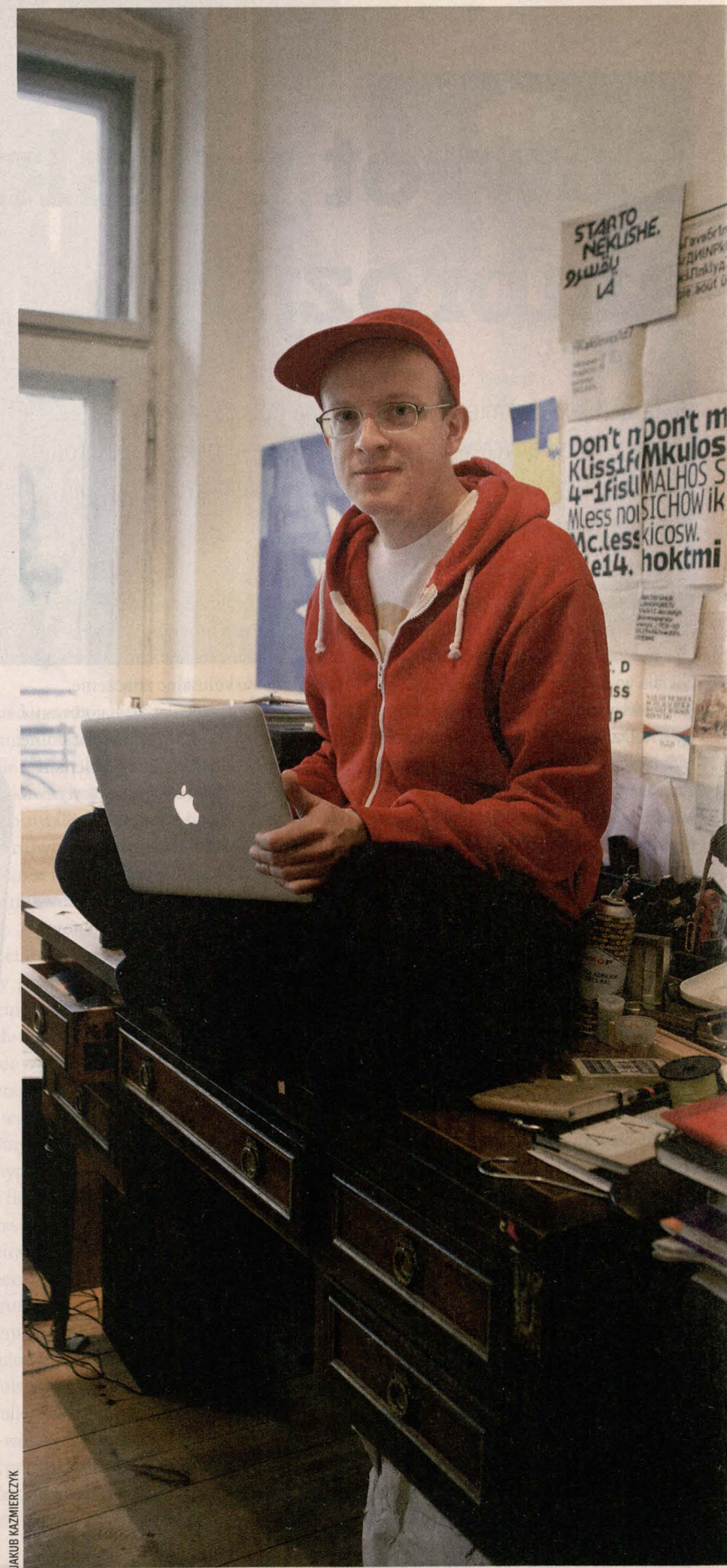
To projektowanie kilku skryptów, czyli zestawu liter, jednocześnie, w moim przypadku łacińskiego i arabskiego. To kolejny przełom w typografii i nowe wyzwanie dla współczesnych projektantów. Wiąże się to z globalizacją i ogromną w dzisiejszych czasach łatwością przepływu informacji. Projektowanie multiskryptowe jako jedna z dziedzin typografii jest dziś praktycznie w początkowej fazie rozwoju. Interesujące jest, w jakim kierunku ten rozwój będzie przebiegał.

### Musiałeś nauczyć się języka arabskiego, żeby zaprojektować arabską wersję swojego kroju?

Nie tylko języka. Pismo jest dla kultury czymś tak fundamentalnym, że aby zacząć projektować litery w innym alfabecie, musiałem poznać kulturę regionu, z którego pochodzą. Dlatego po studiach wyjechałem na rok do Jordanii. Nie byłoby możliwe projektowanie arabskich liter bez poznania ludzi, którzy je czytają, i środowiska, w których one funkcjonują. Upraszczając: zaprojektowanie skryptów, które „podają sobie ręce” jest możliwe jedynie, jeśli ludzie, którzy tych skryptów używają, też to robią.

### Masz swoją ulubioną literę?

Co tydzień inną. Nie umiem wybrać jednej, bo lubię je wszystkie.



JAKUB KAZMIERCZYK



CEZARY POLAK

# Powrót polskiej ambrozji

Po latach zapaści miód pitny wraca na polskie stoły – w wyrafinowanych wersjach. Miodziarze udoskonaliли metody produkcji i wytwarzają trunki o różnych smakach. Oferują nawet miód półwytrawny oraz musujący!

Jeszcze dwa lata temu na pytanie o miody pitne ekspedientka w stołecznych delikatesach otworzyła usta, jakby chciała wyssać całe powietrze ze sklepu. „To miód jest do picia?” – nie mogła się na dziwić. Dziś sklep ma w ofercie wszystkie rodzaje miódów – w różnych butelkach i od różnych producentów. Podobnie jest w super- i hipermarketach, które – inaczej niż kiedyś – handlują pszczelarskim alkoholem nie tylko zimą, lecz przez cały rok.

– Klienci przeprosili się z miodami. Niektórzy goście przychodzą do nas specjalnie na degustację miodu. Na życzenie robimy nawet miodowe drinki – zapewnia kelner w stołecznej Karczmi u Dedka w parku Skaryszewskim, stawiając przede mną ceramiczną czarkę z grzanym trójniakiem.

Czemu zawdzięczamy nieoczekiwany come back staropolskiego trunku biesiadnego na nasze stoły? Zabrzmiało to paradoksalnie, ale miód wraca dzięki zerwaniu z... tradycją.

Żeby wyjaśnić, w czym rzecz, musimy się cofnąć do czasów starożytnej Grecji. Otóż zanim mieszkańcy Hellady nauczyli się uprawiać winorośl, pozyskiwali alkohol z miodu. Wyznawcy raczyli się nim na Dionizjach, bogowie popijali go na Olimpie – to miód pierwotnie był ambrozją. Starożytny trunek różnił się od tego, którym zalewali się Sienkiewiczowski Zagłoba i inni Sarmaci. Prawdopodobnie Helleni produkowali miód

niesycony, czyli niepoddawany obróbce termicznej w temperaturze wyższej niż 40 st. C. Dla smaku, aromatu i właściwości napoju ma to kolosalne znaczenie.

– W trakcie sycenia, czyli gotowania brzezki w około 100 st., giną naturalne antybiotyki, witaminy i mikroelementy. Taki trunek jest mało wartościowym słodzikiem – mówi Bogdan Piasecki, właściciel zakładu Mazurskie Miody z podolsztyńskiego Tomaszkowa.

Grecy wkrótce porzucili alkoholowe pszczelarstwo i zajęli się fermentowaniem winogron. Miód, będący prawdopodobnie najstarszym napojem wysokowym w dziejach ludzkości, zdomował się natomiast w krajach o mniej łaskawym klimacie. Kłopoty z uzyskaniem surowca niezanieczyszczonego szumowinami – odnóżami, woskiem i pyłkiem pszczelim – skłoniły miodziarzy do sycenia. W efekcie było mniej aromatycznie, smacznie i bez mikroelementów, ale zarazem bez ryzyka fuszerki i wyprodukowania kwaśnego bimbrowu.

Syconym miodem raczyli się mieszkańcy ziem dzisiejszej Polski, jeszcze zanim wspomagany przez myszy Kołodziej obalił króla Popiela. Poświadczył to arabski kupiec pochodzenia żydowskiego Ibrahim ibn Jakub, który podczas podróży w nasze rejony zanotował: „Ich wina i upajające napoje – to miód”. Bardziej wylewny był wenecki dyplomata Ambrogio Contarini, który bawił w pań-



Picie półtoraka i dwójniaka należy celebrować. Można degustować je z ceramicznej czarki albo z kieliszka do czerwonego wina.

stwie Piasta: „[...] Nie mając wina, robią pewien napój z miodu, który upija ludzi znacznie bardziej niż wino” – pisał.

Miód dominował na naszych stołach przez kolejne stulecia. Można rzec, że dzieje miodosytnictwa były nierozdzielnie związane z historią polityczną Polski. Złoty wiek kultury polskiej był także okresem miodowej prosperity – pszczeli alkohol panował na królewskich, magnackich, biskupich i co bogatszych szlacheckich stołach. Opiewał go Kochanowski, a potem Pasek. Bajarze opowiadali o Rzeczpospolitej mlekiem oraz miodem płynącej i nikomu nie trzeba było tłumaczyć, o jaki miód chodzi. Wykształciła się też obowiązująca do dziś typologia. Najślabsze i najnowsze są czwórniaki, składające się z jednej części miodu i trzech wody, dojrzewające około sześciu–ośmiu miesięcy. Od półtora roku do czterech lat dojrzewają trójniaki (jedna objętość miodu i dwie wody), dwójniaki (jeden do jednego) – około ośmiu lat, zaś najmocniejsze, 16-procentowe półtoraki (półtorej objętości miodu na jedną wody) – 10 lat i dłużej.

Wkrótce jednak trunek stracił prymat na rzecz tańszych w produkcji piwa i gorzałki. W XIX w. – również dzięki Sienkiewiczowi, który stworzył postać prawdopodobnie największego kon-

sumenta miodu w dziejach literatury – oraz patriotyczno-gospodarczej akcji intelektualistów i inwestorów, miody wróciły do łask, ale już nie na taką skalę, jak w czasach Zygmunta Starego. W kolejnym stuleciu miodosytnictwo dobiły dwie wojny i komunizm.

Szansa na renesans pojawiła się dopiero w latach 90. Po odzyskaniu niepodległości zniesiono państwowy monopol na produkcję alkoholu, miodziarze zaś uzyskali dostęp do nowoczesnych technologii, dzięki którym mogą wytwarzać miody tak, jak robiono je w czasach starożytnej Grecji. Z nowych możliwości skorzystał wspomniany Bogdan Piasecki. Sześć lat temu wybudował w Tomaszkowie nowoczesny zakład, gdzie produkuje metodą z pierwszych Dionizjów. Na tyle skutecznie, że zdobywa nagrody na prestiżowym konkursie branżowym The Mazer Cup International w Boulder w Stanach Zjednoczonych. W ubiegłym roku Półtorak Piasecki wrócił z oceanu z brązowym medalem.

O walorach trunku decyduje przede wszystkim miód, który musi być surowcem najwyższej jakości. Bez tego nawet najlepsza technologia nic nie pomoże. Istotne są także dodatki, dzięki którym napój zyskuje wyrazistość. Większość

miodów jest bowiem doprawiana – przyprawami korzennymi, ziołami i sokami. Żaden miodziarz nie zdradzi receptury, ale wystarczy posmakować Półtorak Piasecki, żeby wyczuć nuty śliwkowe i korzenne. Dwójniak Grunwaldzki dosmaczony jest wyciągiem z kory dębowej, a Trójniak Kresowy miksem czarnej porzeczki z dziką różą.

Największe wrażenie robi jednak inny trunek wymyślony przez Piaseckiego – czwórniak, kolorem i smakiem przypominający lekkie białe wino półwytrawne, które komponuje się z potrawami z ryb i kurczaków oraz serami. Pszczelarz z Tomaszkowa próbuje też unowocześnić wizerunek miódów pitnych i zamiast do staropolskich butelek typu gąsiorek rozlewa napój do smukłych flaszek od wina.

Maciej Jaros, właściciel pasieki w Łazisku koło Tomaszowa Mazowieckiego, wierny jest ceramicie. Uważa, że polski miód najlepiej degustować w czarkach z uszkiem. Eksperymentuje za to z trunkiem. Produkuje miody niesycone oraz – jako pierwszy w Polsce – pszczeli szampa. Trunek powstaje z miodu nasyczonego dwutlenkiem węgla. – To napój popularny w USA, ale powoli przyjmuje się u nas. Są amatorzy, którzy piją miód tylko w tej postaci – mówi.

Bogdan Piasecki, właściciel zakładu Mazurskie Miody, przywrócił zdrową, niesyconą metodę produkcji miódów pitnych.



Jaros docenia zyskujące zainteresowanie miodem, ale nie wierzy w jego masową popularność. – Miód zawsze był trunkiem elit, droższym niż wódka czy piwo, i to się nie zmieni – mówi. Reklamuje gastronomiczne zalety miódów. – Wszystkie mięsa podlewam miodem. Dodajemy go do sałatek owocowych i lodów, pijemy z lodem i podgrzewany z cynamonem oraz goździkami – mówi. Zastrzega, że miód fatalnie komponuje się z herbatą i kawą.

Bogdan Piasecki uważa, że czwórniak i trójniak są alkoholami egalitarnymi – pierwszy to trunek stołowy, drugi zaś to idealny napój biesiadny. Dystynkcji wymaga dopiero dwójniak. Można degustować go z ceramicznej czarki albo z kieliszka do czerwonego wina.

Picie półtoraka wymaga obrzędu. Kieliszkiem tego miodu puentuje się ważne wydarzenia i uroczystości. – Najlepiej smakuje w małych kieliszkach z rżniętego szkła – dodaje.

Czas pokaże, czy coraz większa frekwencja miódów na naszych stołach się utrzyma. Wygląda jednak na to, że po dwóch dekadach fascynacji porto, sangrią i włoskimi likierami zaczynamy na nowo odkrywać polską ambrozję.



MATERIAŁY PRASOWE/MAZURSKIE MIODY

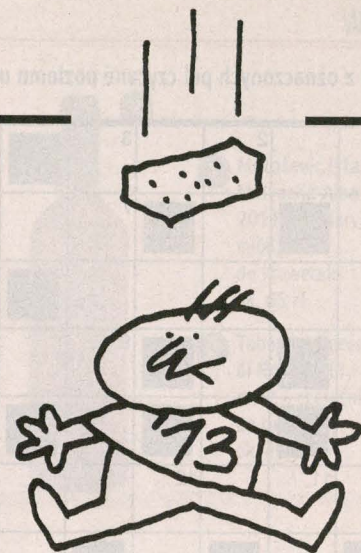
ROBERT GARDZIŃSKI











**” Nawet siedząc na ławie oskarżonych, lubimy słuchać o sobie. Albert Camus**



**Kociak tygodnia:** Marta, 24 lata, absolwentka medycyny.  
Fot. Sonia Szóstak



*Szarmantkie ssaki*

### W co inwestować, by brylować?

Że świat nie słynie ze sprawiedliwości, to rzecz wiadoma i z przykrością odczuwalna także w dziedzinie osobistych talentów towarzyskich. Jednakże i ten, kto uchodzi za rasowego bon vivanta, i ten nieszczęśnik, który zastąpił jako malkontent kanapowiec, może na fali postanowień noworocznych przedsięwziąć rozwój powabów towarzyskich. Tak dama, jak i dżentelmen mogą ulokować ambicje (oraz stosowne fundusze) w nabycie znajomości form światowych (metodą last minute), mogą wygładzić urodę, wyplenić na swym ciele bluszcze-tłuszcz, a nawet urozmaicić biografię o jakiś brawurowy wątek (typu sporty ekstremalnie-ekranowe). Przymioty tego rodzaju przydają towarzyskiego glamouru, jednakże w dobie powszechnych trendów upodabniają nad wyraz do otoczenia. Metodą oryginalniejszą (i o ileż tańszą!), by wydać się kimś niepospolitym i ponownego widzenia godnym, jest wzbudzić w sobie gotowość do tego, by będąc w towarzystwie, nie wstuchiwać się w słowa własne, tylko w cudze. Zjawisko to dziś rzadsze niż spadający z nieba meteoryt, dlatego z łatwością przydaje blasku nawet w najbardziej olśniewającym towarzystwie. → Ula Ryciak

WCHODZĄC DO WODY, WYCHODZISZ Z POWIETRZA STANISŁAW TYM

Marek Raczkowski



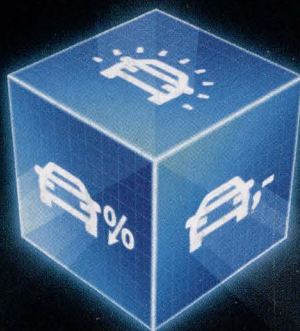
**” Wędrowcy są zawsze wędrowcami wbrew własnej woli, inaczej zaliczają się do kategorii turystów lub wycieczkowiczów. Leopold Tyrmand**



# DRZWI OTWARTE 10-13 STYCZNIA

## TERAZ JESZCZE LEPSZA OFERTA

SPECJALNE  
WYPOSAŻENIE



KREDYT 50/50  
KREDYT 3,99%  
UBEZPIECZENIE 2,9%

JESZCZE WYŻSZE  
RABATY



**Wyprzedaż 2012 Edition.**  
**Sprawdź specjalną ofertę w salonach Volkswagena.**

**VOLKSWAGEN BANK POLSKA S.A.**  
**VOLKSWAGEN LEASING POLSKA SP. Z O.O.**  
**VOLKSWAGEN SERWIS UBEZPIECZENIOWY SP. Z O.O.**



**Das Auto.**

Infolinia: 801 200 400 (opłata jak za jednostkę taryfikacyjną połączenia lokalnego)

Kredyt 3,99% – reprezentatywny przykład ustalony i przekazywany zgodnie z ustawą o kredycie konsumenckim: cena samochodu: 65 406 zł; wkład własny: 22 471 zł; całkowita kwota kredytu: 42 934 zł; stopa oprocentowania kredytu: 4,99%; całkowity koszt kredytu: 13 061 zł obejmuje: prowizję bankową: 2 356 zł, odsetki: 6 523 zł, składkę ubezpieczenia komunikacyjnego: 1 897 zł, składkę ubezpieczenia spłaty kredytu: 2 286 zł; rzeczywista roczna stopa oprocentowania: 11,58%; czas obowiązywania umowy: 60 miesięcy; całkowita kwota do zapłaty przez konsumenta: 55 995 zł; wysokość raty: 933 zł. Oferta na wybrane modele nowych samochodów Volkswagen przy skorzystaniu z ubezpieczenia komunikacyjnego i ubezpieczenia spłaty kredytu, oferowanych za pośrednictwem Volkswagen Serwis Ubezpieczeniowy.

W zależności od wariantu i wersji zużycie paliwa w cyklu łączonym: Polo od 4,6 l/100 km do 6,7 l/100 km, emisja CO<sub>2</sub> od 119 g/km do 156 g/km; Jetta od 4,5 l/100 km do 6,2 l/100 km, emisja CO<sub>2</sub> od 119 g/km do 144 g/km; Tiguan od 5,3 l/100 km do 6,5 l/100 km, emisja CO<sub>2</sub> od 139 g/km do 152 g/km. Informacje dotyczące odzysku i recyklingu pojazdów wycofanych z eksploatacji na stronie [www.volkswagen.pl](http://www.volkswagen.pl).